

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-21-2126

48 2011





Nagrodę „Kustosz Pamięci Narodowej im. Grzegorza Jakubowskiego” ustanowił w lipcu 2002 roku prof. dr hab. Leon Kieres, Prezes Instytutu Pamięci Narodowej, na wniosek ówczesnego dyrektora Oddziału IPN w Krakowie dr. hab. Janusza Kurtyki. Nagroda przyznawana jest instytucjom i organizacjom społecznym oraz osobom szczególnie zasłużonym na niwie upamiętniania historii Narodu Polskiego w latach 1939-1989, a także za działalność publiczną zbieżną z celami Instytutu Pamięci Narodowej. Tytułem tym cenionym w sposób szczególny przez emigracyjne i krajowe środowiska niepodległościowe zostało dotąd uhonorowanych 28 osób oraz 13 instytucji i organizacji społecznych.

Temu honorowemu wyróżnieniu patronuje śp. dr Grzegorz Jakubowski zmarły w czerwcu 2001 roku, jeden ze współtwórców Instytutu Pamięci Narodowej, pierwszy dyrektor Biura Udostępnienia i Archiwizacji Dokumentów tego Instytutu, Człowiek wielkiej uczciwości, wybitny archiwista i pasjonat historii.

Fotografie statuetki oraz z uroczystości jej wręczenia udostępnione zostały redakcji przez Instytut Pamięci Narodowej. Fot. P. Życieński

NAGRODA „KUSTOSZ PAMIĘCI NARODOWEJ IM. GRZEGORZA JAKUBOWSKIEGO” DLA ZWIĄZKU SYBIRAKÓW

14 czerwca 2011 roku na Zamku Królewskim w Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im. Grzegorza Jakubowskiego”. Wśród pięciu laureatów był również Związek Sybiraków. Nagrodę wręczali prezes Instytutu Pamięci Narodowej Franciszek Gryciuk – Ewie i Władysławowi Siemaszkom – za dokumentację zbrodni nacjonalistów ukraińskich na Wołyniu, która w czasach PRL nie zainteresowała profesjonalnych historyków.

Adam Macedoński, współtwórca Instytutu Katyńskiego i „pierwszej” Rodziny Ofiar Katyńskich, nagrodę odebrał z rąk prof. Leona Kieresa, pierwszego prezesa IPN. Dziękując za to zaszczytne wyróżnienie podkreślił, że dopiero teraz, w wolnej demokratycznej Polsce można mówić o zbrodniach nie tylko komunistycznych, ale także rosyjskich i ukraińskich.

Dr Barbara Fedyszak-Radziejowska nagrodę Instytutu wręczyła Adamowi Borowskiemu, działaczowi „Solidarności” od 1980 roku. Jest on autorem albumu o żołnierzach wyklętych.

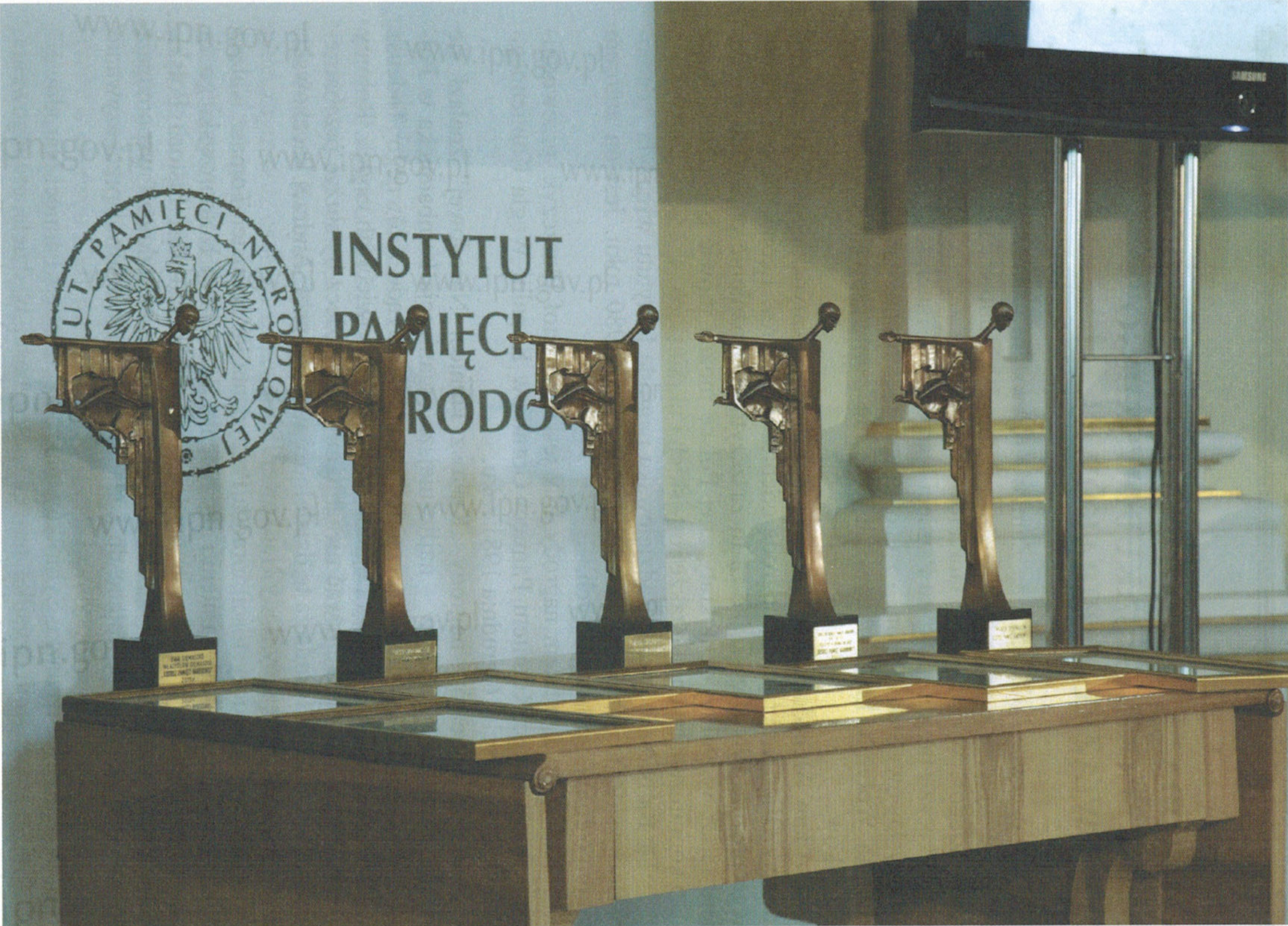
Kolejnym laureatem nagrody IPN jest Krzysztof Pluszczyk, przewodniczący Społecznego Komitetu Pamięci Górników Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek”, poległych 16 grudnia 1981 roku.

Wśród laureatów nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej” znalazł się również Związek Sybiraków – najlicniejsza organizacja kombatancka w Polsce. Jak powiedział odbierając nagrodę prezes Zarządu Głównego Tadeusz Chwiedź, celem Związku jest „upamiętnienie ofiar sowieckich zsyłek. Robimy to nie dlatego, aby rozdrapywać niezabliźnione rany, lecz by służyć przebaczeniu i pojednaniu”. Nagrodę za tę działalność wręczył prof. Andrzej Paczkowski, pierwszy przewodniczący Rady Naukowej IPN.

Obecny na uroczystości doradca Prezydenta RP minister Tomasz Nałęcz podziękował laureatom w imieniu Prezydenta Bronisława Komorowskiego za odkrywanie nieznanych i przypominanie zapomnianych kart historii Polski. Podkreślił, że wyróżnienia nagrodą „Kustosz Pamięci Narodowej” wspomagają państwowe instytucje powołane do badania naszych dziejów i przekazywanie społeczeństwu prawdy historycznej.

Wyróżnienie Związku Sybiraków nagrodą „Kustosz Pamięci Narodowej” świadczy o docenieniu wysiłku naszej społeczności w dziele propagowania, utrwalania i szerzenia prawdy historycznej o polskich losach na Syberii.

Irena Tańska



Statuetki Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im. Grzegorza Jakubowskiego” na chwilę przed wręczeniem ich laureatom.



Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej

Warszawa, 14 czerwca 2011 roku

Uczestnicy
uroczystości wręczenia
Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej
im. Grzegorza Jakubowskiego”

Panie Prezesie!
Szanowni Laureaci!
Panie i Panowie!!

Serdecznie pozdrawiam wszystkich zgromadzonych na uroczystości wręczenia Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im. Grzegorza Jakubowskiego”. Gratuluję osobom i instytucjom wyróżnionym w bieżącym roku tym zaszczytnym tytułem: panu Adamowi Borowskiemu, panu Adamowi Macedońskiemu, pani Ewie Siemaszko i panu Władysławowi Siemaszko, Związkowi Sybiraków oraz Społecznemu Komitetowi Pamięci Górników KWK Wujek Poległych 16 grudnia 1981 roku. Aktywność i zasługi Państwa oraz reprezentowanych przez Państwa stowarzyszeń zostały docenione i godnie uhonorowane.

Zaszczytnym tytułem Kustosza Pamięci Narodowej kapituła wyróżniła już wiele znaczących postaci naszego życia publicznego, by wspomnieć tylko o Władysławie Bartoszewskim, Januszu Kurtyce oraz Pawle Jasienicy. Laureatami nagrody były także polskie i zagraniczne instytucje, jak Stowarzyszenie Archiwum „Solidarności” czy Instytuty Józefa Piłsudskiego w Londynie i Stanach Zjednoczonych. Wymienione – tylko nieliczne przecież – przykłady osób i instytucji wyróżnionych nagrodą dowodzą, że Kapituła podejmuje wysiłek dostrzeżenia i uhonorowania różnorodnego typu działań służących kształtowaniu naszej historycznej tożsamości. Lata 1939 – 1989 były w dziejach naszego narodu okresem niezwykle dramatycznym, dlatego pielegnowanie pamięci o tej epoce i jej bohaterach, do czego jesteśmy moralnie zobowiązani, wymaga zaangażowania, rzetelności i umiejętności współdziałania wielu, często bardzo różnych, osób i instytucji, które podejmują to wielkie wyzwanie.

Warto dziś, w dniu uroczystego wręczenia tegorocznej nagrody, podkreślić, że dzięki licznemu już gronu jej laureatów Instytut Pamięci Narodowej nie był i nie jest osamotniony w swoich działaniach na rzecz odśladania i opisywania trudnych kart naszych najnowszych dziejów. *Jest także niezwykle cenne, że Instytut potrafi dostrzec i nagrodzić tak zróżnicowane formy publicznej aktywności, które łączy to, że wpisują się w jego misję lub stanowią znaczące wsparcie w jej wypełnianiu.*

Raz jeszcze gratulując tegorocznym Kustoszom Pamięci Narodowej, życzę Państwu i reprezentowanym przez Państwa organizacjom, by ten zaszczytny tytuł stanowił nie tylko potwierdzenie głębokiego sensu dotychczasowych działań, ale także zachętę do dalszej aktywności.

Instytutowi Pamięci Narodowej życzę zaś, aby w wypełnianiu swojej misji zawsze mógł liczyć na wsparcie tych wszystkich instytucji i osób, którym leży na sercu troska o rozwijanie historycznej świadomości Polaków.

Bronisław Komorowski



INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

ul. Towarowa 28; 00 - 839 WARSZAWA

58/K AMB/M

Warszawa, czerwca 2011 roku

Pan Tadeusz Chwiedź
Prezes Zarządu Głównego
Związku Sybiraków

Gratulacje *Pani Prezisie*

pragnę jeszcze raz przekazać na Pana ręce najserdeczniejsze gratulacje. Państwa wieloletnie zaangażowanie w dziedzinie upamiętniania tragicznych zsyłek Polaków na Syberię, do Kazachstanu i inne regiony ZSRS zasługuje na najwyższe uznanie.

Podjmując wysiłek przywracania pamięci, odbudowy szacunku dla narodowej przeszłości, a także podtrzymywania naszej tożsamości, dają Państwo wyraz swojemu patriotyzmowi i trosce o przyszłość Ojczyzny. Państwa dorobek współkształtuje naszą narodową tożsamość i pomaga chronić wartości, które w epoce totalitaryzmów starano się unicestwić. Za to Państwu dziękujemy.

W załączeniu przekazuję zdjęcia z uroczystości.

pozdrawiam

P. O. PREZESA
Instytutu Pamięci Narodowej

dr Franciszek Gryciuk

NAGRODA
KUSTOSZ PAMIĘCI NARODOWEJ



Tadeusz Chwiedź, prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków dziękuje za przyznanie nagrody.



Laureaci Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im Grzegorza Jakubowskiego”.

ELŻBIETA DWORZAK

POLSKIE DZWONY NA DALEKIM WSCHODZIE

Władywostok¹, ponad półmilionowe miasto położone na wschodnim krańcu Federacji Rosyjskiej, malowniczo rozłożone na wzgórzach nad zatoką Żłoty Róg, u wejścia do Zatoki Amurskiej, nad Morzem Japońskim od stuleci jest miejscem obecności Polaków. Wydarzenie, jakie miało miejsce we Władywostoku w marcu 2010 r., wypływa niejako z wątków polskości splecionych z historią tego miasta.

Różne były drogi, jakie wiodły naszych rodaków w przeszłości do owego dalekowschodniego ośrodka. Często byli oni zesłańcami, którym po odbyciu kary, nie było dane wrócić do kraju. Byli również przybyszami dobrowolnymi znajdującymi tu dobre warunki życia i pracy. Wykonywali oni różne zawody, prowadzili działalność gospodarczą, zajmowali się nauką i kulturą. Powstała na ten temat obszerna literatura, jakkolwiek zjawisko obecności Polaków na wschód od Uralu po Ocean Spokojny wymaga, zdaniem znawców przedmiotu, dalszego zgłębiania.²

Duży napływ Polaków do Władywostoku miał miejsce po powstaniu styczniowym, w drugiej połowie XIX w., silniejszy jeszcze w latach I wojny światowej³. Obecność naszych rodaków łączyła się zwykle z żywą działalnością Kościoła katolickiego. W końcu XIX w. grupa polskich katolików we Władywostoku miała liczyć około 5 tys. osób. Miasto należało wówczas do diecezji mohylewskiej. W związku ze znaczną liczbą wyznawców religii rzymskokatolickiej, wysłano do Władywostoku ks. Kazimierza Radziszewskiego z poleceniem wybudowania murowanego kościoła. Biskup mohylewski pragnąc wes-

¹ Władywostok założony został w 1680 r. Liczy 578 tys. mieszkańców. Jest dużym ośrodkiem przemysłowym, portowym i naukowym, końcową stacją Kolei Transsyberyjskiej. Jest stolicą Kraju Nadmorskiego (*Wielka ilustrowana encyklopedia powszechna*, t. 45, Warszawa 2003, s. 249; *Wielka encyklopedia PWN*, t. 29, Warszawa 2005, s. 408-409). W latach 40. XX w. na peryferiach Władywostoku zlokalizowany był, liczący około 70 tys. więźniów, obóz przejściowy na Kołymę, w którym przebywali Polacy. Teren łagru otoczony był poczworną linią drutu kolczastego z podziałem na odrutowane zony i z licznymi wieżami strażniczymi. W czasie pobytu w obozie, w oczekiwaniu na dalszą drogę wiodącą przez Magadan, więźniowie pracowali w kamieniołomach. (S. Kalbarczyk, *Wykaz łagrów sowieckich – miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939-1943*, cz. 1, Warszawa 1993, s. 275).

² Wiele uwagi obecności Polaków na Syberii i Dalekim Wschodzie poświęcił w swojej pracy badawczej Antoni Kuczyński (zob. chociażby: *Ludy dalekie a bliskie. Antologia polskich relacji o ludach Syberii*, Wrocław 1989; *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory*, Wrocław 1993; *Dziedzictwo Bronisława Piłsudskiego*, „Zesłaniec”, 1998/3, s.103-103).

³ M. Jefimowa, *Mieszkamy dalej niż na Syberii*, <http://www.vladmission.org/polishsaintcands/mieszkamy.htm>, (5.05.2010).

przec to przedsięwzięcie ogłosił zbiórkę funduszy w całym państwie rosyjskim. W 1894 r. rada miejska wydzieliła w centralnym miejscu miasta plac pod budowę kościoła. Miał on zostać wzniesiony na wzór kościoła św. Krzyża w Samarze. Komitetowi budowy przewodniczył ks. Stanisław Łarynowicz. Kamień węgielny został poświęcony w 1908 r. przez biskupa sufragana mohylewskiego ks. Jana Cieplaka.⁴ W trzy lata później przybył do Władywostoku ks. Karol Śliwowski⁵, który z wielką energią przystąpił do wznoszenia kościoła. Poświęcenie świątyni pw. Świętej Bożej Rodzicielki, pięknego w swej neogotyckiej architekturze, lecz bez wież, nastąpiło w 1921 r. Na uroczystości był obecny ks. Jerzy Jurkiewicz, przyszły proboszcz. Już w dwa lata później Władywostok został podniesiony do rangi siedziby biskupstwa, a pierwszym biskupem diecezji władywostockiej został Polak, ks. Karol Śliwowski. Niedługo cieszone się wolnością religijną. W 1922 r. Władywostok został włączony do Rosji radzieckiej.⁶ Na Dalekim Wschodzie umocnili swoje rządy komuniści. Nadeszły tragiczne w swoich skutkach lata trzydzieste. Rozpoczęło się prześladowanie duchowieństwa. W 1930 r. usunięto 75-letniego bpa Karola Śliwowskiego. Zmuszony był on przenieść się na przedmieście Władywostoku o nazwie Sedanka, gdzie przebywał w areszcie domowym, i gdzie zmarł.⁷ W 1931 r. aresztowany został również ówczesny

⁴ *Oswiaszczenie kołokolen katolickiego sobora Prieswiatoj Bogorodicy*, Władywostok 2010, s. 2. Bp Jan Cieplak (1857-1926) urodził się w Dąbrowie Górniczej. Wstąpił do seminarium duchownego w Kielcach, następnie studiował w Akademii Duchownej w Petersburgu. W 1908 r. został biskupem sufraganiem mohylewskim. Wybrał się wówczas z wizytą duszpasterską na Syberię i Daleki Wschód. Dotarł aż na Sachalin. W 1923 r. wraz z trzynastoma księżmi został aresztowany za „działalność kontrewolucyjną” i skazany na karę śmierci. Po interwencji Sikorskiego i służb dyplomatycznych wielu krajów, zamieniono karę na 10 lat ciężkiego więzienia. Był przetrzymywany w przerażających warunkach w znanych moskiewskich miejscach kaźni: w Butyrkach i na Łubiance. Po roku został zwolniony i w łachmanach odstawiony na granicę łotewską. Wyjechał do Polski. W 1925 r. został arcybiskupem wileńskim. W 1952 r. rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny. (A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII do 1917 roku. Słownik biograficzny*, Poznań 2000, s. 49; K. Maciejewska, *Arcybiskup Jan Cieplak pierwszy metropolita wileński*, http://niedziela.pl/artukul_w_niedzieli.php, 31.01.2011).

⁵ Ks. Karol Śliwowski (1855-1933) urodził się w okolicach Warszawy. Po ukończeniu warszawskiego gimnazjum studiował we Francji i w Niemczech, a następnie ukończył w Petersburgu Instytut Inżynierów Komunikacji. Po pielgrzymce do sanktuariów w Polsce, zwolnił się z pracy zawodowej, którą wykonywał jako inżynier, i wstąpił do seminarium duchownego w Sejnach. Potem ukończył Akademię Duchowną w Petersburgu i w 1883 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Przez pewien czas pracował w Kazaniu. W 1912 r. został przeniesiony na administratora parafii we Władywostoku. W 1920 r. został pierwszym dziekanem nowo utworzonego dekanatu władywostockiego. W kręgach tamtejszej Polonii znany był z licznych inicjatyw społecznych. (Kijas, op. cit., s. 354-355). Prozaik i dziennikarz Stanisław Saliński, który dzieciństwo spędził we Władywostoku, w swojej książce *Ptaki powracają do snów* wspomina, że częstym gościem w domu jego rodziców przy ulicy Swietłańskiej, wśród wielu innych znamienitych Polaków z władywostockiego środowiska, był ksiądz dziekan Karol Śliwowski. (S. Saliński, *Ptaki powracają do snów*, Warszawa 1964, s. 156).

⁶ *Wielka encyklopedia...*, op. cit., s.408.

⁷ Bp Karol Śliwowski mieszkał w Sedance w małym domku pod opieką Polki Kazimierzy Piotrowskiej. Kontakt z biskupem utrzymywali dawni jego parafianie: polska rodzina Stańko. Ich 10-letnia córka Regina przynosiła biskupowi mleko. Ojciec jej, Stanisław Stańko, odwiedzał biskupa i prowadził długie rozmowy w języku polskim. Po śmierci bpa Śliwowskiego, Kazimiera Piotrowska wyjechała do Polski. Miała zamiar zabrać do kraju jego prochy, ale nie otrzymała na to pozwolenia. Przed wyjazdem rozdała Polakom pamiątki po biskupie. Rodzina Stańko otrzymała drewnianą skrzynkę pokrytą blachą z rzeczami osobistymi. W 1938 r. NKWD aresztowało

proboszcz władystocki ks. Jerzy Jurkiewicz. Zarzucono mu szpiegostwo na rzecz polskich i japońskich pracowników dyplomatycznych. Zasadzony został na dziesięć lat pobytu w syberyjskich łagrach. Zmarł na Syberii.⁸ Ludzie nadal chodzili do kościoła i wspólnie modlili się. Władze nałożyły wkrótce na parafian za użytkowanie kościoła tak duży podatek, że nie byli oni w stanie go zapłacić. Ostatecznie w 1935 r. budynek kościelny upaństwowiono i urządzono w nim archiwum. Wnętrze przerobiono, utworzono betonowe piętra. Teraz katolicy zbierali się na modlitwę w domach prywatnych, najpierw w kilku, w końcu tylko w jednym, w domu Gierasimuków. W dniu 19 lipca 1937 r. wydarzyła się tragedia. Aresztowano gospodarza domu, Antoniego Gierasimuka, i jego syna Walerego, oraz ich bliskich znajomych: Jana Strudzińskiego, Zygmunta Brzezińskiego i Marcina Malinowskiego. Oskarżono ich o przynależność do nielegalnej, kontrrewolucyjnej, religijnej organizacji polskiej. Zostali skazani postanowieniem NKWD na rozstrzelanie. Wyrok został wykonany w okolicach Władystocku 3 lutego 1938 r.⁹

Pamięć o ofiarach prześladowań religijnych i narodowościowych przetrwała w pamięci mieszkańców miasta do czasu „pierestrojki”. W 1991 r. katolikom

Stanisława Stańko. Jego żonie z dziećmi nakazano wyjechać na Syberię. Zamieszkali oni w Tomsku. Zabrali ze sobą drewnianą skrzynkę biskupa, w której po rewizji w czasie aresztowania pozostały tylko przybory do pisania, kałamarz i teczka z monogramem „KS”. Córka Stanisława Stańko, Regina, do dzisiaj mieszka w Tomsku. Gdy dowiedziała się, poprzez dawnych znajomych, o przywróceniu kościoła katolikom we Władystocku, nawiązała kontakt z proboszczem o. Mironem Effingiem i przekazała mu pamiątki po bpie Śliwowskim. Stanowią one obecnie cenne dokumenty związane z historią parafii. Ekspozowano je w kościele w 2000 r. i zapewne w 2010 r. z okazji poświęcenia dzwonów. (M. Jefimowa, *Stróż wartości historycznych*, http://www.vladmission.org/polish_saintcands/stroz.htm, 19.05.2010).

⁸ Ks. Jerzy Jurkiewicz (1884-1941) pochodził z miejscowości Tymkowicze w guberni mińskiej. Ukończył Akademię Duchowną w Petersburgu. Posługę duszpasterską pełnił w Krasnojarsku, następnie w Chabarowsku. Proboszczem we Władystocku został w 1923 r. Zapamiętano go jako kapłana pełnego młodzieńczego zapału, oddanego pełnionej posłudze. Po aresztowaniu w 1931 r., przebywał w łagrach w rejonie Kemerowa. Jeden z dawnych parafian widział go jako więźnia. Był niezwykle wyczerpany, bardzo postarzały, bez jednego oka. Zmarł w obozie jako więzień, już po zakończeniu terminu wyroku. (*Oni zginęli za Chrystusa*, http://www.vladmission.org/polishsa_intcands/Oni, 31.01.2011)

⁹ Antoni Gierasimuk urodził się w 1878 r. we wsi Wierzbica na Lubelszczyźnie. Nie wiadomo, w jaki sposób trafił na Daleki Wschód. Być może nie od razu osiadł we Władystocku. Miał żonę Walerię, trzy córki i syna Walerego. Był muzykiem i pracował jako kapelmistrz orkiestry przy jednym z miejscowych zakładów. Po likwidacji kościoła, jego żona, gorliwa katoliczka, przewodziła modlitwom prowadzonym w ich domu. Syn, Walery Gierasimuk (urodzony w 1914 r.), służył jako ochotnik w Armii Czerwonej, potem pracował jako kierowca. Jan Strudziński urodził się w 1878 r. w powiecie radomskim. W wieku 21 lat został powołany do armii carskiej i skierowany na Daleki Wschód. Po ukończeniu służby wojskowej pozostał we Władystocku. Pracował w urzędzie celnym oraz w japońskim konsulacie jako pracownik techniczny. Jego żoną była Polka Helena Baranowska. Zygmunt Brzeziński urodził się w 1892 r. we wsi Kromków, powiat Sochaczew, koło Warszawy. W 1913 r. został powołany do armii carskiej i wysłany na Daleki Wschód. Osiadł we Władystocku. Uzupełnił swoje wykształcenie i pracował jako kierownik gospodarzy w różnych instytucjach. Jako muzyk-samouk dorabiał graniem na zabawach. Ożenił się z Polką Zofią Duchnik. Marcin Malinowski urodził się w 1880 r. we wsi Nogaczewka w obwodzie winnickim. Powołany w 1902 r. do armii carskiej, trafił na Daleki Wschód. We Władystocku ożenił się z Eufrozyną Mogulewską. Pracował m.in. w przedsiębiorstwie „Dalstroj”. Po usunięciu bpa Śliwowskiego i aresztowaniu ks. Jurkiewicza, troszczył się o kościół. Zbierał pieniądze na opłacenie podatku, zanosił paczki ks. Jurkiewiczowi do więzienia we Władystocku, a potem organizował przesyłki do łagru. Nazwano go ostatnim starostą władystockiej parafii. (*Oni zginęli za Chrystusa*, op. cit.).

przywrócono budynek kościelny, był on jednak w stanie nienadającym się do użytkowania. Gdy w 1994 r. o. Miron Effing (z zakonu kanoników regularnych), Amerykanin, został proboszczem, podjął decyzję o przystąpieniu do gruntownego remontu. Odrestaurowany z wielkim trudem kościół został poświęcony 3 lutego 1998 r. Wówczas postanowiono dobudować wieże. Opracowania projektu podjął się władystocki architekt Paweł Matwiejewicz Mamonow. Prace nad ich wzniesieniem trwały dziesięć lat: od 2000 r. do 2010 r.¹⁰

Kościół władystocki nie posiadał oczywiście dzwonów. Z uzyskaniem ich wiąże się przedziwna historia. W 1997 r. proboszcz, o. Miron Effing, został zaproszony na uroczystość poświęcenia nowego kościoła katedralnego w Nowosybirsku. Na uroczystości był obecny gość z Polski, ks. prałat Edmund Cisak, proboszcz parafii w Grodźcu Opolskim, w diecezji opolskiej, krajowy duszpasterz sybiraków.¹¹ Przywiózł dla nowosybirskiej świątyni sześć dzwonów jako dar od dawnych, polskich zesłańców Sybiru. O. Effing zachwycał się dzwonami. Zdumiony był sposobem ich przywiezienia (załadowano je na przyczepkę przypiętą do „busa” i tak pokonano drogę z Polski na Syberię). Nic jednak nie mówił ks. Cisakowi. Po powrocie do Władystocku, opowiedział parafianom o tym wydarzeniu. Zapragnęli i oni posiadać dzwony. Proboszcz zwrócił się wówczas do Polki, Mirosławy Jefimowej, z domu Tukalskiej, zaangażowanej w działalność tamtejszej Polonii, aby napisała list do ks. Cisaka. Tak też się

¹⁰ *Oświezczenie...*, op. cit., s. 3-4.

¹¹ Ks. prał. Edmund Cisak urodził się w 31 lipca 1930 r. w miejscowości Gwoździec, powiat Kołomyja, województwo stanisławowskie, w rodzinie ziemiańskiej. Rodzicami byli Karol i Maria z Franczaków. 10 lutego 1940 r., wraz z całą rodziną został zesłany na Sybir: najpierw w okolice Tiumenia, a następnie do Barnaulu w Altajskim Kraju. Z zesłania powrócił 1946 r. W 1955 r. ukończył Wyższe Seminarium Duchowne w Nysie i przyjął święcenia kapłańskie. Posługę duszpasterską prowadził w Zabrze, w Roszkowicach, powiat Kluczbork, a w 1961 r. został proboszczem w Grodźcu Opolskim. W tymże roku sprowadził do Grodźca łaskami słynący obraz Matki Bożej, przywieziony w 1945 r. z Biłki Szlacheckiej koło Lwowa i przechowywany w klasztorze w Woli Małej koło Łańcuta. Mieszkańcy Grodźca wywodzą się głównie z Biłki Szlacheckiej, wśród nich są dawni zesłańcy Sybiru. Ks. Cisak podjął starania, aby stworzyć w Grodźcu ośrodek religijny sybiraków. (Był on od 1977 r. organizatorem pieszych pielgrzymek z diecezji opolskiej do Częstochowy.) W 1989 r. umieścił na frontowej ścianie kościoła w Grodźcu tablicę poświęconą pamięci ofiar zbrodni katyńskiej i masowych deportacji. Od 1990 r. prowadził coroczne pielgrzymki byłych zesłańców Sybiru do Częstochowy, które od początku miały charakter ogólnoswiatowy. Z okazji pierwszej pielgrzymki, z jego inicjatywy, w jasnogórskiej świątyni odsłonięty został Pomnik - Mauzoleum Sybiraków poświęcony pamięci Polaków – ofiar represji stalinowskich na Wschodzie. W 1991 r. ks. Cisak towarzyszył dawnym zesłańcom w ich pielgrzymce do Rzymu na uroczystość kanonizacji św. Rafała Kalinowskiego – patrona sybiraków. W 1994 r. został mianowany krajowym kapelanem sybiraków. Dzięki jego staraniom, w dniu 1 maja 1994 r. miała miejsce w Grodźcu Opolskim ogólnopolska uroczystość koronacji białecko-grodzieckiego obrazu Matki Bożej jako Patronki Sybiraków. W dziesięć lat później, naprzeciwko kościoła stanęła Droga Krzyżowa „Kalwaria Pana – Kalwaria Sybiraków” jako wotum wdzięczności sybiraków za powrót do ojczyzny. Grodziec Opolski stał się miejscem, do którego pielgrzymuje wielu dawnych zesłańców. Ks. Cisak starał się, by pamięć o ofiarach stalinowskiego reżimu trwała również za granicą. W 1992 r., podczas pielgrzymki rodzin katyńskich, poświęcił tablicę pamiątkową w Twerze oraz krzyż w Ostaszku. W 1994 r. poświęcił sztandar sybiraków w Amerykańskiej Częstochowie. W 1997 r., wioząc dzwony do Nowosybirka, poświęcił pomnik sybiraków w miejscowości Oziernaja k. Jekaterinburga (który powstał z jego inicjatywy). Rok wcześniej, Ojciec Święty Jan Paweł II mianował go osobistym kapelanem nadając godność prałata. W 2005 r. ks. prałat E. Cisak przeszedł na emeryturę. (zob. E. Dworzak, *Matka Boska Sybiraków w Grodźcu koło Opola*, „Zesłaniec”, 2006, nr 24, s.3-31).

stało. Na adres parafii w Grodźcu Opolskim przyszedł list z Władywostoku. Jefimowa opisała w nim historię swojego kościoła i na zakończenie dodała: „Mamy kościół, msza się *prawi*, ale co to za msza, jak nie dzwonią. Ojciec Edmundzie, sprawcie i nam dzwony.”

Ks. Cisak stanął przed problemem zdobycia środków finansowych. Teraz już było trudniej, niż w przypadku fundowania dzwonów dla Nowosybirsk. Zaczął szukać sponsorów. Ofiarował środki własne i parafialne. Z pomocą przyszli sybiracy, organizacje: NSZZ „Solidarność”, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i inni. W 1999 r. dzwony były gotowe. Wykonane zostały w Gliwicach, w ludwisarni Felczyńskich. Dzwonom nadano imiona, które uwidocznione zostały w języku rosyjskim: Matka Boska Sybiraków, Święty Józef, Święty Archanioł Gabriel, Święty Rafał Kalinowski, a także umieszczono logo ofiarodawców. Poświęcił je w Gliwicach Jan Paweł II podczas pielgrzymki do Polski w 1999 r.

Następnym problemem było przewiezienie podarku na Daleki Wschód. Dzwony stanowiły łącznie ponad półtonowy ciężar, ważyły kolejno: 680 kg, 397 kg, 276 kg, 194 kg. Tego trudnego przedsięwzięcia podjęło się dwóch młodych ludzi z Warszawskiego Klubu Turystyki Samochodowej „Penetrator”: Marek Wołosza i Przemysław Maciążek. Załadowane do ciężarówki dzwony wieźli oni przez terytorium Ukrainy i południowe obszary Rosji przez około półtora miesiąca. Pokonali w tym czasie ponad 8 tys. kilometrów. Od Czity podróż odbywała się Koleją Transsyberyjską. Do Władywostoku dzwony przywieziono 3 września 2000 r. Na miejscu, uczestnicy tej trudnej ekspedycji zostali serdecznie przyjęci przez proboszcza, o. Mirona Effinga, i oprowadzeni po mieście przez Mirosławę Jefimową.¹² Koszty związane z wyprawą zostały pokryte przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Przywiezione dzwony przez dziesięć lat czekały w przedsionku kościoła na wzniesienie wież, gdzie miały zostać zawieszane. Uroczystość poświęcenia wież i dzwonów została zaplanowana na 21 marca 2010 r. Zaproszony został fundator dzwonów, ks. prałat Edmund Cisak, emerytowany już wtedy krajowy duszpasterz sybiraków i proboszcz parafii w Grodźcu Opolskim. Pomimo osiemdziesięciu lat i niezbyt dobrego stanu zdrowia, zdecydował się na podróż samolotem na Daleki Wschód. Jako opiekunowie wyruszyli z nim Jakub Moska i Marcin Kubicki.

Uroczystość poświęcenia dzwonów była niezwykłym wydarzeniem dla tamtejszej społeczności. Gospodarze, proboszcz o. Miron Effing i jego wikariusz o. Daniel, (z zakonu kanoników regularnych, również Amerykanin), zadbali o to, by nadać jej szeroki rozmach. Przybył z Irkucka bp Cyryl Klimowicz (z pochodzenia Polak z Białorusi).¹³ Gośćmi byli proboszcz z Nachodka¹⁴,

¹² Ekspedycja z dzwonami do Władywostoku, szczególnie w historii Warszawskiego Klubu Turystyki Samochodowej „Penetrator”, wyruszyła z Warszawy 19 lipca 2000 r. Podczas drogi piętrzyły się trudności związane z przekraczaniem granic, z noclegami i złym stanem technicznym samochodu. Dokładny opis podróży wraz ze zdjęciami zamieszczony został na stronie internetowej Klubu: www.penetration.waw.pl.

¹³ Władywostok należy do diecezji dalekowschodniej z siedzibą w Irkucku.

¹⁴ Nachodka, miasto położone na wybrzeżu Morza Japońskiego, w pobliżu Władywostoku. W 2005 r. liczyło 173,5 tys. mieszkańców. (<http://wikitravel.org/pl/Nachodka>, 24.03.2011). W porcie Nachodka, w latach 40. XX w. ulokowany był obóz przejściowy, w którym

ks. Sebastian, Hindus, oraz brat Patryk, kandydat do zakonu kanoników regularnych, Filipińczyk. Kościół po remoncie prezentował się nadzwyczaj pięknie. Ks. Cisak tak wspomina rozpoczęcie uroczystości:

Zacząło się od poświęcenia wież. Wyszliśmy przed świątynię. Biskup Kirył poświęcił wieże i wtedy zaczęły bić dzwony – po raz pierwszy. Zagrały tony A, C, D, E. Ludzie skakali, ściskali się, całowali i dziękowali mi, a biskup Kirył – pocałował mnie w rękę (!). Kościół był pełny. I nie wiem, czy to byli sami katolicy, ale wszyscy w sile wieku. Starych babuszek nie widziałem, dzieci też nie.

Uroczystość połączona była z konsekracją kaplicy męczenników za wiarę, z poświęceniem nowych witraży i obrzędem bierzmowania. Msza święta odprawiana była w języku rosyjskim. Ks. Cisak jedną modlitwę odczytał po polsku. Na zakończenie przemawiał po rosyjsku. Nabożeństwo uświetniał występ zespołu muzyczno-wokalnego z solistką Weroniką Kasjanową, artystką chabarowskiej filharmonii, na organach grała zaangażowana jako organistka, wysoko ceniona przez krytyków muzycznych, Marina Omelczenko. W godzinach wieczornych zorganizowano jeszcze koncert muzyki klasycznej. W kościele można było obejrzeć wystawę upamiętniającą męczeństwo za wiarę Polaków, dawnych mieszkańców Władywostoku.

Z okazji poświęcenia dzwonów wydano specjalną, ilustrowaną broszurę, gdzie opisano dzieje kościoła i historię dzwonów, a także zamieszczono teksty pieśni, które miały być wykonywane podczas uroczystości. Broszura napisana została w języku rosyjskim. Ks. prałat Cisak twierdzi, że wiele osób przyznaje się tam do polskości; mówili mu o tym wprost. Mają jednak trudności z posługiwaniem się tym językiem. Wspomina znamienity szczegół. W dniu uroczystości poświęcenia dzwonów spotkał przypadkowo na korytarzu solistkę Weronikę Kasjanową, która z radością zawołała: „Ja toż Polka. Moja babuszka nazywała się Weronika. Ja toż Weronika”.

Ks. Cisak, serdecznie podejmowany przez proboszcza i parafian, pozostał we Władywostoku jeszcze kilka dni. Miał okazję zetknąć się z Mirosławą Jefimową, prezesem Centrum Kultury Polskiej „Gmina”.¹⁵ Katolicy przyznający się do polskich korzeni dotkliwie odczuwają brak księdza Polaka. Proboszcz parafii i jego wikariusz są Amerykanami i jakkolwiek odznaczają się wielką gorliwością, nie są w stanie prowadzić duszpasterstwa w języku polskim.

Budzenie świadomości narodowej w potomkach naszych rodaków żyjących na Dalekim Wschodzie i przybliżanie im tradycji i kultury polskiej pozo-

przetrzymywano m. in. polskich więźniów. Liczyć miał on ok. 40-70 tys. osób. Więźniów dowożono doń Koleją Transsyberyjską, następnie byli oni załadowywani na statki i wysyłani na Sachalin, Czukotkę, Kamczatkę. Przeważająca liczba więźniów kierowana była jednak na Kołymę. (Kalbarczyk, op. cit., s. 168).

¹⁵ Obecnie do Centrum Kultury Polskiej „Gmina” należy ok. 50 osób. Na imprezy organizowane przez Centrum przychodzą również osoby, które oficjalnie doń nie należą, ale mają polskie pochodzenie. Pojawiają się też ludzie, którzy interesują się Polską. Niektóre imprezy są organizowane wspólnie z Centrum Kultury Niemieckiej. CKP „Gmina” dysponuje niewielką biblioteką książek w języku polskim, skromnym zasobem materiałów do nauki języka polskiego, jak podręczniki i nagrania dźwiękowe czy kasety video z filmami fabularnymi. W 2000 r. otrzymało ono od Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” komputer. Wsparcie okazują też inne organizacje w Polsce. Pomoc ta jest jednak niewystarczająca. Brak przede wszystkim imprez kulturalnych promujących kulturę polską. (M. Jefimowa, *Mieszkamy dalej niż na Syberii*, <http://www.vladmission.org/polishsaintcands/mieszkamy.htm>, 5.05.2010).

staje problemem otwartym. Olbrzymia odległość od Polski, a także bariery finansowe powodują, że jest on tym trudniejszy do rozwiązania. Wydaje się jednak, że taki gest, jak ofiarowanie tamtejszemu środowisku dzwonów przez Polaków z kraju, oprócz wymiaru religijnego, mógł stać się symbolem przypominającym niejednemu ze świadków tego wydarzenia o polskim rodowodzie jego przodków.

„Zesłaniec” w internecie

Od grudnia 2009 roku kwartalnik „Zesłaniec” dostępny jest również w wersji internetowej, na stronie:

<http://zeslaniec.pl>

Obecnie w zakładce „Spis treści” na wyżej wymienionej stronie dostępne są roczniki 2006-2011, a numery bieżące, i w miarę możliwości poprzednie będą sukcesywnie dodawane. Autorem witryny internetowej jest Pan Janusz Łukasiak, zaś hosting na preferencyjnych warunkach zapewnia firma mzplanet.com.

*

Przekazując Szanownym Czytelnikom tę informację, redakcja serdecznie dziękuje Panu J. Łukasiakowi za bezinteresowne wsparcie nas w ważnej potrzebie pełniejszego czytelniczego odbioru „Zesłańca” za pomocą internetu. Wyrazy wdzięczności kierujemy również pod adresem firmy mzplanet.com. za udostępnienie hostingu na zasadzie specjalnej preferencji. Ujmując rzecz w schematyzującym z konieczności uproszczeniu można powiedzieć, że ten kierunek popularyzacji publikacji zawartych w „Zesłańcu” odpowiada na apel jego Czytelników.

Redakcja „Zesłańca”

SERGIUSZ LEOŃCZYK

POLSKOŚĆ SYBERYJSKICH CMENTARZY. SZKICE Z PRZESZŁOŚCI

Początek XX wieku można uznać za czas, kiedy na bezkresnych terenach Syberii i Uralu powstała diaspora polska. Składała się ona nie tylko z byłych zesłańców, często pozostających na Syberii, bo mieli tu swoje rodziny i znajomych, prowadzili działalność gospodarczą czy naukową. Nową diasporę tworzyli również dobrowolni przybysze z Królestwa Polskiego, Litwy i Kresów Wschodnich osiedlający się za Uralem w ramach tzw. kolonizacji rolniczej. Na Syberii osiedlała się też część zdemobilizowanych żołnierzy syberyjskich pułków, lekarzy wojskowych, urzędników i stypendystów, czyli absolwentów szkół wyższych, którzy musieli odsłużyć rządowe stypendia na naukę. Oprócz tego istniała też emigracja zarobkowa, rekrutująca się w większości z inżynierów i mechaników, wyjeżdżających na budowę kolei transsyberyjskiej.

Od drugiej połowy XIX wieku emigracja z ziem polskich do różnych krajów zaczęła przybierać znaczne rozmiary. Intensyfikacja tego zjawiska nastąpiła przede wszystkim wśród mieszkańców ziem Królestwa Polskiego. Początki emigracji zarobkowej z terenów polskich zaboru rosyjskiego, skierowanej przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych, nastąpiły w latach 70. XIX wieku. Oblicza się, że z ogólnej liczby około 1,3 – 1,4 milionów emigrantów, którzy opuścili zabór rosyjski do roku 1914, wśród nich przeważała ludność wiejska, około 75% udało się do Ameryki Północnej, ponad 10% – do Ameryki Południowej, pozostali – do różnych krajów europejskich. Ogólna liczba wychodźców z Królestwa Polskiego w głąb Rosji, według stanu z około 1910 r., wynosiła około 400 000-600 000 osób.¹

Większość Polaków, którzy osiedlili się na Syberii, była to ludność wiejska. Według pierwszego powszechnego spisu ludności w Rosji z 1897 r. chłopci stanowili 61,9% polskiej diaspory na Syberii.² Statystyka nie oddaje jednak procesów asymilacyjnych Polaków i miejscowej ludności, wiadomo jednak, że niemało powstańców styczniowych żeniło się z miejscowymi kobietami i zakładało rodziny. Już wtedy istniał podział na Polaków „nowo przybyłych” i rdzennych Sybiraków polskiego pochodzenia. Dla Polaków żyjących w obcym wyznaniowo państwie, świątynie katolickie były nie tylko miejscem, gdzie sprawowano liturgię, lecz także stanowiły ostoję narodowej tożsamości i kultu-

¹ A. Pilch, *Wstęp*, [w:] *Emigracja z ziem polskich w czasach nowożytnych i najnowszych (XVIII-XX w.)*, pod red. A. Pilcha, Warszawa 1984, s. 9.

² *Общий свод по Империи результатов разработки данных Первой Всеобщей Переписи Населения, произведенной 28.I. 1897 г.*, т. 2, Петербург 1904.

ry polskiej oraz stanowiły wzmocnienie patriotyzmu narodowego i zasad moralnych krzewionych przez wiarę i duszpasterzy. Pierwsze wspólnoty katolickie powstały za Uralem jeszcze pod koniec XVIII w. i należeli do nich konfederaci barscy oraz ich potomkowie.

Najstarsze katolickie parafie znajdowały się w Tomsku i Irkucku³. Kościoły rzymskokatolickie na wsiach powstawały dzięki inicjatywom mieszkańców, którzy przybywali za Ural w ramach dobrowolnej emigracji, nierzadko po kilkuletnich walkach z rosyjską biurokracją, która ociągała się z wydawaniem stosownych decyzji na budowę świątyń i kaplic. Bez względu na to, czy władze pozwalały na budowę tych obiektów sakralnych czy też nie, osadnicy polscy starali się zachować odrębność etniczną i religijną. Dotyczyło to również obrzędowości pogrzebowej, inskrypcji nagrobnych oraz wznoszenia dwuramiennych krzyży na mogiłach. Do dziś zachował się opis pogrzebu w polskiej wsi Woldziki (obecnie wioska nie istnieje, znajdowała się 22 km od Ufy – stolicy Republiki Baszkortostan na Uralu).

Zmarłego omywano. Mężczyźni – mężczyzną, kobiety – kobietę. Wodę po omyciu wylewano do miejsca ustronnego („gdzie ludzie nie chodzą”). Ubierano nieboszczyka we wszystkie nowe ubrania, a jeżeli nowych rzeczy nie było – to wtedy we wszystkie czyste ubrania. Potem kładziono go na ławę, kiedy trumna była dopiero przygotowywana. Trumnę robiono z „drzewa czerwonego” – sosny. Krzyż – z drewna dębowego. Ręce nieboszczyka składano na piersi – prawą rękę z góry na lewą. Do rąk wkładano chusteczkę z modlitwą, na szyję – krzyżyk, na pierś kładziono święty obrazek, który przed samym pochówkiem zabierano. Ręce i nogi nieboszczyka zawiązywano wstęgą (sznurkiem), którą (który) rozwiązywano lub rozcinało przed samym pochówkiem i wkładano do grobu. Trumnę stawiano tak, aby głowa nieboszczyka znajdowała się pod obrazami. Na stół obok trumny stawiano chleb, sól i zapalano świecę. Do trumny wkładano również trociny, wiórki, do poduszki – suche liście brzozy. Poszewkę wyszywano czarnymi krzyżykami. Obok trumny siadali członkowie rodziny i sąsiedzi. Starsze kobiety czytały z modlitewnika modlitwy w języku polskim. Do rewolucji październikowej 1917 r. rodzina zazwyczaj prosiła o przybicie na pogrzeb księdza. Mogiłę kopano w dniu pochówku, w zimę jednak wcześniej, ale zawsze zostawiano trochę do zakończenia w dniu pochówku. Mogiła była zwrócona prosto na wschód. Wynoszono nieboszczyka z domu w trumnie nogami do przodu, trumny starano się nie zawracać. Pożegnanie z nieboszczykiem odbywało się na dworze lub na cmentarzu. Trumnę niesiono na dwóch ręcznikach (każdy o długości 6 metrów), a potem stawiano ją na wóz. Żałobna procesja ustawiała się następująco: na przedzie szedł mężczyzna z węzełkiem dla pierwszej napotkanej osoby. Węzełek ten zawierał kubek, łyżkę i jakieś jedzenie. Za idącym niesiono krzyż, potem – wieko trumny, za wiekiem – trumnę na wozie. Dalej szli najbliżsi krewni, a potem sąsiedzi i znajomi. Po wyniesieniu trumny z domu, patrzono do wylotu pieca, żeby się nie bać, albo siadano na tym miejscu, na którym leżał nieboszczyk. Osoby, które nie szły na cmentarz, robiły porządki w domu – myły okna, podłogę i ławy. Przyrządzały stół do stypy. Na cmentarzu przed opuszczeniem trumny do dołu rzucano na dno pieniądze („kupowano ziemię”). Nieboszczyka w trumnie stawiano nogami na wschód. Wszy-

³ W. Masiarz, *Powstanie i rozwój pierwszych parafii rzymskokatolickich na Syberii Wschodniej (1805-1937)*, [w:] *Kościół katolicki na Syberii. Historia. Współczesność. Przyszłość.*, pod. red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 2002, s. 125-141.

scy powinni byli rzucić garstkę ziemi na trumnę. Ci, którzy nie byli na pogrzebie, byli zapraszani przez członków rodziny zmarłego na stypę. Wyglądało to w następujący sposób: pukano do okien, nie wchodząc do domu, i mówiono: „Zapraszamy na wieczerzę”. Na stypę przyrządzano obowiązkowo kutię, grzyby, pierogi z grzybami. Na początku podawano wszystkim po kawałku opłatka przywiezionego z kościoła. Potem podawano gorące dania (zupy i kasze), z napojów – kwas. Podczas postu – stół również był postny. Zaduszki po zmarłym urządzano w 9 i 40 dni po śmierci oraz w jej rocznicę i po upływie 3 lat. Zaduszki ogólne odbywały się podczas Świąt Wielkanocnych – we wtorek, po Poniedziałku Wielkanocnym oraz przed Trójcą w sobotę. Zaduszki wyglądały w następujący sposób: najpierw zbierano się w jednym miejscu poświęconym przez księdza, zapraszano księdza, razem się modlono, a potem rozchodzono na groby rodzinne.⁴

Badacze, którzy porównują pogrzeb prawosławny i katolicki na Syberii, zwracają uwagę na mniej emocjonalną treść obrzędu pogrzebowego u syberyjskich katolików, którzy na grobach stawiali dwuramienne krzyże lub krzyże z tzw. domkami w górnej części. Najczęściej były to krzyże drewniane, rzadziej z kamienia. Groby były rodzinne. Grób męża znajdował się obok grobu żony i odwrotnie, w zależności od tego kto pierwszy „odszedł do Pana”.⁵ Ksiądz Antoni Około-Kułak właśnie tak opisuje posługę kapłańską w warunkach syberyjskich:

Zazwyczaj raz do roku, najczęściej w zimie, ksiądz odbywa objazd parafii. Wtedy jedzie od osady do osady, chrzci urodzonych od ostatniego swego pobytu, święci mogiły tych, co się uroczystości przybycia pasterza nie doczekali, błogosławi śluby i t.p. Zawczasu zawiadomieni, że na pewien punkt ma przybyć kapłan, zjeżdżają z okolic – jak u nas na odpust, z tą tylko różnicą, że te „okolice syberyjskie” mają w promieniu nieraz setki kilometrów. W jednym z lepszych domów ustawia się ołtarz, wszyscy się spowiadają, ksiądz mówi kilka kazań, odprawia Mszę św. I jedzie dalej, by tu znowu wrócić za rok lub dwa lata.⁶

W miastach i wsiach, gdzie za zgodą władz carskich budowano kościoły, zakładano również katolickie cmentarze lub tzw. odrębne „katolickie części” na cmentarzach prawosławnych. Tak było np. w Irkucku, Tomsku, Bijsku, Krasnojarsku, Omsku, Kamińsku, Kurganie, Mariińsku, Nowonikołajewsku, Tarze, Tiumentiu, Barnaule, Minusińsku i Tobolsku. Zgodnie z tradycją europejską (w tym również rosyjską) – zmarłych chowano na cmentarzach przy cerkwiach i kościołach. Jednak w miastach rosyjskich z powodu ciężkiej sytuacji epidemiologicznej na początku XX wieku wprowadzono zakaz pochówku na przykościelnych nekropoliach, znajdujących się zazwyczaj centrum miast, a ewentualne pochówki były dozwolone tylko wyjątkowo.⁷

W Barnaule przy kościele był niewielki cmentarz. W Omsku i Tomsku na cmentarzach znajdowały się kaplice, najczęściej ich patronem był św. Antoni

⁴ Obrzęd pogrzebowy w polskiej wsi Woldziki (Chutor Waldzikowski) (Republika Baszkortostan, Federacja Rosyjska) zapisany przez dr Walentynę Atypową w roku 1997. (Rękopis autorski).

⁵ В. Ф.Фурсова, *Традиционно-бытовые особенности культуры белорусов-переселенцев конца XIX – начала XX в. (по материалам этнографических экспедиций)*, [w:] *Белорусы в Сибири*, Новосибирск, 2000, s. 120.

⁶ A. Około-Kułak, *Szkice misyjno-wschodnie*, Warszawa 1929, s. 37.

⁷ В. А. Ханевич, *Из истории католических кладбищ Томска*, [w:] „Сибирская католическая газета”, Новосибирск, 2000, nr 11, s. 15-17.

Padewski. Katolicy w Omsku w 1895 r. otrzymali kwaterę na Cmentarzu Koza-
czym gdzie zbudowali kaplicę, którą jednak w roku 1910 rozebrano ze względu
na potrzebę uzyskania materiału na wzniesienie wieży kościoła parafialnego.⁸
Tam, gdzie nie było kościoła rzymskokatolickiego, Polaków grzebano na cmen-
tarzach prawosławnych. Znakomity znawca dziejów Polaków w Kraju Zabaj-
kalskim Agaton Giller pisał:

W Troickosawsku i Kiachcie katolicy nie mają osobnego cmentarza i grzeba-
ni są na cmentarzu moskiewskim. Niemało jest tu grobów polskich. Niektóre nas
mocno zajmują, bo pokrywają zwłoki żołnierzy polskich, wygnanych do Syberii
za to, że uczciwie i mężnie bronili ojczyzny i wolności.⁹

Adam Szymański (1852-1916) przebywający na zesłaniu w Jakucji tak
opisuje pogrzeb jednego z rodaków:

Włożono [...] skamieniałe zwłoki do trumny, postawiono na małe, jednokonne
sanki jakuckie, i gdy krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religij-
nych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: „Witaj Królowo nieba
w smutku i radości”, podtrzymując ją urwanymi głosami, ruszyliśmy ku cmenta-
rzowi. Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pośpiechu. Jesteśmy nareszcie na
cmentarzu, rzucamy po grudce zmarłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych
uderzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana kupka ziemi świadczy
o niedawnym jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie
niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka
mogilna roztaje; zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zielskiem; po roku, dwóch
wymrą lub rozjadą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię
matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt
zmarłego nie będzie i pies nawet o cię nie zapyta.¹⁰

W większości adnotacji dotyczących zmarłych Polaków zesłańców po-
wstania styczniowego jest wzmianka: „pochowany według rzymsko-
katolickiego obrządku”. Jako swoistą manifestację polskości, patriotyzmu
i przywiązania do religii władze odebrały liczny udział zesłańców w pogrzebie
Hipolita Augustowskiego „według obrządku rzymskokatolickiego” 1881 r. we
wsi Sagajskoje w okręgu minusińskim, jenijskiej guberni.¹¹

W porównaniu z okazałymi granitowymi i marmurowymi nagrobkami na
cmentarzach irkuckich, wzniesionych przez „dobrowolnych wychodźców, któ-
rzy aż tutaj szukali kariery urzędniczej i majątku”, groby zesłańcze wyglądały
ubogo.¹² Ważka i rozległa problematyka cmentarzy katolickich (polskich) na
Syberii stanowi interesujący tekst kultury zmieniający się wraz z zmieniającym
się ustrojem po rewolucji październikowej i budową społeczeństwa socjali-
stycznego. Wraz z nią dążono do likwidacji polskiej odrębności narodowej, a co
za tym idzie powolnego jej zacierania, której symbolami były kościoły, kaplice,
cmentarze i wiara katolicka. Wówczas represjonowano wiele księży katolickich
zsyłając ich do łagrów, a często i pozbawiano życia przez rozstrzelanie.

⁸ Т. Г. Недзельюк, *Римско-католическая церковь в полиэтническом про-
странстве Западной Сибири 1881-1918 гг.*, Новосибирск 2009, s. 85-86.

⁹ J. Kolbuszowski, *Cmentarze*, Wrocław 1996, s. 282.

¹⁰ Ibidem, s. 282-283.

¹¹ Minusińskie Miejskie Archiwum Państwowe, zespół. 42, niw. 1, vol.. 3, k. 1.

¹² Ibidem.

Dla badacza dziejów polskiej diaspory ważne jest także wygląd polskich cmentarzy w największych miastach Syberii np. Tomsku i Irkucku. W Tomsku na Woskriesieńskim Wzgórzu wybudowano w 1833 r. pierwszy na Syberii kościół katolicki, w sąsiedztwie którego zabezpieczono działkę na cmentarz katolicki. Od 1841 do 1920 r. na cmentarzu tym pochowano ponad 4.800 osób. W większości byli to Polacy, a oprócz nich także Niemcy, Litwini, Łotysze, Czesi i Słowacy. Na cmentarzu tym w 1866 r. wybudowano kaplicę istniejącą tam do 1911 r., kiedy to wzniesiono nową w stylu gotyckim pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego. Cmentarz był ogrodzony podobnie jak kościół, jedynie od strony traktu irkuckiego fragment ogrodzenia wykonany był z cegły. Główna aleja cmentarza prowadząca od kaplicy i plac wokół niej obsadzone były cedrami. W jego sąsiedztwie znajdowały się cmentarze: żydowski i staroobrzędowców. Graniczył on też z miejskim więzieniem, od którego był oddzielony głębokim (na 1,5 m.) rowem.¹³

Podczas pierwszej wojny światowej w Tomsku znalazły się rzesze jeńców i uchodźców wojennych. Wielu z nich zostało pochowanych na tym cmentarzu, na którym dla utrwalenia wojennego losu żołnierzy tu „spoczywających” wzniesiono w centralnym miejscu nekropolii monumentalny pomnik (4 m wysoki) wykonany z piaskowca. Znajdowały się na nim symbole 4 religii – krzyż katolicki, unickie sześcioramienny krzyż, żydowskie tj. gwiazda Dawida oraz muzułmański półksiężyc. Na dole pomnika znajdował się napis w języku rosyjskim: „Zmarłym rodakom”.¹⁴

Na Syberii przed rozpoczęciem rewolucji październikowej przebywało od 300 000 do 500 000 Polaków.¹⁵ Były to osoby od dawna zamieszkujące zauralskie obszary imperium (potomkowie powstańców), chłopcy polscy, robotnicy i urzędnicy, którzy przybyli na Syberię w celach zarobkowych, zesłańcy i katorżnicy, żołnierze Polacy, którzy brali udział w wojnie rosyjsko-japońskiej na mandżurskim froncie i po demobilizacji osiedlali się we wschodnich regionach Syberii. Dopelnieniem tej diaspory byli Polacy przesiedleni w związku z wybuchem pierwszej wojny światowej, jeńcy polscy z czasów tej wojny, żołnierze z armii austriackiej i w znacznie mniejszym stopniu z niemieckiej.

Pod koniec 1918 r. w Nowonikołajewsku na Syberii powstała polska formacja wojskowa – V Dywizja Strzelców Polskich, składająca się z czterech pułków piechoty, pułku ułanów, pułku artylerii i brygady inżynieryjnej.¹⁶ W maju 1919 r. stan osobowy jednostek polskich łącznie ze stanem szkoły oficerskiej w Nowonikołajewsku i punktami zbórnymi rozmieszczonymi w miastach syberyjskich wynosił 11 282 osoby.¹⁷ Wówczas V Dywizja Strzelców Polskich wchodziła w skład armii admirała Aleksandra Kołczaka, która walczy-

¹³ В. А. Ханевич, А. Г. Караваева, *Католический некрополь города Томска (1841–1919 гг.)*, Томск 2001, s. 21-28.

¹⁴ Ibidem, s. 40.

¹⁵ L. Bazyłow, *Syberia*, Warszawa 1975, s.172.

¹⁶ Nowosybirskie Obwodowe Archiwum Państwowe, zespół P-5a, inw. 1, vol. 276, k. 1,3.

¹⁷ H. Bagiński, *Wojsko polskie na Wschodzie 1914-1920*, Warszawa 1991, s. 548, 554, 560. Zob. też: D. Radziwiłłowicz, *Polskie formacje zbrojne we Wschodniej Rosji oraz na Syberii i Dalekim Wschodzie w latach 1918-1920*, Olsztyn 2009.

ła z Armią Czerwoną o wolną Rosję. Podstawowym problemem dywizji była niejednoznaczność sytuacji, w której się wtedy znajdowała. Admirał Kołczak próbował nakłonić Dowództwo Wojsk Polskich w Rosji Wschodniej do tego, by wysłało ono V Dywizję na front przeciwko Armii Czerwonej. W tym czasie Armia Czerwona napierała z Zachodu, natomiast na Syberii działały bolszewickie oddziały partyzanckie. Pod naciskiem dowódców wszystkich oddziałów wojsk sprzymierzonych generał Michał Janin, jako główny dowódca, wydał rozkaz o ogólnej ewakuacji na wschód, przeznaczając V Dywizji rolę straży tylnej, która miała posuwać się za czeskim korpusem.¹⁸ Polacy stoczyli kilka walk pod stacją Tajga, Krasnojarskiem i stacją Klukwiennaja.

W Nowonikołajewsku w roku 1919 ukazywała się gazeta „Żołnierz Polski we Wschodniej Rosji”. Zamieszczono tam artykuł pt. *Na mogiły*, w którym można znaleźć dość rzadko spotykane świadectwo o tym, jak wyglądał pogrzeb w wojsku polskim na Syberii. Oto jego fragment:

Zacięte boje ostatnich tygodni na frontach naszych pochłonęły liczne ofiary. Śmiercią rycerską padli na polu chwały, w okolicach Sławgorodu w walce z przeważającymi siłami bolszewików (i dalej podano 18 nazwisk – S.L.) Ciała ich złożono w bratniej mogile na cmentarzu nowonikołajewskim d. 13. bm. Kondukt pogrzebowy wyszedł z dworca towarowego, poprzedzany wieńcami od różnych oddziałów Wojsk naszych. Za trumnami strojeni w zieleń postępował Dowódca W.P. w otoczeniu sztabów, grona oficerów oraz reprezentantów sprzymierzonych armii, oraz tłumu ludności. Tony żałobnej muzyki wojskowej towarzyszyły im do grobu. Z wiernymi oficerami na czele wmaszerował oddziałek przed oblicze Wszechmocnego. Bohaterów pożegnał nad grobem kapelan W.P. ks. Tartyłło, w rzewnych słowach podnosząc męstwo i umiłowanie cnot rycerskich. Trzykrotna honorowa salwa wstrząsnęła powietrzem, gdy trumny oddawano ziemi, a odegrane hymny narodowe zakończyły smutny obrzęd. Cześć pamięci bohaterów!¹⁹

Dnia 10 stycznia 1919 r. pod stacją Klukwiennaja – po naradzie wojennej z najwyższymi oficerami dywizji – dowódca, Walerian Czuma podjął decyzję o kapitulacji. Jej warunki były następujące: polska dywizja składa broń, oficerowie i żołnierze są uznani za jeńców wojennych, polscy wojskowi mają zagwarantowaną nietykalność osobistą. Te oddziały V Dywizji Strzelców Polskich, które kapitulowały (około 10 tysięcy żołnierzy), znalazły się w trudnym położeniu. Po złożeniu broni na wolności pozostały tylko rodziny. Władza radziecka nie uznała żadnych warunków – mienie odebrano, wszystkich oficerów zamknięto do obozu, wyższych oficerów (na czele z pułkownikiem Walerianem Czumą) zamknięto w więzieniu. Szeregowych, którzy nie chcieli wstępować do Armii Czerwonej, zmuszono do prac w kopalniach węgla, budowy mostu na rzece Birusa i napraw toru kolejowego.²⁰ To z nich była sformowana Jenisejska Brygada Pracy”. W sumie liczbę polskich jeńców w obozie krasnojarskim szacuje się na 8.000 osób.²¹ Warunki życia w łagrze były ciężkie, nie starczyło racji

¹⁸ Ibidem, s.575.

¹⁹ *Na mogiły*, „Żołnierz Polski we Wschodniej Rosji”, nr 51 z 12 października 1919 r. s. 4. (Autor nieznan).

²⁰ H. Bagiński, op. cit., s. 587.

²¹ И. И. Костюшко, *К вопросу о польских военнопленных 1920 года*, „Славяноведение” 2000, nr 3, s. 45.

żywnościowych. Setki jeńców stały się ofiarami epidemii tyfusu. Ciężkie warunki bytowania oficerów z V Dywizji Strzelców Polskich szczegółowo zostały opisane we wspomnieniach jednego z oficerów – Kazimierza Omiljanowicza.²²

W kwietniu 1920 r. 310 oficerów skierowano do obozu pracy w Tule, gdzie pracowali jako drwale i budowali drogi. Do września 1920 r. z powodu tyfusu zmarło 21 jeńców, 7 ciężko chorych wysłano do szpitali w Omsku i Krasnojarsku. We wrześniu 1920 r. oficerów przemieszczono z Krasnojarska do obozu w Omsku, w kwietniu 1921 r. zostało tam jeszcze 188 osób. Natomiast w Krasnojarsku w więzieniu zostało 21 oficerów. Nie wiadomo, co stało z 73 oficerami.²³ Ciężkie obozowe warunki i nadludzki wysiłek włożony w pracę sprawiały, że więźni wówczas do niewoli często umierali. Oto przykłady inskrypcji na zachowanych do dziś nagrobkach cmentarza miejskiego w Krasnojarsku.

**Śp. Jan Duba. Kapitan Sztabu 5 Dywizji Strzelców Polskich.
Zmarł w więzieniu 6 czerwca 1920 roku przeżywszy 26 lat.
Prosi o westchnienie do Boga.**

**Śp. Karol Skirgiełło Jacewicz. Pułkownik Wojsk Polskich.
Ur. 16. I. 1877. Um. 6. IV. 1920 r.**²⁴

Oficerowie, którzy trafili do więzienia w Krasnojarsku, byli podporządkowani gubernialnej komisji nadzwyczajnej do walki z kontrrewolucją i sabotażem. Od wiosny 1920 r. do kwietnia 1921 r. bolszewicy rozstrzelali 20 polskich oficerów i urzędników. Wielu z nich zginęło w drugiej połowie sierpnia 1921 r.²⁵

Wiosną 1920 r. na Syberii zaczęły się masowe czystki, prowadzone przez organa WCzK. Właśnie na wiosnę wybuchła wojna polsko-bolszewicka, która stała się pretekstem do nowych represji wobec Polaków na Syberii. Zaczęły się aresztowania polskich żołnierzy, które objęły niemal wszystkie większe miasta – Omsk, Nowonikołajewsk, Krasnojarsk, Tomsk. Czekiści stawiali polskim jeńcom następujące zarzuty: służba w legionie polskim i ograbianie cywilnych mieszkańców, udział w „organizacji kontrrewolucyjnej”, agitacja antysowiecka, przyznawanie się do „obywatelstwa polskiego” itd. Stosowano kary więzienia w obozie lub prace przymusowe na okres od 6 miesięcy do 15 lat.²⁶

Większości jeńców²⁷ udało się powrócić do ojczyzny dopiero po zawarciu między Polską a Rosją Radziecką układu repatriacyjnego z dnia 24 lutego 1921 r., potwierdzonego przez traktat pokojowy w Rydze z 18 III

²² K. Omiljanowicz, *Syberia niejedno ma imię*, Suwałki 2008.

²³ H. Bagiński, op. cit., s. 587.

²⁴ H. Горбачева, *Некрополь, „Поляки на Енисее”*, Красноярск 2003, s. 159 - 160.

²⁵ В. Резмер, *Польские военнопленные в большевицком плену в Сибири в 1920-1922*, [w:] *Сибирско-польская история и современность: актуальные вопросы*, под. ред. Б. Шостаковича, Иркутск 2001, s.128.

²⁶ А. Тепляков, *Красный бандитизм „Родина”* 2000, nr 4, s. 81.

²⁷ Około 5 800 osób, natomiast około 4 000 osób udało się wrócić do Polski (В.Резмер, op. cit., s.128).

1921 r.²⁸ Oficjalne zakończenie repatriacji nastąpiło 24 kwietnia 1924 r. W komunikacie „Rosty” z 21 maja 1924 r., omawiającym zakończenie działalności komisji repatriacyjnej, podano szereg liczb ilustrujących wyniki akcji. Od kwietnia 1921 do kwietnia 1924 r. 1 100 000 repatriantów. Odsetek Polaków wynosił 15-20% ogólnej liczby, około 65% stanowili Ukraińcy i Białorusini, głównie chłopi. Liczba optantów wynosiła 25%. Według źródeł polskich na terenie ZSSR pozostało 1 500 000 Polaków.²⁹

Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego z Polski na Syberię wyjechał major Mieczysław Lepecki, żeby zebrać z cmentarzy syberyjskich ziemię na kopiec w Słowińcu, który miał upamiętniać sławne życie Marszałka. Ze zgodą władz radzieckich M. Lepecki razem z pracownikiem ambasady polskiej w Moskwie Janem Łagodą odbyli podróż po polskich cmentarzach w Kujbyszewie (Samara), Bugurusłanie, Nowosybirsku (Nowonikołajewsk), Tajdze, Irkucku, Aleksandrowsku, Tunkce, Mysowej, Nerczyńsku i Akatju.³⁰ W Bugurusłanie miejscowości, w której gdzie organizowała się polska dywizja syberyjska. Polacy byli pochowani na cmentarzu położonym przy cerkwi prawosławnej. Na cmentarzu znajdowało się wtedy kilka nagrobków z polskimi napisami. W Nowosybirsku na miejskim cmentarzu M. Lepecki i J. Łagoda znaleźli sporo nagrobków z napisami polskimi. „Cały cmentarz jest zrujnowany, poniszczony. Wiele grobów jest rozkopanych i prawdopodobnie obrabowanych”.³¹ Polscy żołnierze V Dywizji zostali pochowani na cmentarzu prawosławnym w Tajdze. Z katolickiej części cmentarza w Irkucku, a dokładnie z grobu powstańca styczniowego została pobrana ziemia, przez przedstawicieli delegacji polskiej.

Cmentarz leży przy ulicy Pierwszej Sowieckiej, nazywającej się dawniej Pierwszą Jerozolimską. Został on przeznaczony na zagładę. Na jego miejscu ma powstać park miejski. Specjalna komisja wycechowała ładniejsze i okazalsze nagrobki, zamierzając je dokądś wywieźć, inne nagrobki mają ulec zniszczeniu, groby zaś mają być zrównane z ziemią.³²

Po rewolucji październikowej wobec Polaków, którzy pozostali na Syberii, zaczęły się represje. Dotknęły one przede wszystkim ludzi wierzących i samą instytucję Kościoła rzymskokatolickiego. Nie pominięto także cmentarzy innych wyznań. Zgodnie z dekretem „O rozdzieleniu kościoła od państwa i szkoły od kościo-

²⁸ Ryski traktat pokojowy, podpisany w Rydze 18 III 1921 przez Polskę, sowiecką Rosję i sowiecką Ukrainę, kończący wojnę polsko-bolszewicką 1919-1920 r. Traktat uregulował podstawowe kwestie: sprawę granic, poszanowanie suwerenności państwowej, obywatelstwo i zasady repatriacji, przekazanie zabytków kultury oraz mienia polskiego – znajdujących się w Rosji i na Ukrainie. Traktat przewidywał wypłacenie przez Rosję 30 mln rubli w złocie jako odszkodowania za wkład Polski w życie Rosji; ustanowił ogólne zasady wymiany handlowej. Stanowił także, że stosunki dyplomatyczne między Polską a Rosją i Ukrainą będą nawiązane natychmiast po ratyfikacji.

²⁹ *Stosunki Rzeczypospolitej Polskiej z Państwem Radzieckim 1918-1943. Wybór dokumentów*, opracował Jerzy Kumaniecki, Warszawa 1991, s.142.

³⁰ M. Lepecki, *Podróż na Powołże i Sybir (Sprawozdanie z wyprawy)*, „Sybirak”, nr 4 (12) 1937, s. 6-9 oraz Sybir wspomnień, Lwów 1937.

³¹ Ibidem, s. 7.

³² Ibidem, s. 8.

ła” wszystkie dobra organizacji religijnych podlegały nacjonalizacji. Antyreligijna polityka państwa sowieckiego gwałtownie się zaostrzyła w 1929 r.³³

W Białymstoku wiosce założonej przez przesiedleńców z guberni grodzieńskiej i siedleckiej w roku 1898, został zbudowany ładny drewniany kościół (1910). Liczba mieszkańców wsi wówczas przekroczyła 500 osób.³⁴ Na przykładzie tej polskiej wsi można prześledzić, jak stopniowo zmieniała się polityka radziecka wobec Polaków w dalekiej Syberii. Polityka wyznaniowa caratu, choć w ograniczonym względzie, dawała jednak możliwość wyznawania katolicyzmu, przynajmniej bez zagrożenia życia. Istniała również możliwość tworzenia pewnych organizacji narodowościowych, religijnych i kulturalnych. Natomiast władze radzieckie prowadziły politykę bezwzględnej walki z Kościołem, zarówno prawosławnym, jak i katolickim. Przykładem tego może być rozstrzelanie w guberni tomskiej w styczniu 1921 r. dwóch księży: prawosławnego Bielawskiego i katolickiego Grafowskiego. Tłumaczono to w ten sposób, że podjęte działania miały „zapobiec wpływowi agitacji przeciwko robotniczo-chłopskiej władzy wśród mas ociemniałych”.³⁵

Budynek parafialny w Białymstoku oddano na potrzeby szkoły, „aby zaspokoić kulturalno-oświatowe potrzeby Polaków”. Były to jednak działania pozorne obliczone na uzyskanie aprobaty „socjalistycznych przemian”. W rzeczywistości kurczyło się nauczanie w języku polskim. Wizerunek tego szkolnictwa był raczej mierny i np. 1927 r. w okręgu tomskim żaden z nauczycieli w szkołach polskich pierwszego stopnia nie miał wyższego wykształcenia. Brakowało podręczników i polskojęzycznej literatury.³⁶ Regres ten pogłębiał się z każdym rokiem nabierając nowych znaczeń wraz z budową rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego oraz niwelowania poczucia odrębności etnicznej wielu grup narodowościowych. Dotyczyło to także ateizacji związanej z likwidacją świątyni katolickich, represjami wobec duchownych i wiernych. Mimo tych ograniczeń kościoły w Białymstoku i innych polskich wsiach na Syberii były otwarte do końca lat 20. Ostatni ślub w białostockim kościele odbył się w lutym 1929 roku, a 1934 roku zdjęto kościelne dzwony a budynek przeznaczono na inne cele.³⁷ W latach 30. zamknięto kościoły w polskich wioskach Kresławscie i Kanoku. Powoli też katolickie cmentarzyki traciły swą odmienność i wtapiały się w pejzaż prawosławnych nekropolii.

W tym szkicowym i z konieczność skrótowym ujęciu wspomnieć jeszcze należy o zunifikowaniu nauczania poczynając od szkół podstawowych. Pod koniec lat trzydziestych język rosyjski stał się obowiązkowy we wszystkich szkołach ZSSR a stosunkowo liberalna polityka w sprawie kwestii narodowej

³³ K. Pożarski, *Rzymskokatolicki Cmentarz Wyborski w Sankt Petersburgu. Księga Pamięci*, Sankt Petersburg-Warszawa 2001, s. 45–56.

³⁴ Tomskie Państwowe Archiwum Obwodowe, zespół 239, inw. 16, vol. 133, k. 1-98.

³⁵ Tomskie Państwowe Archiwum Obwodowe, zespół f. 202, inw. 1, vol. 20, k. 16.

³⁶ A. Guziejewa, *Oświata wśród tomskiej Polonii: historia i współczesność*, [w:] *Aktualny stan nauczania języka polskiego na Syberii*, pod red. S. Leończyka, Abakan 2002, s. 43.

³⁷ J. Rózdzyński, *Białystok na Syberii. Wioska wrogów ludu*, „Rodacy-Соотечественники”, nr 3 (44), s. 24.; W. Haniewicz, *Tragedia syberyjskiego Białego-stoku*, Pelplin 2008.

miała miejsce jedynie do końca lat dwudziestych. Przyspieszona industrializacja, a w szczególności przymusowa kolektywizacja (1929–1934), przyniosła wiele ofiar wśród syberyjskich Polaków.³⁸

W 1926 r. w ZSSR (według spisu ludności) pozostawało 782 300 Polaków (204 000 z nich na terenie Federacji Rosyjskiej).³⁹ Pod koniec lat 20. i na początku 30. na zawsze zniknęła większość polskich wiosek na terenie byłej guberni jenijskiej: Ciepły Klucz, Ałgaszyk, Kresławka, Płocka, Nowowarszawka, Witebka, Wołyńska, Liwieńska oraz Stroganowka. Wskutek represyjnej polityki prowadzonej przez władze radzieckie Polacy syberyjscy ulegli wynarodowieniu i rozproszeniu. Wacław Sieroszewski pisał w 1928 r., że z polskości syberyjskich chłopów pozostały jedynie drobne ślady.

Słynne wsie: Antuszki, Sianożatki, Terteż w gub. orenburskiej, osady polskie w gub. tobolskiej w pow. iszymskim i tatarskim, w gub. omskiej, tomskiej, jenijskiej – zginęły bez śladu w morzu rosyjskim. Prócz świtki, czapki rogatej i lepszej uprawy roli – nic nie zostało z ich polskości.⁴⁰

W latach 30. i 40. XX wieku w ZSRR miało miejsce wiele masowych represji, których ofiarami byli także Polacy. Do 1939 roku przeprowadzono dwie akcje o charakterze masowych represji przeciwko obywatelom narodowości polskiej. W 1936 r., według danych rosyjskich, do Kazachstanu i na Syberię przesiedlono pod nadzorem NKWD 36 000 Polaków zamieszkujących przygraniczne obwody Ukraińskiej Republiki Radzieckiej. Nastąpiły też masowe aresztowania w ramach „polskiej operacji” podczas wzmożonego terroru w latach 1937–38. Ofiarami tych operacji i wywózek stało się łącznie ponad 180 000 Polaków.⁴¹ Dotknęły one mieszkańców miast, inteligencji, robotników fabryk, pracowników zarządu i ruchu kolei oraz ludność wsi, w których mieszkali dobrowolni emigranci na Syberię w ramach tzw. reformy stołypinowskiej pod koniec XIX i na początku XX stulecia. O represjach tych zgromadzono już wiele cennego materiału źródłowego, mogącego w przyszłości stanowić podstawę dla dalszych opracowań, pogłębiających orientację w tak różnorodnym i tragicznym doświadczeniu jaki zgotował polskiej ludności oraz innym narodom totalitaryzm stalinowskiej epoki Związku Radzieckiego. Prezentując skrótowo te złożone i tragiczne wydarzenia wspomnieć należy o represjach, które dotknęły mieszkańców wsi Białystok w nocy z 11 na 12 lutego 1938 roku.

Przyjechało ze trzydziestu milicjantów i jeszcze więcej cywilów. Wchodzili do każdej chałupy i robili rewizję – mówi Maria Markisz, która kiedy zabrali jej ojca, miała 9 lat. Zapamiętała, że krzyczeli na niego „ty wrogu ludu”, a on pytał ich, co to oznacza..? – Wywlekli go z domu i razem z innymi zamknęli w „klubie”, baraku stojącym obok nieczynnego kościoła. Następnego dnia pognali wszystkich pieszo po śniegu do Kriwoszejna. Wtedy widzieliśmy ich ostatni raz. Aresztowali wszystkich Polaków powyżej 17 lat.⁴²

Spośród ponad 120 aresztowanych po paru tygodniach wróciło kilkunastu

³⁸ S. Leończyk, *Polacy – mieszkańcy wsi syberyjskiej. Walka o przeżycie 1917-1938*, [w:] *Ofiary imperium. Imperia jako ofiary. 44 spojrzenia*, pod red. Andrzeja Nowaka, Warszawa 200, s. 461-462.

³⁹ W. Tęgoborski, *Polacy Związku Radzieckiego*, Moskwa 1929, s.95-96.

⁴⁰ W. Sieroszewski, *Polacy na Syberii*, Warszawa 1928, s.18-19.

⁴¹ *Penpеccии против поляков и польских граждан*, Москва 1997, s.4.

⁴² J. Rózdzyński, op. cit., s. 24-25.

najmłodszych. Pogłos tej wielkiej tragedii tkwiącej do dzisiaj w pamięci mieszkańców Białegostoku ożył ponownie w 1979 roku. Wówczas to wezbrane wiosną wody Obu podmyły urwisty brzeg w Kołpaszewie i odsłoniły zbiorowy grób ofiar rozstrzelanych przez NKWD. W dniu pierwszomajowej manifestacji mieszkańcy miasteczka zaczęli się tłoczyć w miejscu, gdzie zmumifikowane zwłoki wpadały do wody. Błyskawicznie ogrodzono teren, a z Tomsku nadszedł rozkaz cichej likwidacji znaleziska. Następnego dnia po majowym święcie naprzeciw jamy ze zwłokami stanął olbrzymi holownik, który wzbudził obrotami śrub wysoką falę i wymył mogiłę do końca. Funkcjonariusze KGB obciążali tymczasem lekkie, pływające zwłoki żelastwem, żeby pochłonęła je rzeka. Część makabrycznych szczątków wymknęła się im jednak spod kontroli i popłynęła Obem do morza. Na zebraniu aktywu w Kołpaszewie podano, że był to grób zwykłych kryminalistów i dezerterów, chociaż kilka kobiet zdążyło rozpoznać tam szczątki swoich bliskich.⁴³

Powracając do nurtu koncentrującego się na katolickich nekropoliach za Uralem wspomnieć należy, że w 1936 r. na cmentarzu w Tomsku została rozebrana kaplica, a dwa lata później zamknięto tam kościół rzymskokatolicki rozgrabiono paramenta liturgiczne stanowiące jego wyposażenie. W 1939 r. „w związku z zamknięciem kościoła i zaprzestaniem działania gminy katolickiej” został również zamknięty tomski cmentarz katolicki. Podobny los spotkał także sąsiadujące cmentarze – żydowski, cmentarz staroobrzędowców oraz stare cmentarze prawosławne. W 1951 r. cmentarz katolicki i cmentarz żydowski zostały zlikwidowane zgodnie z postanowieniem tomskiej rady miejskiej. Na ich miejscu wybudowano przedsiębiorstwo „Sibkabel”. Usunięte nagrobki spoczęły na dnie okolicznego głębokiego wąwozu. Dopiero w 1999 r. z inicjatywy polonijnego stowarzyszenia „Orzeł Biały” na miejscu nieistniejącego cmentarza wzniesiono upamiętniający obelisk. Ksiądz Andrzej Duklewski proboszcz kościoła rzymskokatolickiego w Tomsku poświęcił ten znak pamięci, na którym umieszczony napis:

Тыи со одеззли, але позостали в памяти.

Потомковие.

Католическое кладбище Томска основано в начале XIX века.

Закрыто в 1939 г. Разрушено в 1951 г.⁴⁴

Podobny los spotkał katolicki Cmentarz Jerozolimski w Irkucku, który odwiedził w latach trzydziestych XX w, wspomniany już mjr M. Lepecki i widząc brak dbałości o tę nekropolię napisał, iż przedstawiał on zarośnięta przestrzeń pełną krzaków i samosiejek, pośród których widniały poobalane i poniszczone pomniki, konstatując, że był to bardzo żałosny widok. Potem wybudowano tam miejski park rozrywki. Z kolei na miejscu cmentarza w Omsku i Bijsku zbudowano domy mieszkalne. Zlikwidowano także cmentarz polsko-niemiecki w Jekaterynburgu (Swierdłowski). Obecnie zachowały się cmentarze polskie z przełomu XIX i XX w. we wsiach syberyjskich w Wierszynie (obwód irkucki), Wilence, Kanoku i Aleksandrówce (kraj krasnojarski), Despotzenowce, Botwino i Hryniewiczach (obwód omski). Pozostały również

⁴³ Ibidem.

⁴⁴ В. А. Ханевич, А. Г. Каравева, *op. cit.*, s. 33-38.

polskie cmentarze przy nieistniejących już wsiach, jak np. cmentarz we wsi Mińsk-Dworiańskoje (obwód omski), Połozowo (obwód tomski) i Polski Wysiełek (kraj krasnojarski).

We wspomnianej już wsi Białystok w obwodzie tomskim jest cmentarz, na którym pochowano Polaków, jednak w okresie drugiej wojny światowej utracił on wygląd typowo katolickiej nekropolii. Jak opowiada Wasyl Haniewicz, drewniane krzyże były wywożone przez władze wsi z cmentarza i wykorzystywano je na opał! Kamienne pomniki również rozebrano. W miastach zachowały się katolickie (polskie) kwatery na cmentarzach prawosławnych. Jedną z nich znajduje się na Cmentarzu Troickim w Krasnojarsku. Najstarsza część polskiego cmentarza znajduje się w Tobolsku (obwód tiumeński). Polskie groby z przełomu XIX i XX w. są na cmentarzach Minusińska, Permu, Ufy.⁴⁵ W większości groby te potrzebują konserwacji, nierzadko (jak np. w Tobolsku) są to bowiem tylko pozostałości pięknych kiedyś nagrobków.

*

Historyczny aspekt zagadnienia został tu przedstawiony z punktu widzenia pobieżnego rekonesansu stanowiącego formę ważnego postulatu badawczego dotyczącego polskich nekropolii na Syberii. Po przemianach demokratycznych w Związku Radzieckim w Irkucku powstała pierwsza organizacja polonijna „Ogniwo”. Obecnie na Syberii działa ponad 30 takich stowarzyszeń kulturalno-narodowych, które wchodzi w skład Kongresu Polaków w Rosji, działającego od 1992 r. Stowarzyszenia te troszczą się o zachowanie świadomości etnicznej w łonie polskiej diaspory w Federacji Rosyjskiej. Prowadzą także działania mające na celu ochronę różnych znaków pamięci związanych z polskością, inwentaryzują polskie nagrobki na starych cmentarzach syberyjskich, postulują ich konserwację, zwracając uwagę na podstawowe działania mające ochronić pamięć o polskich (katolickich) nekropoliach na syberyjskiej ziemi, jednak bez pomocy ze strony Macierzy działania takie dają zazwyczaj niewielki efekt. Mam nadzieję, że ten informacyjno-postulatywny charakter artykułu przyczyni się do ożywienia polskich placówek naukowo-badawczych także i tą problematyką polskich śladów za Uralem.

⁴⁵ Dane o współczesnym stanie nekropolii polskich pochodzą z materiałów zebranych przez Autora w latach 2007-2010.

RYSZARD SAWICKI

ŻYJEMY TYLKO PRZESZŁOŚCIĄ

Uwagi podróżnika o tym, jaki wpływ ma szybkość ruchu w przestrzeni na samopoczucie oraz na poznawanie otaczającej rzeczywistości, pozwala zorientować się czytelnikowi nie tylko co do charakteru podróży, ale i podróżującego. Jakub Sobieski był doświadczonym peregrynatem i swoje doświadczenia starał się przekazać synom, Janowi i Markowi. „Owo zgoła wszystką peregrynacją swoją wypisujcie i distantias locorum i dróg swoich, gdzie jesteście, jakom i ja czynił”, pisał. A swój pamiętnik zakończył zdaniem: „We dwudziestym dziewiątym roku po zwróceniu moim zasiadłem w Żółkwi in Anno Domini 1642 i rekoligowawszy się z pamięcią, lepiej, szerzej i dostatniej opisałem po polsku tę peregrynację po różnych krajach chrześcijańskich”. Postrzeganie świata podczas podróży przez kraje niemieckie, Francję, Niderlandy hiszpańskie, Holandię, Anglię, Hiszpanię, Portugalię, Włochy i Austrię zmieniało się z upływem czasu. Czytając stare opisy podróży i porównując je ze swoimi własnymi doświadczeniami, każdy współczesny turysta może dać świadectwo tym zmianom, choć nie każdy zadaje sobie trud spisania wrażeń. „Rekoligowanie z pamięcią” Jakuba Sobieskiego nastąpiło po powrocie do domu, gdzie „lepiej, szerzej i dostatniej” można było pisać o perypetiach i przygodach.

Dokonywane podczas podróży pomiary przestrzeni oraz czasu pozwalały siedemnastowiecznym podróżnikom na zachowanie orientacji w zmiennych warunkach, a także na wypełnienie planu i osiągnięcie celu. Oczywiście, te siedemnastowieczne relacje nie zastąpią współczesnych przewodników, ale jeśli czytelnik pragnie podróżować w czasie, nie tylko w przestrzeni, to ich lektura staje się obowiązkowa. Zagłębiając się w przestrzeń historyczną, pamiętać jednak należy o tym, że „kraje mają swoje faktyczne i mityczne geografie”, jak pisał Yi-Fu Tuan w książce pod tytułem *Przestrzeń i miejsce*. Ten urodzony w 1930 roku amerykański uczyony pochodzenia chińskiego jest jednym z prekursorów geografii humanistycznej i twórcą indywidualistycznej koncepcji przestrzeni. „Istotom ludzkim potrzebne jest zarówno miejsce, jak i przestrzeń. Życie człowieka jest dialektycznym ruchem między bezpiecznym schronieniem, a przygodą, przywiązaniem, wolnością. W otwartej przestrzeni można intensywnie odczuć walory miejsca, a w samotności zacisznego miejsca ogrom rozciągającej się poza nim przestrzeni staje się dominujący”.

O dominującym ogromie przestrzeni przekonać się można jadąc samochodem przez kontynent amerykański, a jeszcze lepiej, gdy się podejmuje wędrowkę pieszą przez choćby jedną z niezliczonych dolin przecinających Sierra Nevada. Podobnych wrażeń spodziewać się może podróżny w górach i na płaskowyżach Azji. Amerykańsko-chiński uczyony-podróжник potrafi doznawać wrażeń podczas

podróży w przestrzeń historyczną i z tych właśnie podróży czerpie swe pragnienie połączenia nauk humanistycznych z geografią. Jego humanizm łączy doświadczenia różnych epok, uczy jak łączyć doświadczenia odległych pokoleń po to, by człowiek nie zagubił się ani w przeszłości ani w teraźniejszości.

„Żyjemy tylko przeszłością. Przeszłość jest cudownym snem, do którego już może nigdy nie wrócimy. Teraźniejszość jest koszmarem, a przyszłość nie wiemy jaka”. Tak pisała w 1940 roku Helenka, osiemnastoletnia córka Krystyny Zaleskiej z Woźniakowskich i Romana Zaleskiego wywieziona razem z rodziną do miejscowości Georgijewka w Kazachstanie. Miała wtedy 18 lat. Jej siostra Inia (Maria) była o rok młodsza. W liście z 4 października 1940 roku Inia pisała: „Czasem przychodzą takie chwile, że wolałoby się spotkać z Babunią (zmarłą w 1920 roku Heleną Zaleską) i tylko nadzieja, że coś się jednak zmieni, pcha człowieka dalej”.

Georgijewka to niewielka osada położona niedaleko kirgiskiego Biszkeku i chińskiego Urumczy. W obydwu tych większych miastach był mój stryj Leszek, jednak podróżował jako turysta na początku wieku dwudziestego pierwszego i w ostatnich latach wieku dwudziestego, tak bardzo innych od lat czterdziestych. Nazwę Georgijewka zna ze wspomnień swoich lwowskich przyjaciół, którzy zesłani zostali w tym samym czasie, co państwo Zalescy. Nie omieszkał o tym wspomnieć, gdy oglądaliśmy jego przeźrocza z wyprawy.

„Ciocia z Inią pojechały robić drogi, już dwa tygodnie ich nie ma”, pisała Helenka w 1940 roku. „Ja pracuję w ogrodzie. Wychudliśmy i jesteśmy podobni do Kazachów. Przedtem byliśmy na stepie, stąd opalenizna. Prawdopodobnie będą nas jeszcze przenosić (tu jest system stałego przenoszenia), ale to obojętne, byle nas nie przenieśli na stałe do Babuni, chociaż i tam nieraz chcielibyśmy się znaleźć. Dotychczas spaliśmy na mokrej ziemi, dopiero parę dni temu Tatuś zdobył deski. Zimy bardzo się boimy, na razie sprzedajemy zawartość naszych walizek i jakoś żyjemy”.

„System stałego przenoszenia” nie odwoływał się bynajmniej do „dialektycznego ruchu między bezpiecznym schronieniem, a przygodą, wolnością”. W systemie sowieckich łagrów nie ma miejsca na geografię humanistyczną. Tuan podkreśla potrzebę zarówno wolności, jak i przywiązania do miejsca. Jego chińskie doświadczenia są cenne, zwłaszcza w kontekście rzeczywistości sowieckiej. Wspomnienia stryja z lat lwowskich skonfrontowane ze wspomnieniami jego przyjaciół, którzy doświadczyli realiów zesłania, są dla mnie niemiernie cenne, bo dzięki nim zdaję sobie sprawę z roli przypadku w historii. Tylko przypadkowi zawdzięcza rodzina to, że nie podzieliła losu wielu innych Lwówiaków, między nimi państwa Zaleskich.

W sierpniu 1940 roku Inia pisze znów do rodziny w Polsce. „Nasze miejsce pobytu nie jest jeszcze całkiem ustalone, bo po złych urodzajach w tych stronach zapowiada się głód. Z owoców pokazały się tylko kawony, ale są bardzo drogie i trzeba pół dnia stać, by je dostać. Upały przechodzą, nastąpią teraz huragany i deszcze. Muszę już kończyć, bo zaraz powędruję w step”.

Siedemnastoletnia panienska, wnuczka Wacława Zaleskiego, ministra skarbu w rządzie austriackim za panowania Franciszka Józefa I, a także jej osiemnastoletnia siostra Helena, pisały listy w innych warunkach niż Jakub Sobieski pisał swoje wspomnienia. Nie „zasiadły w Żółkwi” ani w żadnym z bezpiecznych domów we Lwowie czy Wiedniu, by pisać „lepiej, szerzej

i dostatniej”, ale ich relacje, pisane skrótem, bo „muszę już kończyć, zaraz wędruję w step”, uważam za ważne uzupełnienie wszelkich przewodników po dwudziestym wieku, a także wszelkich rozważań o „przestrzeni i miejscu”, w których znaleźć się może człowiek. Czy to przypadkiem bowiem, czy jakimś zrządzeniem losu, bywa nam dane zawędrować w takie rejony świata, które warto wyłowić z pamięci choćby po to, by nie zgubić celu życiowej podróży.

O Waławie Zaleskim i jego rodzinie pisała Helena Morawska-Stec w swojej książce opublikowanej w 2010 roku. Roman urodził się szesnastego marca 1897 roku we Lwowie. Jego ojciec zmarł w 1913 roku, a w 1914 roku Roman znalazł się z matką i rodzeństwem (Aleksandrem, Marią, Elżbietą i Teresą) w Szwajcarii, najpierw w Lozannie, a potem w Genewie i Fryburgu. Uczył się nie tylko według programu szkoły średniej, ale chodził też do konserwatorium i pobierał w domu lekcje gry na fortepianie. Wraz z siostrą Marią dawali koncerty, z których dochód rodzina przeznaczała na cele charytatywne. Po zdaniu matury zaczął studiować prawo i ekonomię we Fryburgu, jednak nauki nie ukończył, bo został powołany do służby wojskowej i skierowany do jednostki stacjonującej we Lwowie. W 1918 roku poważnie zachorował na groźną odmianę grypy. W czasie choroby opiekowała się nim matka Helena. Mieszkali wówczas przy ulicy Mickiewicza. W noc sylwestrową polska artyleria oddała kilka strzałów z Wysokiego Zamku witając nowy rok. Ukraińcy omyłkowo potraktowali te wystrzały jako atak i odpowiedzieli ostrzałem artyleryjskim miasta. Jeden z pocisków wpadł do pokoju w momencie, gdy Helena podawała synowi lekarstwo. Wybuch pozbawił ją życia, a Roman został ciężko ranny, jednak ocalał. W 1920 roku przebywając latem w Krynicy poznał Krystynę (Titę) Woźniakowską, wnuczkę Henryka Rodakowskiego, polskiego portrecisty. W sierpniu wzięli ślub i zamieszkali przy ulicy Potockiego we Lwowie. W roku 1921 urodziła się im pierwsza córka Helena, półtora roku później Maria. Na początku lat dwudziestych Roman uzyskał tytuł doktora prawa i zaczął pracować w Banku Hipotecznym, a następnie w Związku Gorzeln Rolniczych. Zgodnie z wolą zmarłego w 1926 roku Dawida Abramowicza został dziedzicznym kuratorem Fundacji Abramowiczów, która była zakładem wychowawczym dla synów zubożałych ziemian. Do wybuchu drugiej wojny światowej zakład im. Abramowiczów, dzieło Romana, rozwijał się, kurator i jego współpracownicy snuli plany rozbudowy zakładu. W ostatnich latach przed wojną Roman był też kuratorem Zakładu Ociemniałych przy kościele Świętej Zofii we Lwowie. Podczas okupacji sowieckiej Roman walczył o zachowanie zakładu, ale władze zamknęły zakład, a dzieci zostały wywiezione w głąb Rosji.

Według relacji Heleny Morawskiej-Stec, Romanowie Zalescy zmuszeni byli wkrótce po wybuchu wojny przenieść się do mieszkania przy ulicy Technicznej, gdzie przebywali pół roku. Na wiosnę 1940 roku mieli zamiar przejść granicę w Rawie Ruskiej i dostać się do Krakowa znajdującego się pod okupacją niemiecką, ale tydzień przed planowanym opuszczeniem Lwowa, 10 kwietnia 1940 roku, zostali wprowadzeni z mieszkania przez NKWD i zesłani na Syberię.

„Właśnie wróciłam z sianokosów. Koczowaliśmy na stepie we cztery, dwie Polki i dwoje Kazachów. Każdy miał swoją furę, ładowało się siano, woziło pięć kilometrów wołami i stawiało stertę. Fury są tu kolosalne, o podwójnych drabinach. Spaliliśmy przeważnie pod stertą, jedzenie miano nam dowozić

z kołchozu, ale w ciągu dnia była tylko trzy razy zupa z baraniną i kipiatok. Lubię tę pracę, ale teraz z powodu przekłucia nogi widłami i spuchnięcia mam trzydniowe zwolnienie. Mamy specjalne książeczki, w których zapisują nam trudność, ale czy dostaniemy zapłatę i ile, tego nie wiemy. Nasz pobyt w Gerogijewce uznajemy za możliwy w porównaniu z życiem w pobliskim mieście, gdzie nawet wodę trzeba kupować za dziesięć kopiejek wiadro. Niektórzy ciężko pracują w kopalniach. Tu i tam nastroje są jednak coraz gorsze, coraz smutniej i tragiczniej. Tak mało tu dobrych ludzi, na Polaków napadają, w niedziele nie pracujemy, chociaż jest praca. Często wieczorami śpiewamy sobie.”

Roman został zwolniony z pracy ze względu na stan zdrowia, a żonę uznano za domową gospodynię, w kołchozie zatrudnione więc były tylko Helena i Maria, a także Teresa, młodsza siostra Romana. Od śmierci głodowej ratowały ich paczki z żywnością wysyłane przez pracowników majątku Ostapie, przez gospośnię ze Lwowa i siostry zamieszkałe w Krakowie. W lepiance o powierzchni trzech metrów kwadratowych, która stała się ich domem, mieli beczkę z kiszoną kapustą, a na ścianie wisiły, jako zapas na całą zimę, dwa wianki cebuli.

A zima zbliżała się szybko. Już 24 października 1940 roku Inia pisała, że „zima w pełni, wiatry takie, że trudno ustać, ale pracujemy, by dostać chleb”. Helenka dodała w tym samym liście: „roboty polne już się mniej więcej skończyły, na zimę dostaniemy trochę kapusty... cisza tu, nic nie wiemy co w świecie... jak to długo jeszcze potrwa?”

W listopadzie Helenka prosiła rodzinę o książki. „Jeśli możesz, to posyłaj nam książki, najchętniej Sienkiewicza i jakieś lekkie powieści do wspólnego czytania. Straszna rzecz, jak nie ma paczek, tu za pieniądze nic się nie dostanie, tylko na wymianę. Jesteśmy całkiem bez chleba, mąki nie ma. My już nie pracujemy... jak dostaniemy książki, to Ci napiszemy, ale na razie nie mamy papieru do pisania... coraz smutniej i ciężiej żyć”.

W grudniu nie było mniej smutno. „Jestem chora od dziesięciu dni”, pisała Helenka w liście z 12 grudnia 1940 roku. „Nie jem od dziesięciu dni, jestem bardzo osłabiona, ale już trochę lepiej. Z Warszawy pisała p. X, że otwarte są kina, a nawet ruletka. Czy to jest możliwe, że jeszcze jakiemuś Polakowi chce się grać na ruletce? Tu zaczęły się straszne buriany, stepowe wiatry. Dmie kurzawami śniegu i piasku, na dwa kroki nic nie widać, a wyjść nie można, bo wiatr człowieka przewraca. Ale nieraz są też takie dni, że przypominam sobie o Worochcie (tu też są góry). W takie dni mam ochotę przypiąć sobie narty i jechać... do Lwowa. Trudno jednak dłużej zachwycać się czymkolwiek, mam ochotę walić głową w mur. Parę osób próbowało zrobić to, co próbowała Basia Wołodjowska, ale trafiły do więzienia. O świętach nie zapominamy i Wy pamiętajcie o nas. Nasza Wigilia będzie Grottgerowska”.

Na litografii Grottgera zatytułowanej „W Syberii” artysta ukazał grupę pięciu mężczyzn idących po śniegu, którzy dźwigają na ramionach ciężki, drewniany krzyż. Inna litografia zatytułowana „Sybiracy 1863” przedstawia trzech mężczyzn rzeźbiących krzyż w drewnianym pniu. Na pierwszym planie obrazu olejnego z 1866 zatytułowanego „W drodze na Sybir” zobaczyć można mężczyznę w brązowym płaszczu, który upadł na śnieg, wyciągnął w górę ramiona w geście pożegnania ze światem. Klęczy przy nim towarzysz niedoli, za nimi widać grupę innych zesłańców eskortowanych przez rosyjskich żołnierzy. Obrazy o tematyce syberyjskiej malował też Pruszkowski i Malczewski. Obraz olejny Malczewskiego z 1892 roku nosi tytuł „Wigilia na Syberii”. Grupa

ośmiu mężczyzn siedzi przy stole przykrytym białym obrusem, spod którego wymykają się źdźbła siana. Na stole ustawiono talerze, obok nich leżą widelce i noże, ale talerze są puste. Stojący z prawej strony obrazu mężczyzna sypie ze zwiniętego skrawka papieru okruchy chleba na talerz, który podaje mu mężczyzna z drugiej strony stołu. Gruda brunatnego chleba, jeszcze nie połamana, leży pośrodku białej plamy obrusa. Światło wpada do izby przez okno po lewej stronie, ślizga się po ścianie, przy której stoi samowar. Jeden z mężczyzn nalewa herbatę z samowara. Tylko zajęci tymi czynnościami ludzie zdają się zwracać uwagę na to, co się dzieje w pokoju. Inni siedzą pogrążeni w myślach, które prowadzą ich do zupełnie innego świata. Usiłują wrócić we wspomnieniach do domów, które pozostają w odległej przestrzeni. Wszyscy zachowują powagę, na ich twarzach nie pojawia się uśmiech, lecz wyraz cierpienia. Najmłodszy z nich pochylił się nad stołem i zasłonił twarz talerzem, zapewne po to, by ukryć sączące się z oczu łzy. Helenka pisząca o wigilii syberyjskiej mogłaby dzielić się z tamtymi zesłańcami niejednym doświadczeniem.

Nim przyszła wigilia, Helenka długo zmagła się z chorobą. Dziewiątego grudnia 1940 roku pisała za nią Inia. „Helenka już dwa tygodnie leży chora na żółtaczkę. Ciocia i ja chodzimy do roboty, bo wtedy dostajemy prawo taniego kupna mąki (piętnaście kilogramów na miesiąc), która inaczej jest bardzo droga. Teraz odgarniamy śnieg. Mrozów jeszcze wielkich nie ma. Od czasu do czasu silne wiatry, wtedy z chaty nie można wyjść. Ostatnio parę starszych osób zmarło”.

Tuż po świętach Helenka znów mogła pisać. „O świętach woleliśmy nie myśleć. Huragan duje, trudno wyjść za próg. Bardzo nam smutno, zimno i wilgotno. Na zapowiedziane paczki szalenie się cieszymy. Parę dni temu było 38 stopni mrozu, ale Inia i ciocia były w robocie, podmrażały sobie policzki i pięty. Miejscowi się śmieją, że to żadna zima, co Sybir to Sybir, mówią”.

Trzeciego stycznia 1941 roku Helenka znowu wzięła do ręki kartkę papieru, by napisać list. Była bliska załamania, chciała choćby w liście podzielić się z kimś strapieniem. „Tu tak okropnie i nikogo, kto by na duchu podtrzymał, bo każdy wlecze resztkami sił. I ten rozpaczliwy brak kościoła, księdza. Tutejsi ludzie ciągle wzywają szatana, co może doprowadzić do szału, ale przecież w głębi duszy wierzymy, że Bóg się nami opiekuje, chociaż często powtarzamy sobie: „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił”. Zaczynają się teraz pochmurne dni, deszcze i wiatry, czyli gorzej, bo roboty nie ma, a nią człowiek choć trochę się absorbuje i znikają te straszne myśli. W taki dzień jak dzisiaj, to kompletnie zmysły się mieszają i tylko modlitwą można się pokrzepić. Wierzymy, że jakaś sprawiedliwość boża musi zapanować na świecie i te nasze cierpienia na marne nie pójdą, a może nawet komuś się przydadzą. Gdyby ludzie wiedzieli, jak wiele dobrego robią, pisząc do nas, to pisaliby i parę razy dziennie, ale niestety, tej sytuacji nikt absolutnie odczuć nie może. Chyba tylko Mickiewicz i inni poeci byłiby zdolni opisać, co nas otacza, ale byłyby to opisy znacznie bardziej przejmujące od tych, które powstały „na paryskim bruku”. Może jednak i pióro Mickiewicza by zadrżało, gdyby tu się znalazł, bo genialne zdolności czasem nie wystarczają, kiedy kiszki marsza grają, albo kiedy trzeba zbierać nawóz, by nim zagrzać trochę wody z kartoflami. Natchnienie wtedy łatwo ucieka, a pióro mogłoby posłużyć jako podpałka do pieca. Przysłali nam trochę książek ze Lwowa, ale właśnie Mickiewicza i Krasińskiego. Jak zaczęłam czytać „Pana Tadeusza”, to zaraz oblałam się łzami, bo mi przypomniał się zeszlóroczny

cudny teatr w Szymanowie. Teraz nie chcę brać do ręki tej książki, ani nawet widzieć jej tytułu. Z medalem Sodalis Marianus nie rozstaję się w dzień i w nocy, bo mi przypomina, że Matka Boża Jazłowiecka czuwa nade mną. Niestety dyplom przepadł we Lwowie, jak i wiele innych cennych rzeczy. Oprócz walizki wszystko mi przepadło. Proszę dużo się za nas modlić”.

Inia miała o książkach nieco inne zdanie niż Helenka, o czym pisała szóstego stycznia 1941 roku. Dodała też informacje o zorganizowanych podczas świąt nabożeństwach. „Bardzo serdecznie dziękujemy za książki. Ogromnie mnie ucieszyły i wszyscy je czytamy. Święta minęły, dziś Trzech Króli. Tak dzisiaj, jak i w święta, zebraliśmy się na nabożeństwa, które mają takie powodzenie, że będą prawdopodobnie co niedziela w innym pomieszczeniu. Do roboty rzadko się chodzi, a ja od dwóch tygodni nie wychodzę wcale, bo odmroziłam twarz, a teraz mam porządnie rozbite kolano. Na święta rzucili trochę rzeczy (cukier itd.), ale to jak psom ochłapy. Jednak i o te rzucone rzeczy trzeba walczyć. Dzieją się takie rzeczy, że Polacy i kobiety nic nie mogą zdobyć. Niektóre osoby głodują, od czasu do czasu robi się dla nich składki. Na ogół jest duża solidarność. Koło chat utworzyły się zwały śniegu, boimy się odwilży”.

Helenka pisała na razie o zimie. „Tu zima w pełni. Ciężko bardzo i często staje przed oczami napis, który Dante widział dobijając do celu podróży. Myślą jestem z Wami, między swoimi, chociaż dzielą nas nieprzebyte kilometry i przeszkody. Minął rok 1940, to dobrze, ale wciąż nie możemy sobie wyobrazić co przyniesie 1941. Niech nas Bóg strzeże i chroni od złego”.

Dwudziestego dziewiątego marca Helenka martwiła się z powodu zagrożenia powodzią. „Śniegi tają i zanoszą się na powódź. U nas woda po kostki na razie tylko w sieni. Na drugą stronę ulicy nie można przejść, bo zamieniła się w rwącą rzekę. Ze zdrowiem marnie. Teraz za dwadzieścia dni pracy dali nam po trzy kilogramy mąki i na tym koniec”.

To wszystkie listy dziewczynek, które ocalały. Opis dalszych losów rodziny wyczytać można z listów pozostałych osób, których dotąd nie cytowałem nie chcąc przerywać toku narracji.

W marcu ojciec dziewczynek pisał o mijającej zimie. „U nas nic specjalnego nowego, tylko co dnia za Wami tęsknimy. Zima mija, już coraz mniej mrozów i burianów. Opieka czuwa nad nami. Do pracy chodzimy: śnieg, czyszczenie zboża. Poza tym dnie płyną monotonicznie w trosce o chleb powszedni”.

W kwietniu Roman dziękował za otrzymaną paczkę. „Znowu doszedł dowód Waszej najdroższej i tak z serca płynącej pamięci. Nawet nie możecie sobie wyobrazić, z jaką wdzięcznością i radością rozpakowaliśmy paczkę z tyloma cudnymi i nieocenionej wartości rzeczami. Wszystko przyszło według spisu, nienaruszone i dobrze zapakowane. Pisaliście o tym, że X. (Karla Lancorońska, przez Szwajcarię, przyp. H. M.S.) przyczyniła się w tak znacznej mierze. Nie mając jej adresu nie możemy podziękować, musicie za nas to uczynić. Żeby ona, tak boleśnie dotknięta i biedna, jeszcze o innych się troszczyła, jest naprawdę nadzwyczajne. Bóg jej to miłosierdzie wynagrodzi. Wszystkim bezimiennym ofiarodawcom zasyłamy na Wasze ręce serdeczne Bóg zapłać. U nas nic nowego się nie dzieje. Baliśmy się powodzi, bo przyszły nagle roztopy, rzeki płynęły aż pod naszą kuczę, ale jej nie zaczepiły. Wyglądało groźnie, jednak niebezpieczeństwo minęło. Inne chaty zalane. Teraz jest fantastyczne błoto, ale mamy wrażenie, że już nic innego nie grozi”.

Ciocia Teresa nie była taką optymistką. W tym samym miesiącu, kwietniu, pisała o dachu nad chatą grożącym zawaleniem, nawiązywała też, podobnie jak Helenka, do tekstów Dantego: „Lasciate ogni speranza, voi ch'intrate” (porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzić). Poeta, który przypisał sobie rolę wędrowca do przypisanej mu roli wygnańca, umieścił ten napis na bramie piekła. Jego poezja, którą obydwie dziewczynki znały ze szkoły, znana była także wielu polskim wygnańcom niemal tak dobrze, jak poezja Krasińskiego czy Mickiewicza. Krasiński pisał o swej *Nie-Boskiej Komедii*: „Mam dramat dotyczący się rzeczy wielu wieku naszego. Jest to obrona tego, na co targa się wielu hołuszów: religii i chwały przeszłości”. Helenka płakała nad stronami *Pana Tadeusza*, o czym wspomniała w liście styczniowym, ale zapewne także i nad niejedną strofą dramatu Krasińskiego w księdze przysłanej ze Lwowa.

Teresa pisała w liście z czwartego kwietnia 1941 roku nie tylko o walącym się dachu. „Za tak częste dowody pamięci z całego serca dziękujemy. Każda kartka to prawdziwa radość i duchowy kontakt na tym bezdennym i mrocznym pustkowiu, o który nawet w koszmarach trudno, a właściwie niemożliwym jest sobie wyobrazić. Pióro Dantego by tego pisać nie zdołało. Wiosna już nadeszła, po strasznej zimie i powodzi. Woda była w sieni, teraz dach rozmoknięty się wali. Dziewczynki od 6 rano do 8 wieczorem w stepie. Orzą bykami, za co jako zarobek otrzymują trzy razy dziennie zupę na miejscu i jedną trzecią kilograma chleba razowego oraz jeden lub dwa ruble, co się równa wartości jaja. Roman niedomaga i tylko dwa, trzy razy w tygodniu wychodzi do pracy. Tita niewypowiedzianie się męczy przy „gospodarstwie” domowym. Żaden fornal tak by u nas nie żył, jak my żyjemy. Wszystko po bajońskich cenach i niesłychanie trudno otrzymać. Ratuja nas paczki. Nadzieja na zmianę lub polepszenie bytu coraz mniejsza i smutek oraz tęsknota coraz większe. Ale i to minie. Bóg z Wami”.

Roman pisał zwykle krótkie listy, takie, jak ten z kwietnia. „Wszystkie Wasze przesyłki doszły w całości. Jaką nam radość sprawiły i jak wdzięczni jesteśmy – trudno opisać. W tych przesyłkach zakłete jest całe Wasze tak dobre i kochające serce, które, możecie być pewne, docenić umiemy. I wiemy, że robicie, co możecie, więcej nawet niżby spodziewać się można”.

W liście z dziewiątego kwietnia Teresa pisze nie tylko o polskich zesłańcach. „Tutaj jest miejsce zesłania. Spotyka się popów, archimadrytów, profesorów uniwersytetów. Parę dni temu był sąd i skazano kilka kobiet na dziesięć lat więzienia w Semipałatyńsku. Przebywa tam już sto Polek, głównie za chęć ucieczki lub język. Wszystko na skutek donosów miejscowych. Jesteśmy znienawidzeni, bo opowiadają, że gnębiliśmy biednych, a ostatnio ich żołnierzy, gdy wkraczali oswobodzić uciemiężony naród”.

Jeszcze dobitniej i z większą odwagą Teresa pisze w liście z 31 maja 1941 roku. „Tu jest przeklęty kraj: w lecie zabójcze upały, w zimie zabójcze zimno. W lecie posucha, w zimie buriany. Ziemia nic tu prawie nie rodzi i rzeczywiście trzeba pamiętać, że „w pocie czoła chleb twój jeść będziesz”. Skąd zresztą ta ziemia ma coś rodzić, kiedy klimat fatalny, posucha, fatalna uprawa i zupełny brak nawozów, sztucznych nie dają, a naturalny przerabiają na tzw. kiziak, który służy za opał, bo drzew ani śladu. Praca jest wstrętna, bo nie tylko w okropnych warunkach zdrowotnych, ale wszystko jest tak bałaganiarskie, brudne, poszarpane, a bydło i konie nieczyszczone, całe poranione, głodne i złe. Ludzie też źli, zazdrośni, przeklinają od rana do wieczora. Chwilowo orzą bykami, chociaż to robota zupełnie

niestosowna dla kobiety, bo byki nie chcą iść, kręcą się, padają. Trzeba pędzić cztery takie bydlaki, kilka razy dostałam już rogiem. Płaconym się jest od hektara. Te przeklętniki wykorzystują Polaków, bo każą po pięć razy przejeżdżać po tym samym miejscu. Dwa razy dziennie dają nam zupę kartoflaną z owsem, a mówią, że konie zdychają, bo my wyjadamy im owies. Siedemset gramów chleba kosztuje dwa ruble, czyli tyle, ile się zarobi bronując trzy morgi pola. Pracujemy więc za pomyje i chleb z otrębów. Twierdzą przy tym wszystkim, że to kraj sprawiedliwości, a u nas był wyzysk. Gdy chłodno, to jeszcze można wytrzymać, ale w skwarze to męka. Z tutejszego równouprawnienia kobiet wynika, że kobieta musi wykonywać te same prace, co mężczyzna i żądają od niej tyle samo normy. Jakie to wszystko ohydne trudno opisać, ale musi tak być w kraju, skąd Boga wyrzucono i panuje łajdactwo. Mamy w kołchozie praktykantki rolne z Semipałatyńska, młode, szesnastoletnie dziewczęta. Jaka tam u nich demoralizacja i co one opowiadają – to uszy więdną. Wszystko jest celowe, aby z człowieka zrobić bydlę i zabić w nim duszę. Oby tylko u nas się nie przyjęło, bo człowiek łatwo nasiąka tym, co złe, a jeżeli to potrwa, to młodzież nasza się rozpaskudzi”.

Teresa знаła dobrze warunki pracy na roli w przedwojennej Polsce, bo, jak pisze Helena Morawska-Stec w swojej książce o rodzinie Wacława Zaleskiego, zajmowała się administracją majątku Ostapie w województwie tarnopolskim, który należał do jej brata Aleksandra. Pomagała też ludności wiejskiej jako pielęgniarka po ukończeniu zawodowego kursu i po praktyce w szpitalu. Miała w Ostaniu stałe godziny przyjęć chorych, którzy tłumnie zgłaszali się do niej po poradę i na zabiegi. Darzono ją ogromnym zaufaniem. Ludność z Ostapia nie zapomniała o niej i jej rodzinie w czasie wojny i na zesłaniu. Kiedy enkawudziści wyprowadzili z domu rodzinę Zaleskich na rozstrzelanie, ludzie ze wsi tłumnie rzucili się w ich obronie i nie dopuścili do użycia broni. Po aresztowaniu Teresy i uwięzieniu w Skałacie, miejscowa ludność próbowała sprawić, by ją zwolniono. To jednak nie poskutkowało. Dopiero w czasie przesłuchania u naczelnika Teresa obiecała wskazać miejsce, gdzie ukryto srebro i dzięki temu została zwolniona z aresztu.

W czerwcu 1941 roku Teresa wysłała do siostry Marii Elżbiety Zaleskiej i do Marii Morawskiej ostatni list z zesłania. Nie przypuszczała jeszcze, że nadchodzi wyzwolenie. „U nas katastrofalna posucha i upały dochodzące do 50 stopni. Jestem bardzo zapracowana i przemęczona. Orzę bykami od 6 rano do 8 wieczorem. Nie masz pojęcia, co to za wstrętne bydlę taki byk. U nas brano do tego silnych mężczyzn, tutaj pracują Polki, bo ruskie nie chcą. Orzemy we dwie, jedna popędza zaprzęg czterech byków, druga pilnuje pług dwuskibowy. Trzeba cały dzień krzyczeć, jedną ręką ciągnąć za sznur uczepiony o rogi, aby byki nie schodziły z bruzdy, a drugą ręką walić nahajem. Dziś zostałam w domu, bo mi takie przebrzydłe bydlę stanęło na bosą stopę. Jutro niedziela, a do poniedziałku musi ból minąć, by znowu zacząć orkę. Te bydlaki nocą pasą się na stepie, gdzie trawa spalona, a rano musimy rozpoznać wśród kilkudziesięciu sztuk swoje i złapać je za rogi. Czasami wzdycham, by mieć Ursusa do pomocy. Polki mają dobrą markę, jako sumienne i inteligentne pracownice, ale dokuczają nam dostatecznie, używając takich określeń, jak „polskie panny”, inteligentne” albo przeklinają „pańską Polskę”. Krzyczą też, że nosimy medaliki. My się nie dajemy i odgryzamy się jak możemy, ale to wszystko razem nie jest wcale wesołe. Człowiek tak zmęczony, że w przerwie obiadowej chciałby zasnąć na go-

łej ziemi, ale nie można, bo trzeba pilnować, żeby byki nie uciekły. Nie wolno ich przywiązywać, bo mają odpocząć (człowiek nie musi odpoczywać). Gdyby się coś stało zwierzęciu, to staje się pod sąd. Tu nie ma człowieka, który by nie siedział w turmie, a traktują to, jak u nas wyjazd na lotnisko. Nic się jednak nie martw przyszłością, trzeba ufać Bogu, zwłaszcza wtedy, gdy wszelka nadzieja zdaje się być stracona. Bóg pomoc nadeśle wtenczas, gdy zawiodą wszelkie ludzkie nadzieje”.

I tak się stało. Po zawarciu 30 lipca 1941 roku umowy między rządem polskim w Londynie a sowietami, wielu zesłańców odzyskało wolność. Udało się też rodzinie Zaleskich. Kiedy jechali na południe, na stacji w Buzułuku, gdzie formowała się polska armia, Teresa rozpoznała w tłumie brata Aleksandra, o którym przypuszczała, że nie żyje. Był w stanie skrajnego wyczerpania, brudny, wychudzony, ze zmienionymi rysami twarzy. Teresa zabrała go do szpitala jako swojego pierwszego pacjenta.

W chwilach wytchnienia mogła sobie powtarzać wiersz Konopnickiej pod znamiennym tytułem: *Contra spem spero*. Odnajduję tekst w niewielkim tomie wydanym w Warszawie (druk w Krakowie) w 1911 roku. Książkę przywiozła ze Lwowa matka ojca, Zofia. Książka jest niewielkiego formatu, jakby przystosowana do tego, by ją wziąć w podróż. Babcia podarowała mi ją dawno temu, przed moją imigracją do Ameryki. Wskazywała ten wiersz na pocieszenie, próbując mnie odwieść od decyzji wyjazdu. Odnalazłem ją na półce w domu rodziców po powrocie do kraju i ze wzruszeniem przeczytałem wszystkie strofy pod tytułem, który powtarzałem sobie często podczas siedemnastu lat nieobecności, by zachować nadzieję, wbrew obawom (całego wiersza nie zapamiętałem, nie miałem tak dobrej pamięci, jaką miał stryj Leszek, który potrafił cytować nawet prozę Sienkiewicza). Do tego wiersza wracałem też w ostatnich latach, zwłaszcza wiosną 2010 roku.

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę,
A obrócony wzrok trzyma na burze
I nawałnice...
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei,
Przeciw nadziei.

[...]

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły;
Idziem – jak idą bezdomne przechodnie,
Z zwiędłymi czoły...
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady.
Wiem! Niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli...
I ja też lecę jak ptak obłąkany,
Z wichrem gnany.

Przecież o zmierzchu skrzydłami bijąca

I piekiel naszych ogarniona sforą –
 Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
 Contra spem spero...
 I w głębi mogił czuję życia dreszcze,
 I ufam jeszcze.

Przeciw nadziei i przeciw pewności
 Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
 Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
 W jutrznię błękitów...
 I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei –
 Przeciw nadziei.

W szpitalach wojskowych Teresa miała pełne ręce roboty. Ciężki atak malarii, której się nabawiła podczas wędrówki Drugiego Korpusu przez Bliski Wschód, nie skłonił jej do opuszczenia wojska. Pomagała żołnierzom rannym pod Monte Casino i na północy Italii. W roku 1946 odpłynęła z transportem rannych do Anglii i tam pracowała aż do kresu sił w szpitalu wojskowym w Penley-Hall. Na skutek przemęczenia, choroby serca i ataków astmy, zmarła w 1948 roku i została pochowana na lokalnym cmentarzu wojskowym. Żegnali ją tłumnie wdzięczni pacjenci, koleżanki i koledzy.

Helena oraz Maria Zaleskie wyjechały wraz z rodzicami z Georgijewki 23 października 1941 roku kierując się na południe. Kiedy rodzina dotarła do Taszkientu, ojciec Heleny i Marii, Roman, znalazł się w szpitalu z powodu choroby serca i załamania nerwowego. Córki musiały zabiegać o to, by nie brakowało mu jedzenia, sprzedawały resztki rzeczy, które zdołały zachować. Z tego powodu musiały się pozbyć zegarka, a także części swojej odzieży. Ojciec wyszedł ze szpitala dopiero po dwóch miesiącach. To nie był niestety koniec ich problemów zdrowotnych. Kiedy dojechali do Kattakurgan, miejscowości położonej przy linii kolejowej łączącej Bucharę z Samarkandą, matka zachorowała na tyfus płamisty, Inia na dyzenterię, a ojca pogryzł w nogę pies, tak, że dostał niebezpiecznego zakażenia. Miał wysoką gorączkę. Helena była jedyną osobą, która nie zachorowała, opiekowała się więc rodziną, jak mogła, zdobywając żywność i przygotowując posiłki. Lekarstwa były niedostępne, graniczyło więc z cudem, że wszyscy troje wyzdrowieli, choć organizmy były wyczerpane po bytem w łagrze. W marcu 1942 roku Helena i Maria dostały telegraficzne wezwanie do służby wojskowej przy Armii Andersa, gdzie pracowała ich ciotka, Teresa. Zgłosiły się do wojska, złożyły przysięgę żołnierską. Gdy armia polska ruszyła w kierunku Europy, Helena i Maria połączyły się znów z rodzicami, którzy w międzyczasie dotarli do Teheranu. Roman nawiązał w Teheranie kontakt z niemieckimi salezjanami i z apostolskim delegatem na Iran, późniejszym nuncjuszem apostolskim w Libanie, arcybiskupem Alcide Marina. Zarówno salezjanie, jak i arcybiskup otoczyli ich troskliwą opieką. Salezjanie znaleźli dobry pokój w wili niedaleko swojego kościoła, a Marina wystarał się o żywność i odzież. Dzięki rekomendacji polskiego konsula, Roman dostał pracę w angielskiej firmie transportowej. Za uzyskaną z góry zaliczkę małżonkowie opłacić mogli mieszkanie i rozpoczęli w miarę normalne życie. Po niedługim czasie Roman został przeniesiony na stanowisko sekretarza do spraw personalnych i miał angażować polski personel do prowadzenia pięciu domów pracowniczych w Teheranie. Znalazł pracę dla ponad osiemdziesięciu polskich uchodźców z sowieckich łagrów. Miał też nadzór nad magazynami sprzętu sa-

mochodowego, pracował w Komitecie dla Uchodźców. W 1944 roku rodzice wraz z córkami przenieśli się do Bejrutu, gdzie Roman dostał pracę w kancelarii wydziału lekarskiego przy uniwersytecie francuskim. Zorganizował Dom Polski w Libanie, który mieścił restaurację, kawiarnię, bibliotekę, czytelnię, salę zebrań i niewielki hotel. Inia i Helenka zdały maturę i zaczęły studia uniwersyteckie. Inia studiowała prawo, a Helenka pielęgniarstwo.

Helena Morawska-Stec cytuje w swojej książce telegram Romana do rodziny z lutego 1942 roku. „Córki zdają maturę, brat u Nilowskich (w Egipcie, przyp. HMS), wszyscy zdrowi, bądźcie o nas spokojni. Uściski, Romanowie”. Egzamininy końcowe Heleny wypadły tuż przed jej ślubem ze Stanisławem Sławińskim, kapitanem, dowódcą łączności w Armii Andersa, który się odbył 29 października 1946 roku. Państwo Sławińscy wyjechali z Bejrutu do Anglii i zamieszaży w Londynie. Po wojnie dołączyli do nich Romanowie oraz Inia. Po drodze przez Palestynę dotarli do Kairu, gdzie spotkali się z bratem Romana, Aleksandrem. Roman dostał zasiłek rządowy, żona zarabiała korepetycjami z języka francuskiego. Inia pracowała w kancelarii adwokackiej. Nie wyszła nigdy za mąż. Dziś Helena i Inia mieszkają w londyńskim domu nabytym przez ojca tuż przed śmiercią w 1955 roku. Według słów Heleny Morawskiej-Stec, kontakt z Helenką jest utrudniony ze względu na wiek, Inia trzyma się jeszcze, choć nie może wychodzić z domu na spacerzy do pobliskich parków, czego żałuje, bo zawsze bardzo lubiła przyrodę. Wychodzi jednak często na balkon i stamtąd obserwuje bieg pór roku.

W listach obu dziewczynek, dziś starsuszek, a także w książce o losach rodziny Wacława Zaleskiego spisanych przez Helenę Morawską-Stec, znalazłem to, czego szukam zwykle w takich tekstach. Na początku drugiej dekady drugiego milenium czytam o *distantias locorum* oraz o drogach, którymi przeszli rodacy w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Czytam i porównuję ich przeżycia ze swoimi przeżyciami w różnych miejscach na kilku kontynentach. Mówię sobie: „po zwróceniu swoim zasiadłem” nie w rodzinnym Lwowie ani Buczaczu, lecz we Wrocławiu. I „rekoliguję się z pamięcią” własną, ale też innych peregrynatów, by lepiej i szerzej patrzeć na otaczający świat. Nie tylko z balkonu. Patrzę na dęby Parku Szczytnickiego za oknami domu rodziców i staram się przypomnieć sobie jak długie były cienie drzew przed moim wyjazdem z Polski. A kiedy zmęczone się takimi pomiarami czasu i przestrzeni, jakie wynikają ze wspomnień o cieniach drzew, staram się patrzeć poza ich korony. Poza horyzont dwudziestego pierwszego wieku. Nie wychodzę dalej, niż pozwala mi na to pamięć moja i tych znajomych lub nieznajomych osób, które spisały swoje wspomnienia, ale to nie przeszkadza mi w podróży, choćbym docierał w myślach do innych krajów niż chrześcijańskie. Pamiętam, że „istotom ludzkim potrzebne jest zarówno miejsce, jak i przestrzeń” i w samotności miejsca staram się wyczuć ogrom otaczającej przestrzeni. Tej współczesnej oraz historycznej. Nie gubię się w niej dzięki przewodnikom takim, jak ci peregrynaci, którzy znaleźli ścieżkę do domu pomimo trudności i przeszkód.

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam siłę, by pismo ukazywało się regularnie. Przyznajemy, że sił tych nam jeszcze wystarczy. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy od autorów z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie z języka rosyjskiego ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, otrzymaliśmy też niewielkie kwoty od różnych osób, dzielących się z nami przysłowiowym „wdowim groszem”.

Drodzy Czytelnicy!

Redagowanie pisma to wiele czynności edytorskich oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Skończył się już rok 2010, a nie wszystkie Oddziały uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze. Prosimy też o to aby nie zaniedbywać wspierania „Zesłańca”, który ciągle jest w finansowej potrzebie.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii dawnej oraz najnowszej aż po współczesność, bo ciągle przecież mamy i będziemy mieć związki z Syberią. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok i Czukotkę to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się w większej objętości. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

**Wiesław K r a w c z y ń s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków**

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Mieczysław Chudziakiewicz – *Jedno polskie życie*

Już czas, czas wspomnień. Urodziłem się 13 stycznia 1931 r. we Lwowie, w sanatorium „Salus”. Rodzina zmartwiła się mocno, że przyszedłem na świat trzynastego i zapisała mi na chrzcie i w księgach, iż urodziłem się 14 stycznia. Tak rzekomo miało być lepiej – uniknęło się feralnej trzynastki. Uważam jednak, że trzynastka jest dla mnie liczbą szczęśliwą, chociaż, prawdę mówiąc, nie przywiązuję do tego większej wagi.

Ojciec mój, Mikołaj Chudziakiewicz, w tym czasie, kapitan Wojska Polskiego, stacjonował w Przemyślu, dziadkowie zaś mieszkali we Lwowie – stąd moje lwowskie narodziny. Matka po moim narodzeniu przestała pracować — poprzednio była nauczycielką. Według relacji rodziców począłem się na święcie pułkowym, obchodzonym w rocznicę zdobycia na bolszewikach dwóch armat przez oddział pod dowództwem mojego ojca. Na uroczystości tej ojciec był fetowany i podkreślali jego zasługi. Ojca darzyłem wielką estymą. Był wielkim idealistą i gorącym patriotą. Jeszcze jako gimnazjalista wstąpił do Legionu Wschodniego. Po rozwiązaniu Legionu Wschodniego ojciec został przymusowo wcielony do armii austriackiej, następnie dostał się do niewoli włoskiej, by później walczyć jako ochotnik po stronie koalicji w Oddziale Polskim przy Armii Włoskiej. Tu zasłużył się i otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń

włoskich „Al Valor Militare”. Później, oddział ten został wcielony do Armii Polskiej gen. Hallera we Francji i z armią tą ojciec powrócił do Polski.

Następną kampanią była kampania bolszewicka. Za udział w walkach o niepodległość Polski otrzymał między innymi Srebrny Krzyż Virtuti Militari i dwukrotnie – Krzyż Walecznych. Ojciec po ciężkim zranieniu na froncie wschodnim został w wojsku jako oficer oświatowy, by później ukończyć studia prawnicze z tytułem doktora praw. Jako prawnik został przeniesiony do korpusu audytorów i pełnił funkcję sędziego. Pochodził z biednej rodziny, był pogrobowcem – ojciec jego, kowal z zawodu, zmarł na zapalenie płuc zanim on się urodził. Wszystko co w życiu osiągnął było wynikiem jego samozaparć, wielkiej pracy i oddania Ojczyźnie, za co jeszcze bardziej jego ceniłem. Rodzinę ojca znałem stosunkowo mało, wprawdzie ojciec jeździł odwiedzać swoją matkę i wspomagał ją finansowo, ale kontaktów z babką ze strony ojca, prawie nie było.

Matka – córka nauczyciela matematyki i rysunku, później inspektora szkolnego Ludwika Tarasa oraz Marii z Moszorów – też nauczycielki, reprezentowała średnią inteligencję kresową. Dziadek Ludwik w czasie zaboru austriackiego był czynnym członkiem sportowo-patriotycznej organizacji „Sokół” i działał aktywnie w krzewieniu oświaty polskiej na terenie Małopolski Wschodniej, między innymi współdziałał przy tworzeniu znacznej ilości szkół wiejskich. Dziadkowie mieli dwoje dzieci – moją matkę Marię i syna Tadeusza Tarasa, późniejszego profesora i prorektora Uniwersytetu Marii Skłodowskiej Curie w Lublinie. Przed wojną Tadeusz Taras ukończył studia prawnicze we Lwowie i był początkującym prokuratorem w Czortkowie.

Ojciec, jak go pamiętam, był stale zapracowany, natomiast domem zajmowała się matka. Duży wpływ na moje wychowanie miała babka, u której często przebywałem we Lwowie. Była to osoba bardzo zasadnicza, bogobojna i pobożna: wychowała się bowiem u swego kuzyna Jakuba Moszoro – infułata ormiańskiego we Lwowie. Infułat Moszoro, którego ja znałem tylko z opowiadań, był człowiekiem wielkiego charakteru, wyjątkowo prawy i wywarł duży wpływ na osobowość babki. Przez całe życie podkreślała ona swoje ormiańskie pochodzenie oraz swój katolicyzm obrządku ormiańskiego. Rodzeństwo babci posiadało niewielki majątek w Strzylczu pow. Horodenka, woj. stanisławowskie. Było tam jak pamiętam 5 koni, 10 krów, 2 psy i sporo innego inwentarza, niewielki dworek i zabudowania gospodarcze. Niedaleko płynął potok-młynówka, a w sąsiedztwie stał duży młyn. W potoku było sporo ryb, głównie płocie, które łowiłem, gdy przyjeżdżałem na wakacje. Na wieś, do rodziny babci, przyjeżdżałem niemal na każde lato. Moi rodzice poznali się właśnie w tej okolicy. Ojciec za zasługi wojenne otrzymał ziemię w pow. Horodenka, we wsi Raszków. W pociągu, w którym jechał by oglądać nabytą ziemię, poznał moją matkę. I tak to się zaczęło. Ja do wojny, krążyłem między domem rodziców, domem babci w Lwowie i majątkiem w Strzylczu. A dom rodziców często się zmieniał. Ojca, jako wojskowego, często przenosili – i tak początkowo do 1935 roku mieszkaliśmy w Przemyślu, potem dwa lata w Bydgoszczy, gdzie ojca awansowano do stopnia majora, a następnie od 1937 do 1939 w Tarnopolu, gdzie ojciec pełnił funkcję szefa sądu.

Nareszcie nastąpił spokój w tych ciągłych przeprowadzkach związanych z życiem rodzin wojskowych. Niestety, spokój był krótkotrwały. Coraz bardziej gęstniała atmosfera polityczna w Europie i narastały żądania Hitlera wobec Polski

w sprawie „korytarza” i miasta Gdańska. Ja nie zdawałem sobie sprawy z tego co się dzieje wokół nas. Do szkoły nie chodziłem. Byłem bardzo słabego zdrowia i rodzice postanowili przez dwa pierwsze lata, uczyć mnie w domu – przychodził korepetytor a ja zdawałem jako ekstern w szkole. Tak ukończyłem dwie klasy. Według opowiadań mamy, byłem dzieckiem niezdolnym, nieposłusznym i niejadkiem. Byłem przy tym, jak wspominałem, chłopcem szczupłym i wątłym, toteż rodzice moi postanowili poprawić moją kondycję i zaprowadzili mnie do znanego profesora lwowskiego, pediatry i dietetyka prof. Grera – tak chyba brzmiało jego nazwisko. Ów profesor zalecił mi regularne jedzenie posiłków według odpowiedniego zestawu i wagi i tak, miałem spożywać na obiad: tyle a tyle mięsa, tyle jarzyn, taki kompot itd. Oczywiście rodzina zastosowała się do zaleceń profesora i przystąpiła do ich realizacji. Zaczęto wciskać we mnie odpowiednią ilość dekagramów poszczególnych produktów. Wyglądało to jak tuczenie gęsi. Efekt tego był taki, że po spożyciu całej zalecanej porcji, wszystko zwmiotowałem. Jeszcze raz, usiłowano zrealizować zalecenia profesora i wciskano we mnie jedzenie. Ale efekt był podobny zrezygnowano z karmienia mnie na siłę.

Z ojcem często chodziłem na spacer. Przed wojną był taki zwyczaj, iż oddział wojskowy oddawał honory oficerom sztabowym, jakim był major, przez krok defiladowy. Mnie, małemu chłopcu bardzo to imponowało i byłem dumny z ojca. Bawiłem się z rówieśnikami tylko na podwórzu najczęściej w wojsko, zabierając ojcu kaburę i pas. Sprawiało mi przyjemność robić różne niespodzianki, zwłaszcza gdy przychodził korepetytor. Raz tak przemyślnie się schowałem, że lekcja nie odbyła się, korepetytor poszedł do domu. Koniec tej sielanki nastąpił brutalnie i nagle – wybuchła wojna. Mnie zastała u dziadków we Lwowie. 1 września 1939 roku był pięknym dniem. Wprawdzie rano ogłoszono alarm, ale jakoś nikt nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa i nawet nie schodzono do schronów. Dopiero następnego dnia, jak usłyszeliśmy wybuchy i zaczęły terkotać karabiny maszynowe, uświadomiliśmy sobie grozę sytuacji i zbiegliśmy do piwnicy. Trzeciego dnia wojny przyjechał ojciec, aby mnie zabrać do Tarnopola. Jeszcze przeżyliśmy jeden lub dwa naloty, ale przy ulicy gdzie mieszkałem u dziadków nic szczególnego się nie działo. Pamiętam jak wychodziło nasze wojsko na front, żegnane kwiatami, uśmiechem i łzami przez tłumy Lwowian. Żołnierze szli uśmiechnięci, pełni zapału, nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, że losy wojny potoczą się tak tragicznie dla nas wszystkich.

Ojciec zabrał mnie 4 lub 5 września do Tarnopola. Dworzec Główny był już zbombardowany, więc jechaliśmy z innego dworca. W Tarnopolu mieszkaliśmy niedaleko dworca kolejowego, na ulicy Punczerta. Wynajmowaliśmy mieszkanie u państwa Łeniów, Ukraińców, właścicieli fabryki tutek do papierosów. Dom ich, jak na czasy wojenne, stał w wyjątkowo niefortunnym miejscu. Bliskość torów kolejowych narażała nas na częste bombardowania. W tym czasie, obrona lotnicza zarządziła kopanie rowów przeciwlotniczych w pobliżu parku i należało się tam udać w wypadku alarmu lotniczego. Tak też zrobiliśmy po ogłoszeniu alarmu. Niestety, w drodze do tych rowów, na czystym polu, nadleciały samoloty i zaczęło się bombardowanie z bardzo niskiego pułapu. Wpadliśmy do jakiejś szopy, gdy uderzyła bomba w dom przy parku, do którego na szczęście nie zdążyliśmy dobiec. Powietrzem targnął potężny huk i odczuliśmy silny podmuch. Usłyszeliśmy terkot karabinu maszynowego. Strzelali

do biegnących ludzi. Gdy samoloty odleciały zobaczyliśmy skutki bombardowania. Widocznie nie była to duża bomba bo tylko zerwała narożnik domu i odsłoniła wnętrze jakiegoś pokoju na parterze. Pamiętam jak dziś, rozhuśtany kilim na fragmencie ściany. Ojciec z jeszcze jednym oficerem pobiegli ratować rannych – było ich kilku i jeden zabity. Zawiadomiono pogotowie. Po powrocie do domu, a było to 100 metrów od miejsca upadku bomby, stwierdziliśmy wybitcie wszystkich szyb, a ja znalazłem jeden odłamek. Na szczęście, nikomu z nas nic się nie stało. Po tym wypadku przenieśliśmy się do centrum Tarnopola, które było mniej narażone na bombardowania.

W tym czasie, około 10 września 1939 r. przybyła do Tarnopola duża grupa oficerów audytorów z Warszawy z Najwyższego Sądu Wojskowego i Prokuratury przy Sądzie Najwyższym, pod dowództwem płk Matznera. Ojciec, jako gospodarz na tym terenie, zapewnił im zakwaterowanie na terenie miasta. Do naszego mieszkania przyjęliśmy kpt. Lesława Meinhardta, znanego ojcu jeszcze z wspólnej pracy w Przemyślu, wraz z jego żoną i synem. Ojciec będąc inwalidą wojennym, pozostał w garnizonie w Tarnopolu, natomiast jego zastępca kpt. Hryckowian, wyjechał z dywizją na front. Przybyli oficerowie z Warszawy, przywieźli złe wiadomości. Na całym froncie armia polska cofa się, a Marszałek Smigły Rydz opuścił stolicę. Były to wieści przygnębiające.

17 września 1939 r. wybuchła jeszcze gorsza wiadomość. Wojska sowieckie przekroczyły wschodnią granicę Polski. Płk Matzner zarządził ewakuację wszystkich oficerów w kierunku granicy rumuńskiej. Ojciec został włączony do tego transportu. Nie ujechali jednak daleko – wojska sowieckie odcięły im drogę. W tej sytuacji zawrócono do Tarnopola. Płk Matzner wpadł na pomysł, aby pertraktować z władzami sowieckimi i prosić ich o wolny przejazd do Rumunii. Ojciec (jak mi opowiadał) zdecydowanie się temu sprzeciwił, twierdząc, że z silniejszym nie można pertraktować – można tylko, albo poddać się, co nie wchodziło w grę, albo przedzierać się do Rumunii na własną rękę. Znał, aż za dobrze bolszewików, jeszcze z wojny 1919-20 r. Namówił do przedzierania się na własną rękę jeszcze kpt. Mainhardta i w nocy zjawili się w naszym domu, przebrali w ubrania cywilne, pożegnali się z rodziną i podążyli w kierunku granicy rumuńskiej. Ja spałem. Ojciec pocałował mnie śpiącego i tak rozstaliśmy się. Jak przewidział ojciec, wszystkich pertraktujących aresztowano i ślad po nich zaginął. Ojcu nie udało się jednak w tym czasie przejść przez granicę. Czterokrotnie był zatrzymywany i za każdym razem udało mu się zbiec, niestety, gdy przybył w strefę przygraniczną granica była już obsadzona. Zaczął się dla niego okres ukrywania się na terenie okupowanym – ale o tym później.

My z matką pozostaliśmy w Tarnopolu. Widziałem wkraczające wojska radzieckie. Byli źle ubrani, brudni, zaniedbani. W nocy 18 września była straszna strzelanina. Całą noc przesiedzieliśmy z matką w łazience, gdzie nie było okien i pociski nie mogły nas dosięgnąć. Przykro było widzieć polskich żołnierzy prowadzonych pod bagnietami do niewoli, a może na rozstrzelanie. Przypominam sobie taki obrazek. Na bruku leżała czapka policjanta polskiego z orzełkiem, w pewnym momencie podbiegł żołnierz sowiecki i z furią kopnął ją. Ścisnęło się serce malca na ten widok.

Z jedzeniem było coraz gorzej, ale jakoś zapasy na pierwsze dni starczyły. Gnębiły nas różnego rodzaju pogłoski. A to, że ojca aresztowali, a to że widziano jak go prowadzono na rozstrzelanie. Taką wieść przyniósł raz woźny

z sądu. Matka wtedy spytała: „A czy miał brodę? Bo dla niepoznaki sobie zapuścił?” „Tak” odpowiedział woźny. Uspokoił się, gdyż ojciec w tym czasie nie nosił brody. Postanowiliśmy pod koniec września powrócić do dawnego mieszkania przy stacji kolejowej, gdyż większość mebli tam pozostawiliśmy. Ale trzeba było z czegoś żyć. Zapasy kończyły się. Należało coś robić. Doszliśmy do przekonania, że najlepiej i najbezpieczniej będzie udać się do naszych kuzynów Moszorów do Strzylcza koło Horodenki. Majątek jak już wspominałem leżał na wsi i sądziliśmy, że tam będzie można przeczekać najgorsze i jakoś się wyżywić. Wszystkie meble stłoczyliśmy do jednego pokoju i udaliśmy się na wieś. Tu dowiedzieliśmy się, że ojciec dotarł do Horodenki. Miejscowość leżała w bliskości granicy rumuńskiej, ale nie mógł w tym czasie przejść granicy i udał się do Lwowa, aby tam w większym mieście i z dala od strefy przygranicznej, gdzie w każdej chwili mógł być zatrzymany, ukrywać się. Ukrywał się w domu dziadków przy ul. Mikołaja 21. Ojciec uchodził wtedy za kupca z terenów zajętych przez Niemców. Dopomógł mu w tym jakiś dokument, który zdobył na kursie handlowym oraz zdolności teatralne nabyte w przeszłości podczas kierowania amatorskim teatrykiem wojskowym.

Pomału zaczęliśmy nawiązywać kontakty z ojcem i innymi członkami rodziny. Ważną sprawą było zorganizowanie przewodnika, który przeprowadziłby ojca za granicę. Gotowość ucieczki za granicę zgłosił również brat matki Tadeusz. Zarówno jednemu jak i drugiemu palił się grunt pod nogami. Sowieci ogłosili obowiązkową rejestrację oficerów – ojciec oczywiście się nie zgłosił. Dobrze zrobił, gdyż później wszystkich zgłaszających się aresztowano i większość zginęła w Katyniu. NKWD szalało we Lwowie. Ktoś doniósł, że w mieszkaniu dziadków ukrywa się oficer sztabowy i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności ojciec uniknął aresztowania. Sytuacja była niewesoła. Ojciec nie wrócił do domu przy ul. Mikołaja, a zamieszkał u swego kuzyna Bolka, który pracował na poczcie i jako pracujący miał „dobre” papiery. W międzyczasie z Francji zaczęły dochodzić wieści, że gen. Władysław Sikorski organizuje Armię Polską. Ojciec z wujkiem Tadeuszem postanowili przejść granicę i udać się do Francji do Armii Polskiej. Organizacją przerzutu zajęła się matka. W tym czasie byliśmy już u kuzynów w Strzylczu – miejscowości położonej niedaleko granicy rumuńskiej.

Wuj matki Władysław, był na tym terenie przed wojną wójtem i znał różnych ludzi, w tym przemytników. Jeden z nich, niejaki Feniuk, zgodził się za sowitą zapłatą, przeprowadzić ojca i wujka Tadeusza przez granicę do Rumunii. Pozostało zatem jedynie dostarczenie uciekinierów do strefy przygranicznej. Zarówno ojciec, jak i wujek, nie mieli najlepszych dokumentów i w każdej chwili mogli być aresztowani. Należało ich jednak dowieźć – naprzód do Horodenki, a później w kierunku granicy, gdzie miał już czekać ów przewodnik. Dostarczenia do Horodenki ze Lwowa podjęli się: bratanek ojca, Bolek – do Kołomyi, a z Kołomyi – matka. Podróż ze Lwowa do Kołomyi przebiegała bez zakłóceń, choć częste dość były kontrole w pociągach na tej trasie. Na stacji w Kołomyi wszyscy wychodzący z dworca byli kontrolowani. Matka wpadła na pomysł, aby przeczekać w restauracji dworcowej, wychodząc z założenia, że kontrolujący po odejściu pociągu też pójdą. Tak właśnie się stało. Po pewnym czasie, sprawdzając dokumenty gdzieś się ulotnili i droga była wolna.

Dalszą drogę do Horodenki przebyli autobusem, udając chorych jadących do szpitala. Do Horodenki przybyli nocą. Przespali się w domu patriotycznie nastawionej rodziny p. Wartanowiczów i następnego dnia wyruszyli dorożką na spotkanie z przewodnikiem do nadgranicznej wsi. Towarzyszył im, siedząc na koźle zaprzyjaźniony z rodziną Moszorów milicjant. Ów milicjant – o nazwisku Sendor Zahler przed wojną handlował z rodziną mamy końmi. Był dostawcą koni do majątku w Strzylczu. Jego obecność w dorożce odstraszała wszystkich potencjalnych ciekawskich i ewentualnych kontrolerów, zwłaszcza, że dorożka udawała się w kierunku granicy. Granicę przekroczyli 2 grudnia 1939 r. w nocy bez większych przygód, z tym, że przewodnik w połowie drogi zażądał dodatkowej zapłaty. Na szczęście mogli zapłacić żadaną kwotę, w przeciwnym razie groził, że ich zostawi na pastwę losu. Ale o tym dowiedzieliśmy się znacznie później. W nocy, gdy ojciec z wujkiem przekraczali granicę, babka zorganizowała głośne odmawianie różańca w ich intencji. Cała rodzina klęcząc odmawiała modlitwę prosząc Boga o łaskę i obronę. Pamiętam do dziś podniosły nastrój tej modlitwy.

Pozostaliśmy teraz z matką u rodziny w Strzylczu. Zima zapowiadała się sroga. Żyliśmy z zapasów jakie były w majątku u kuzynów. Dom stanowił enklawę we wsi zasadniczo ukraińskiej. W sąsiedztwie był również młyn, należący do Polaków. Nasi kuzyni Moszorowie, babci rodzeństwo, uważali się za Polaków choć wyraźnie podkreślali swoje ormiańskie pochodzenie. Młodszy brat babci brał udział w obronie Lwowa po stronie polskiej – jeszcze jako młody gimnazjalista. Jako polska enklawa w morzu ukraińskim byli teraz obiektem stałych szykan ze strony nowych władz. Kilkakrotnie miejscowy komendant NKWD przyjeżdżał robić rewizje i podstępnie wypytywał domowników o wszystko. W czasie jednej z takich wizyt komendant NKWD spotkał u nas Sendora Zahlera – natychmiast go wywołał i dłuższy czas z nim rozmawiał. Sądzymy, że zobowiązał go wówczas do pilnowania nas, o czym świadczyłyby późniejsze wypadki.

Jedną z najbardziej brutalnych rewizji postaram się opisać. Pewnego dnia, chyba w listopadzie, przyjechał samochód pełen NKWDzistów. Kazali wszystkim zebrać się w jednym pokoju. Moja matka na wszelki wypadek, wołała ulotnić się tylnymi drzwiami od werandy i uciekła do sąsiadów młynarzy. Ja – dzieciak pozostałem w tylnym pokoju i nasłuchiwałem co się dalej będzie działo. Po jakiejś pół godzinie usłyszałem głośny krzyk „ruki w wierch – wsie pod scienku”. Dłużej nie czekałem, też tylnymi drzwiami prysnąłem do sąsiadów. Tymczasem w naszym domu zaczęła się rewizja. Trwała do późnego wieczora. Gdy wróciliśmy z matką zobaczyliśmy przerażający widok: książki z biblioteczki podarte, kołdry i pierzyny pocięte, pełno pierza na podłodze, obrazy potłuczone, fotele połamane, pozrywane drzwi z szaf. Wszystko walało się po podłodze, tak że trudno było przejść. Szukali ojca i za bronią. Broni nie było, a strzelby poprzednie rewizje już dawno zarekwirowano. Ojciec zaś był już daleko w drodze do Francji.

Zastaliśmy rodzinę w szoku i rozpacz. Owoce wieloletniej pracy leżały w gruzach. Ale najgorsze dopiero miało przyjść. Zima była wyjątkowo mroźna. Oczekiwaliśmy, że z wiosną zmieni się na lepsze. Słuchaliśmy audycji z zagranicy, wiedzieliśmy, że we Francji powstaje polskie wojsko. Radia u nas już nie było, ale starsi chodzili do sąsiadów słuchać wiadomości. Odbiór radiowy był słaby i co się nie usłyszało, to się zmyślało – zawsze optymistycznie żyliśmy złudzeniami. Liczyliśmy, że na wiosnę sprzymierzeni wygrają wojnę i Polska odrodzi się – znów niepodległa. Na razie, trzeba było czekać. Miasteczko Horo-

denka upstrzone było różnymi bzdurnymi plakatami szkalującymi przedwojenną Polskę. Jeden z nich przedstawiał jak polski oficer „jeździł” na chłopie itp. Wydano serię znaczków upamiętniającą wyzwolenie Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Na znaczkach widnieli śmiejący się żołdacy witani entuzjastycznie przez miejscową ludność. Trzeba było, aby filateliści na świecie uwierzyli jakie szczęście nas spotkało. Nareszcie według słów Mołotowa nastąpił „koniec wersalskiego bękarta”, czyli koniec Polski. Wszystko to było przygnębiające, ale nie traciliśmy nadziei. Gdzieś na początku lutego 1940 r. władze ni stąd ni zowąd zarządziły zbiórkę podwód z końmi w wyznaczonych punktach. Nikt nie wiedział w jakim celu. Sądzone, że chodzi o jakąś akcję zwożenia produktów rolnych, czy coś w tym rodzaju. Dopiero 10 lutego 1940 r. w samą trzaskającą zimę gruchnęła przerażająca wieść, że bolszewicy wywożą na Sybir kolonistów polskich, którzy otrzymali w tych okolicach ziemię jako nagrodę za zasługi wojenne w walce o niepodległość Polski podczas pierwszej wojny światowej i w wojnie 1920 roku. Nas wtedy nie ruszyli.

Lutowe wywózki jak się potem okazało były wyjątkowo okrutne. Ludzie wywożeni marli w słabo opalanych lub nieogrzewanych wagonach. Jak później opowiadano na stacjach wynoszono trupy z niemal każdego wagonu. Wywożono na daleką Syberię z dala od miast, głównie na tzw. „lesoróbkę”, czyli do wyrębu lasu. O ile mnie wiadomo, z tej właśnie wywózki było najwięcej ofiar śmiertelnych, w czasie transportu i w czasie pobytu na zsyłce. Na pozostałych w kraju padł blady strach. Czy następna wywózka nie obejmie i nas? W każdym razie, podwoły wróciły i wyglądało na to, że przynajmniej na pewien czas dadzą nam spokój. Niezależnie od tego wywożono na wschód w tym czasie aresztowanych i zatrzymanych na granicy.

Więzienia były pełne. Aresztowano większość działaczy polskich na tych terenach, funkcjonariuszy państwowych, harcerzy, inteligencję patriotyczną. Najokrutniej obchodzono się z policjantami i żołnierzami KOP – Korpusu Ochrony Pogranicza. Lutowa wywózka była wywózką totalną – objęła wszystkich: dzieci, matki, ojców i najstarsze pokolenia, starców i staruszki. To właśnie przerażało – nikogo nie oszczędzali. Czekaliśmy co nastąpi dalej. Za granicę uciekać było już za późno. Granica była już szczelnie obstawiona. Nadto była zima, gdzie każdy ślad na śniegu był dobrze widoczny i uciekinier miał niewielkie szanse przedostania się na drugą stronę granicy. Prócz tego, matka obawiała się iść z małym chłopcem przez zieloną granicę – miałem wtedy dopiero 9 lat. Podejmować się takiej eskapady było wielkim ryzykiem. W każdym razie postanowiliśmy, że gdyby były jakieś oznaki organizowania wywózki uciekniemy do większego miasta i tam postaramy się jakoś przeczekać. Na razie pozostawaliśmy u krewnych w Strzylczu.

Już wkrótce pojawiły się złowieszcze sygnały. Znowu zarządzono przed 13 kwietnia 1940 r. dostarczenie podwód wraz z końmi do dyspozycji NKWD. Zapowiadało się niedobrze, wyglądało bowiem na to, że zaczną się nowe wywózki. Z matką i dziadkami postanowiliśmy nie pozostawać u krewnych w Strzylczu, miejsce to bowiem było zbyt często odwiedzane przez NKWD – i jak poprzednio napisałem, udaliśmy się do większego miasta, do Horodenki. Tu zatrzymaliśmy się – matka, ja i babka u wspomnianej już rodziny p. Wartanowiczów, zaś dziadek udał się do naszego krewnego księdza ormiańskiego Walerka Bąkowskiego. Przenocowaliśmy w mieście dwie noce i jakoś nic się nie

działo. Już sądziliśmy, że alarm był niepotrzebny, gdy rano 13 kwietnia pojawił się na naszej kwaterze wspomniany już Sendor Zahler, zdenerwowany i oświadczył nam, że naszych krewnych ze wsi Strzylcze w nocy wywieźli i mogą lada chwila tu też nas znaleźć. Poradził zatem aby wyjść na miasto i skryć się w innym miejscu. Tak też zrobiliśmy – matka, ja i babka udaliśmy się do rodziców Sendora, którzy mieszkali w mieście. Rodzice jego byli przerażeni naszym najściem i poradzili nam, aby przejść do sąsiadów. Posłuchaliśmy ich. W międzyczasie pan Sendor gdzieś znikł. Po jakichś piętnastu minutach pojawił się znów na naszej nowej kwaterze, a po następnych dziesięciu minutach przyszło dwóch milicjantów i nas wszystkich zatrzymano. Na nic zdała się nasza ucieczka.

Dwóch rosyjskich drabów z czerwonymi opaskami na ramieniu poprowadziło nas teraz pod bagnietami na komisariat. Pan Sendor był również z nami. Przyprawiono nas do dużego pomieszczenia z dwoma ławami rozmieszczonymi przy ścianie, na których kazano nam usiąść. Z boku pod oknem stał stół, przy którym stale ktoś siedział, widocznie jakiś dyżurny milicjant. Po chwili zjawił się komendant placówki NKWD – ten sam, który kilkakrotnie był na kontroli u naszych krewnych w Strzylczu. Ucieszył się, że nas złapano, ale w pewnym momencie stwierdził, że wśród nas nie ma mego dziadka, który jak wspominałem spał gdzie indziej. Zwracając się do p. Sendora zapytał groźnie „a gdzie toj starik?!”. Sendor odpowiedział „nie znaju”. Rozwścieczony NKWDzista wrzasnął „prymknut jego!”. Na te słowa Sendor przyznał „Nu, nu, ja użę znaju”. Natychmiast polecono innym milicjantom przyprowadzenie dziadka. Matka ubłagała tylko, że pójdzie z nimi i zabierze część rzeczy, które były pozostawione u księdza, w miejscu ukrywania się dziadka. NKWDzista wspaniałomyślnie pozwolił – byliśmy w odzieży wiosennej i gdyby nas zabrano tak jak staliśmy, to sądzę, że nie mógłbym dziś pisać tych wspomnień. Sendor poprowadził wszystkich do dziadka, matka poszła z nimi. Sądzimy, że Sendor został zobowiązany przez NKWD w czasie jednej z kontroli, o której już wspomniałem, do pilnowania nas – stąd to oburzenie NKWDzisty na niego. Na komisariacie pozostałem ja i babka. Godziny dłużyły się. Mnie coraz bardziej opanowywał strach. Nie wiedziałem, co z nami zrobią. Chłopięca wyobraźnia działała, tymczasem zmieniali się milicjanci; jedni oddawali broń i naboje dyżurującemu, inni fasowali oporządzenie. Dla mnie małego chłopca wyglądało to bardzo groźnie i przerażająco – myślałem, że zaraz nas rozstrzelają...

Koło południa przyjechała matka z dziadkiem, oczywiście pod silną eskortą i zabrano nas do transportu. Matce pozwolono zabrać część rzeczy, resztę zabrał komendant NKWD. Sendora zwolniono do domu. Ubłagaliśmy eskortujących nas NKWDzistów, aby dołączyli nas do wagonu, w którym już byli nasi krewni ze wsi Strzylcze. Był to wagon nr 13. Pociąg stał jeszcze na bocznym torze w Horodence, jakby czekał na nas. Kuzyni opowiedzieli nam, jak ich zabrano. Nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, podjechała podwoda z kilkoma NKWDzistami i miejscowymi milicjantami. Kazali w ciągu jednej godziny zabierać się, zabrać jedzenie na kilka dni i sporo ciepłej odzieży. W tym pośpiechu brano co było pod ręką. NKWDziści poganiali kontrolując jednocześnie, aby nie zabrać czegoś bardziej wartościowego. Nie powiedziano dokąd ich zabierają. Gdy nas dowieziono do transportu okazało się, że mnie przez omyłkę nie było na liście. Matka nawet zaczęła się zastanawiać czy nie pozostawić mnie pod opieką księdza Bąkowskiego, doszła jednak do przekonania, że lepiej będzie cierpieć razem.

Dobrze zrobiła, gdyż ksiądz w rok później zmarł, a ja prawdopodobnie znalazłbym się w którymś z sierocińców radzieckich.

Pod wieczór pociąg ruszył w nieznanym dla nas kierunku. Zewsząd słychać było szloch ludzi wydartych z ojcowizny i wiezionych w zamkniętych wagonach bydłych na poniewierkę. Wagon nasz, szczęśliwym trafem nie był zbyt przepełniony. Było w nim około 40 osób. Jak mówiono w innych wagonach było do 70 osób. Zawsze było trochę luźniej. Był to wagon przeznaczony do przewozu bydła z wmontowanymi pryczami piętrowymi, oraz niewielką dziurą w środku, wielkości około 15 cm, umożliwiającą załatwianie potrzeb fizjologicznych. Okna były zabite deskami, tak że gdy zamknięto drzwi było prawie ciemno, przeświecało tylko światło przez nieliczne szpary. Na pryczach leżało trochę słomy. Transport był eskortowany przez kilkunastu NKWDzistów, którzy na każdej stacji pilnowali by nikt nie podchodził do wywożonych. Zabroniono wszelkich kontaktów, nawet przez szpary znajdujące się w oknach. Okna dodatkowo zabezpieczone były drutem kolczastym. Nasi kuzyni siedzieli na górnej przycy z dobrym dostępem do okna, co nie było bez znaczenia przy potwornym zaduchu, który już dnia następnego pojawił się na skutek stałe zamkniętego wagonu. Ktoś wpadł na pomysł aby wydlubać deski, które zasłaniały okna i w ten sposób umożliwić większy dostęp powietrza. Później, nawet, udało nam się kilka desek wyłamać. Było więcej powietrza.

Ludzie leżeli pokotem jeden obok drugiego, poruszanie się po wagonie było bardzo kłopotliwe i utrudnione. Kłopotliwe było zwłaszcza załatwianie potrzeb do dziury w podłodze – wagon był przecież pełen kobiet, mężczyzn i dzieci. Prócz mnie było jeszcze małe dziecko i kilkoro małaolatów. Skład społeczny był bardzo zróżnicowany było kilku tzw. „kułaków”, trochę inteligencji, rodziny wojskowe. Pamiętam, że była wśród nas jedna pani znająca język rosyjski, co w dalszym biegu wydarzeń było bardzo cenne i przyteczne.

Wywożeni pragnęli w jakiś sposób powiadomić bliskich o swoim losie. Toteż wyrzucano kartki z wiadomościami, gdy jeszcze byliśmy na terenie przedwojennej Polski. Większość tych karteczek dotarła, jak później dowiedzieliśmy się od adresatów. Wzdłuż torów stali ludzie i zbierali kartki z przesłaniami, przerażeni tym co się działo, płakali i współczuli nam. Wśród wywożonych byli przecież ich bliscy, znajomi, sąsiedzi. Potem już w Rosji nikt nam nie towarzyszył wzdłuż torów – widocznie ludzie przyzwyczajeni byli do takich widoków. Z naszej rodziny wywieźli wszystkich, którzy schronili się w majątku w Strzylczu. Znaleźli się tu: Władysław Moszoro – właściciel majątku i był wójt; Jan Moszoro – urzędnik; Stefania Winogrodzka z d. Moszoro – b. kierowniczką trafiki państwowej w Horodence; Maria Taras z d. Moszoro – emerytowana nauczycielka, moja babka; Ludwik Taras – emerytowany inspektor, mój dziadek; Maria Chudziakiewicz z d. Taras – moja matka (rodzina wojskowa) i ja Mieczysław Chudziakiewicz – uczeń, mały chłopiec, który przeszedł swoją przyspieszoną edukację życiową i historyczną.

Już w drugim dniu podróży obsiadły nas wszy. Zaczęło się intensywne łapanie insektów różnymi sposobami – nawet poprzez wyłuskiwanie wszy nożem z fałdów bielizny. Wagony, którymi nas przewożono były od pewnego czasu przeznaczone do przewozu więźniów, toteż dokładnie były zawszystowane. Były też napisy więźniów na ścianach, ale treści ich nie pamiętam. W ciągu

pierwszych kilku dni, gdy byliśmy jeszcze na terenach wschodniej Polski, wypuszczano nas na dwór dwa razy. Później jechaliśmy około trzech tygodni zamknięci i stłoczeni w wagonach, bez wychodzenia na spacer. Dziwnym zwyczajem, chyba tylko dlatego, żeby jak najmniej ludzi nas oglądało, a my ich, w nocy wydawano nam na stacjach chleb, „kipiatok” (gorącą wodę) i przepalona zupę. Posiłki te nie zdarzały się jednak często i regularnie.

Już w czasie podróży głód zaczął zaglądać nam w oczy. Wydawanie posiłków wyglądało tak: w pewnym momencie, na stacji, nocą otwierały się drzwi wagonu, wpadał NKWDzista i krzyczał, aby dwóch mężczyzn z wiadrami szło za nim fasować jedzenie i „kipiatok”. Każdy otrzymywał swoją skromną porcję. Nie pamiętam ile tego było – w każdym razie, ja, byłem „niejadek”, prosiłem matkę, aby gdy w nocy przyniosą coś do jedzenia budziła mnie na posiłek – bo byłem głodny. A jedzenie było wyjątkowo podłe – zupa z kluskami lub z krupami, zawsze przepalona i czarny gliniasty chleb. Kto miał trochę zapasów z domu, to jadł popijając „kipiatokiem”. Pod koniec podróży, w trzecim tygodniu przestano nam i te skromne porcje wydawać. Najgorsze było to, że przestali również wydawać wodę, tak że pragnienie zaczęło nam dotkliwie dokuczać, a gorąc na dworze się wzmagał. I tu przyszła nam po raz pierwszy z pomocą p. Nina Osińska, o której już pisałem uprzednio – osoba znająca język rosyjski. Poprosiła kolejarza rosyjskiego i ten dał nam trochę wody z kotła parowozu. Podobno taka woda jest trująca, ale wtedy nam jakoś nie zaszkodziła – tak byliśmy spragnieni. W tym czasie, w niektórych oknach wyłamaliśmy deski, które zasłaniały nam widok i można było rękę wyciągnąć na zewnątrz po ofiarowaną nam wodę.

Po trzech tygodniach pociąg zatrzymał się na stacji w Semipałatyńsku w północnym Kazachstanie, nad rzeką Irtysz, około 200 km od granicy z Chinami. Tu zarządzono wysiadać. Podjechały ciężarówki. Na każdą ciężarówkę załadowano po kilka rodzin. Myśmy znaleźli się na jednej ciężarówce z rodziną p. Niny – łącznie 13 osób oraz skromny dobytek. Podróż „gruzowikami” (ciężarówkami) trwała krótko. Przywieziono nas do nieczynnej już dawno chlewni zwanej „świńbaza”. Mieściły się kiedyś tu, jak sama nazwa wskazuje, pomieszczenia służące do spędu i przechowywania trzody chlewnej, baraki i urządzenia pomocnicze. Od dłuższego czasu baza ta była nieczynna – obiekty pokryte były grubą warstwą piachu i kurzu. Prócz nas, jak zapamiętałem, znaleźli się w Semipałatyńsku między innymi: matka z córką i synem Poczekajowie, Jan Pawlak z matką, Hermanowa z synem, Golczewska z rodziną, rodzina byłego vice starosty z Horodenki Smolki, Turkiewiczowie, pani Pelcowa.

Wywiezionych rozmieszczono przeważnie w obiektach przeznaczonych dla zwierząt. Nasz samochód, nie wiem czy za sprawą pani Niny, która rozmawiała z kierowcą, czy było to szczęście, skierowano do domu byłego stróża nocnego – przynajmniej do obiektu przeznaczonego na pobyt ludzki. Były tu deski na podłodze, a nie beton i piasek jak w innych pomieszczeniach. Domek miał dwie małe izby: w jednej zamieszkała rodzina pani Niny składająca się z sześciu osób, w drugiej nasza rodzina siedmioosobowa. Domek oczywiście był bez żadnych urządzeń sanitarnych. Za ubikację posłużył nam pobliski jar, myć się zaś chodziliśmy do niedaleko położonego źródła, stąd też braliśmy wodę do gotowania. „Świńbaza” znajdowała się na peryferiach Semipałatyńska, w odległości około 8 km od miasta, na osiedlu zwanym Zatonem. Obiekt oto-

czony był drutami kolczastymi, rozpiętymi na słupach drewnianych, mocno nadwyrężonych wiekiem. Eskort, która pilnowała nas w czasie podróży, przekazała nas miejscowym władzom NKWD – te zaś po zakwaterowaniu nas na „świńbазie”, specjalnie nami się nie przejmowały – toteż rozebraliśmy ogrodzenie, wykorzystując drewniane słupy na podpałkę. Pieców nie było, więc każdy jak mógł organizował sobie ciepłą strawę. Na miejscu można było znaleźć stare blachy, cegły, glinę na zaprawę i niektórzy zbudowali kuchenki na wolnym powietrzu. Mnie udało się też zbudować taką kuchenkę polową z czego byłem bardzo dumny. Funkcjonowała dobrze i mogliśmy ugotować i zjeść ciepłą strawę z resztek zapasów, które pozostały nam jeszcze z Polski. Gotowała na niej babka ze swoją siostrą Stefanią dla nas wszystkich.

Już następnego dnia po przyjeździe ujawniły się skutki długotrwałego leżenia i siedzenia bez ruchu w czasie podróży w wagonach. Zaczęły nas strasznie boleć mięśnie nóg, jak po długotrwałej ciężkiej chorobie. Mnie również przez kilka dni bolały strasznie nogi. W tym dniu mieliśmy pogrzeb. Utkwiło mi w pamięci bardzo to zdarzenie. Zmarło małe dziecko, prawdopodobnie nie wytrzymało trudów podróży, zwłaszcza ostatniego etapu, kiedy nie dawano nam nawet wody. Dziecko jechało w innym wagonie, tak że nie znałem nawet jego imienia. Trumienkę skleconą z desek niósł dziadek dziecka, rosły, zgarbiony, stary człowiek o siwej brodzie. Tak go zapamiętałem. Trzeciego dnia władze zainteresowały się nami. Przyjechał komendant miejscowego NKWD i oświadczył, że „kto nie rabotajet tot nie kuszajet” i dał do wyboru dwie możliwości pracy: pozostanie w „świńbазie” i praca przy kopaniu torfu, lub wyjazd do tutejszych kołchozów, do pracy na roli. Część ludzi zgłosiła się na wyjazd do kołchozów, sądząc, że tam będzie może łatwiej dostać coś do jedzenia. Grubo się mylili, gdyż później, po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, kołchozom prawie wszystko zabierano na potrzeby wojska, natomiast chłopcy przymierali głodem. Ci co wyjechali do kołchozów powracali opuchnięci z głodu, chorzy na szkorbut i inne choroby. Myśmy pozostali na „świńbазie”. Obaj wujkowie Władysław i Jan poszli do kopania torfu, ja – jak mogłem pomagałem im w układaniu pryzm z torfu celem jego osuszenia. Praca ich dawała marny zarobek i trzeba było rozglądać się za inną pracą oraz sprzedawać co się tylko dało z przywiezionych rzeczy. Ja do dzisiejszego dnia się chwalebę, iż byłem pierwszym, który sprzedał swój zegarek i tym poratowałem rodzinę w najgorszym okresie, kiedy nie mieliśmy ani grosza aby coś kupić. Miałem bezkamieniowy zegarek na rękę, który dostałem od ojca po skończeniu pierwszej klasy szkoły podstawowej. Zegarek ten został sprzedany za cenę jednomiesięcznej pensji pracowniczej.

Matka zaczęła chodzić na tzw. tołkuczki czyli bazar sprzedawać bieliznę osobistą jedwabną, która miała szczególne powodzenie u Kazaczek i Rosjanek, które nosiły ją jako sukienki. Wyrzedawaliśmy się prawie ze wszystkiego aby żyć. Z opałem też były kłopoty. Szczęściem, jeden z baraków rozbierano i można było trochę desek na podpałkę ukraść. Ja też kradłem. Pomału otrząsnęliśmy się z sytuacji w jakiej znaleźliśmy się. Korzystnym bardzo było, iż przywieźli nas do miejscowości blisko położonej od miasta i po pierwszym szoku, można było rozejrzeć się za lepszą pracą aniżeli kopanie torfu. Miejscowy komendant NKWD nie stawiał przeszkód w znalezieniu innej pracy – nie wolno nam było tylko wyjeżdżać do innej miejscowości. Opatrzność miała nas w swojej opiece, że nie znaleźliśmy się w jakiejś „głuszy” – 200 km od stacji kolejowej, na „lesoróbcie” lub kopalni albo w kamieniołomach, a i takie miejsca zesłania zdarzały się też.

W mieście była tzw. „złotoskupka” – kantor, w którym skupowano złoto i wymieniano na żywność, której stale brakowało. Wszystko co mieliśmy, a mieliśmy trochę ukrytego złota, jak: obrączki, krzyżyki, medalioniki czy łańcuszki – tam zostawiliśmy, to nas głównie poratowało w pierwszych miesiącach tułaczki.

Miejscowa ludność przyjęła nas ze zrozumieniem, zwłaszcza starzy ludzie, którzy wiele widzieli. Było tu już sporo zesłańców z różnych okresów władzy radzieckiej oraz carskiej. Spotkaliśmy nawet potomków zesłańców polskich z okresu powstania styczniowego. Starzy, jak wspomniałem, odnosili się do nas przyjaźnie i ze współczuciem. Pocieszali, że trzeba się jakoś dostosować mówiąc „niczego, niczego – jeśli nie przywykniesz – tak podochniesz”. Zawarta w tym była ironia, ale takie to były czasy. Zresztą tutejsza ludność żartowała, że społeczność radziecka składa się z tych co siedzieli, siedzą lub będą siedzieć w tiurmie, niestety była to prawda. Myśmy byli pomiędzy tymi, którzy „siedzą” i tymi, którzy „będą siedzieli”, gdyż za każde nierozważne słowo mogło nas spotkać jeszcze coś gorszego – więzienie lub zesłanie na Kołymę, poza krąg polarny. Nazwano nas „specperesieleńcami” lub będącymi na „wolnej zsyłce” – jaka jest różnica między tymi określeniami, do dziś nie mogę powiedzieć. Gorzej wyglądały nasze stosunki z młodzieżą radziecką. Ta, wychowana przez wiele lat we wrogości do tzw. „polskich panów” zachowywała się raczej nieprzyjaźnie. Do dzisiejszego dnia dźwięczą mi w uszach słowa pełne nienawiści: „Nu Paliak, jobanyj w rot”, ale i wśród nich spotykały się wyjątki pozytywnie do nas nastawionych. W późniejszym okresie zdarzały się nawet serdeczne przyjaźnie.

Na „świńbazie”, po rozebraniu ogrodzenia z drutów kolczastych, Polacy poczuli się nieco pewniej. Zwłaszcza młodzież, do której się jeszcze nie zaliczałem, bo byłem za mały, zaczęła się samorzutnie organizować. Pamiętam, że powstało coś w rodzaju harcerstwa przedwojennego, kierowanego przez harcerza, o ile sobie dobrze przypominam o nazwisku Szwed. Robiono zbiórki, śpiewano pieśni patriotyczne. Utkwiła mi w pamięci jedna pieśń, którą śpiewali – stara, wzruszająca pieśń powstańców z roku 1863 (cytuję z pamięci):

Naprzód drużyno strzelecka,
Sztandar do góry swój wnieś,
Żadna nas siła zdradziecka
Zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść.
Czy umrzeć nam przyjdzie na polu,
Czy w Tajgach Sybiru nam zgnieć,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie by żyć.

Zapamiętałem również jedną piosenkę satyryczną, śpiewaną na melodię mazurka Dąbrowskiego

Jeszcze Polska nie zginęła póki Bóg nad nami,
Jeszcze Stalin będzie wisiał do góry nogami,
Marsz, marsz Hitlera – niech go weźmie cholera,
Niech go piorun trzaśnie oraz imię zgaśnie.

Z perspektywy dzisiejszej widzimy jakie prorocze były to słowa. W „świńbazie” miałem wielu kolegów i przyjaciół, ale czas zatarł już ich imiona i nazwiska. Najlepszym moim kolegą był Zdzisio Poczekaj, z którym razem chodziliśmy na ryby. Rzeka Irtysz, a szczególnie jej zatoczki, były w tym czasie bardzo rybne i złowienie dużej ilości rybek, zwłaszcza narybku rybiego, nie przedstawiało większej trudności. Rybki te łowiliśmy małą siatką. Można je

było następnie ugotować i przyrządzić pastę do smarowania chleba lub zupę. W lecie można się było kąpać w Irtyszu. Lato było upalne, typowe dla klimatu kontynentalnego, natomiast zimy ostre i mroźne, gdzie temperatura na otwartym polu dochodziła do -50 C .

Praca przy kopaniu torfu była ciężka i mało płatna, toteż dziadek mój podjął intensywne starania, aby znaleźć inną pracę. Znał język ukraiński, który jest podobny do rosyjskiego i to w dużym stopniu ułatwiło mu kontaktowanie z miejscową ludnością. Wybrał się zatem w poszukiwaniu pracy. Jadąc do miasta ciężarówką – takim miejscowym „autobusem” (ciężarówką z wstawionymi ławkami dla przewozu ludzi), zwierzył się sąsiadowi, że szuka pracy. Ten oświadczył, że właśnie w jego zakładzie poszukują malarza zabawek. Dziadek momentalnie oświadczył, że on jest malarzem i jego córka też. W ten sposób dziadek i moja matka zatrudnili się jako malarze w przedsiębiorstwie zwanym „Promkombinat”. Był to zakład produkujący nie tylko zabawki, także kiczowate figurki z gipsu, ale również wytwarzał mydło, zajmował się stolarką i kowalstwem. Dyrektor po odpowiednim posmarowaniu – jego żonie sprezentowano sukienkę i kilka innych drobiazgów, zgodził się jeszcze przyjąć około czterdziestu Polaków do różnych prac. Zawsze było to lepsze aniżeli kopanie torfu stojąc po łydki w wodzie. Przenieśli się tu również krewni. Władek teraz zbijał skrzynki, Janek pracował przy odlewni gipsowych figurek. Jan Pawlak, późniejszy dowódca czołgu w Armii gen. W. Andersa, ranny w kampanii włoskiej, pracował przy wyrobie mydła. Pamiętam, że strasznie śmierdział – bowiem produkcja mydła oparta była na tłuszczach padłych zwierząt.

W jesieni kazano małodatom iść do szkoły rosyjskiej. Poszedłem do trzeciej klasy. Nie skończyłem jej, gdyż w zimie mróz był trzaskający, a myśmy z matką mieli tylko jedno „walonki” na zimę. Toteż zimę przesiedziałem w domu. Przenieśliśmy się teraz do służbówki przy „Promkombinacie”, też była tu tylko jedna izba na 7 osób, ale znacznie cieplejsza od domku na „świńbazi”. Latryna znajdowała się w sąsiednim podwórzu. Tu mieliśmy przeżyć pierwszą syberyjską zimę. Chłodno było i głodno, ale w tym czasie można było jeszcze coś kupić w sklepach. Wszędzie były kolejki mimo tego, że nie było jeszcze wojny z Niemcami. Pamiętam raz pojawił się cukier. Oczywiście ustawiła się ogromna kolejka tzw. „oczered”. Trzeba było na 1 kg porcją cukru czekać 3-4 godziny. Ja obróciłem kilka razy w ciągu dni, zmieniając swoje ubranie i nakrycie głowy, aby mnie nie rozpoznano, iż już uprzednio kupowałem. Cukier i herbata tzw. „kirpicznyj czaj” były bowiem niezastąpionymi artykułami wymiennymi na inne towary. Zwłaszcza herbata, za którą się zabijano – stanowiła bowiem ulubiony napój Kazachów. Słyszałem o wypadkach zabójstw w ogonkach za herbatą. Nam udało się zdobyć raz jeden taki „kirpicznyj czaj”, który następnie wymieniliśmy na 1 m³ drewna opałowego do gotowania. Zdobywanie czegoś do jedzenia stanowiło przemożny bodziec wszelkich działań. Nawet dzieci radzieckie w swoich wylicznkach w czasie zabawy marzyły o jedzeniu. Przypomina mi się taka wylicznanka: „Ona szła, szła, szła – pierożek naszła – sieła, sjeła i poszła” (ona szła, szła, szła – pierożek znalazła – siadła, zjadła i dalej poszła) albo „Eniki, beniki kuszał wareniki, eniki, beniki – sjeł” (Eniki, beniki, jadł konfitury, eniki, beniki – zjadł). Nie wiem czy należało o tym pisać, ale oddaje to pragnienia i klimat owych czasów. „Pierożki” były nadziewane mięsem, smażone na łożu gneciuchy, podobne w wyglądzie do naszych pączków. Mówiono, że w czasie wielkiego głodu, w latach trzydziestych, można było w pierożkach znaleźć paznokcie ludzkie.

O ojcu w tym czasie nic nie wiedzieliśmy gdzie jest i co się z nim stało. Wolno nam było korespondować z krewnymi pozostawionymi na terenie Polski z czego skwapliwie korzystaliśmy. Bolka i Tadeusza Chudziakiewiczów nie wywieziono i nawiązaliśmy z nimi kontakt, donosząc im gdzie jesteśmy i jaka jest nasza sytuacja. Udało się im nawet przesłać paczkę z żywnością dla nas. Pewnego dnia, gdzieś pod koniec jesieni 1940 r. otrzymaliśmy od naszych krewnych z Polski wspaniałą wiadomość – ojciec żyje i jest na Cyprze. Otóż ojciec mój po dostaniu się do Francji walczył w I Dywizji Grenadierów pod dowództwem gen. Bronisława Ducha i po upadku Francji i rozwiązaniu dywizji przedostał się do Szwajcarii. W Szwajcarii, dzięki dokumentowi o nadaniu mu w I Wojnie Światowej wysokiego odznaczenia włoskiego *Al Valor Militare* – otrzymał przejazdową wizę włoską i po wielu perypetiach, znalazł się na Cyprze. Z Cypru, aby nie spowodować szykan w stosunku do swoich krewnych napisał list do kuzyna przyjmując pseudonim „Mikołaj Buski”. „Buski” był łatwy do odcyfrowania dla rodziny, gdyż ojciec urodził się koło Buska. Kuzyni z polski podali nam adres ojca na Cyprze i my z kolei wysłaliśmy list na Cypr. Nie sposób opisać naszą radość, gdy po pewnym czasie ojciec odpisał. Napisał jednocześnie, że brat mamy Tadeusz, którego teraz nazywał „Tecią” pozostał w Szwajcarii, jest zdrów i cały. Tadeusz po przybyciu do Francji dostał się do II Dywizji Strzelców Piechoty gen. Bronisława Prugara-Ketlinga i po upadku Francji został internowany w Szwajcarii. Wiadomości te podniosły nas bardzo na duch.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia, pierwsza Gwiazdka na obczyźnie. Polacy pracujący w „Promkombinacie” postanowili wspólnie spędzić wigilię. Smutne to były święta, skromne, z dala od bliskich, z dala od kraju, niepewni swojego jutra. Udało się nam zorganizować małe rybki wielkości około 10-15 cm, które panie usmażyły. Był opłatek z mąki upieczony własnym sumptem i barszcz czerwony. Nie pamiętam czy była choinka. Życzyliśmy sobie powrotu do kraju, spotkania się z najbliższymi, których prawie w każdej rodzinie brakowało, wygranej, mimo wszelkich przeciwności wojny. A przecież tak mało było nadziei. Była przecież wieczysta przyjaźń między ZSRR a Niemcami, padła Francja, Belgia, Holandia. Hitler wygrywał na wszystkich frontach, a Stalin mu w tym pomagał. Wsparcia szukaliśmy w modlitwie i Bogu. I to nas trzymało. Zimą mimo straszliwych mrozów, zasp i wichur udało się przeżyć. Zaspy były tak duże, iż niejednokrotnie trzeba było wyrąbywać tunele i wąwozy w śniegu, aby wydostać się z domu.

Nastała wiosna roku 1941. Przyszło ocieplenie, a wraz z nim życie stało się łatwiejsze. Można było znów chodzić na ryby. Do szkoły już nie wróciłem – straciłem jeden rok nauki. Z tego okresu pamiętam jeden dzień 1 maja, kiedy w sklepie można było kupić biały chleb. Był to ewenement wyjątkowy. Od wyjazdu z Polski nie widziałem białego chleba na oczy. Karmiono nas tylko czarnym, gliniastym i lepącym się chlebem. A tu raptem biały chleb z okazji święta ludowego! Siadłem na progu i z wielką nabożnością jadłem ten chleb, jakby to było najlepsze ciastko, łamiąc po kawałeczku i smakując każdy kasek.

Pluskwy – to osobny rozdział w naszym codziennym życiu. Insekty te, małe, płaskie jak pinezki, towarzyszyły nam we wszystkich miejscach zamieszkania, zarówno na „świńbazi”, jak i później. Gnieźdzą się w szparach pomiędzy belkami i pod gliną lub tynkiem, a w nocy wychodzą na żer – na ludzką krew. Dokuczały nam straszliwie. Oczywiście nie pozostawialiśmy im dłużni.

Tępiiliśmy to paskudztwo różnymi sposobami; a to przez zalanie szpar naftą lub towotem, a to przez zatkanie dziur mydłem. Aby utrudnić im dojście do nas stawialiśmy nogi pryczy w puszkach z wodą. Niewiele to pomagało. Pluskwy potrafiły wejść na sufit i z sufitu wykonać skok prosto na swoją śpiącą ofiarę. Oczywiście zabijaliśmy je też bezpośrednio przez rozduszenie. Rozduszona pluskwa daje specyficzny, nieprzyjemny zapach, coś pomiędzy zapachem migdałów i słodkim zapachem trupim. Można było rzygać.

Wojna niemiecko-radziecka była dla wszystkich zupełnym zaskoczeniem. Dwaj dotychczasowi sojusznicy pobili się. Dla nas pojawiła się iskierka nadziei na zmianę naszego losu. Początek tych zmian nie przedstawiał się najlepiej. Niedowierzając Polakom, prawie wszystkich zwolniono z „Promkombinatu”. Rodzinę naszą zwolniono i trzeba było szukać innej pracy. Nie było to łatwe. Wzmogły się szykany w stosunku do Polaków, uważanych za wrogów. Okres ten był na szczęście krótkotrwały. Wkrótce nastąpił przełom w stosunkach polsko-radzieckich – podpisany został układ Majski-Sikorski i to spowodowało zmianę na lepsze w odnoszeniu się Rosjan do Polaków. W Kujbyszewie powstała polska ambasada. W Semipałatyńsku powstała delegatura rządu gen. Sikorskiego i zaczęła organizować skromną, ale jakąś przynajmniej, pomoc dla Polaków. Rozdano trochę cieplej odzieży z darów angielskich i amerykańskich. W międzyczasie, rodzinie mojej udało się ponownie dostać pracę. Matka została brakarką w szwalni, która szyła mundury dla wojska; dziadek zatrudniony został jako „szczetowod” – rachmistrz w przedsiębiorstwie naprawczym statków rzecznych w tzw. „sudoremontnym zawodzie”. Rodzeństwo babki otrzymało inną pracę i rozdzielił się. Na krótko otrzymaliśmy teraz pokój w domu wielorodzinnym, należącym do przedsiębiorstwa remontowego. Był tam jak pamiętam długi korytarz. Po obu stronach korytarza mieściły się pokoje. Każda izba zajęta była przez jedną rodzinę. Na 5 rodzin przypadała jedna kuchnia, w której trwały niekończące się awantury. Latryna była na zewnątrz – dom był nieskanalizowany. W domu tym mieszkaliśmy kilka miesięcy, gdyż na skutek jakiejś reorganizacji, dziadka zwolniono, a nas wyrzucono z mieszkania zakładowego. Trzeba było szukać nowego miejsca zamieszkania. Udało się znaleźć izbę w chałupie u dziadka Rosjanina. Zamieszkaliśmy w czwórce w jednym pokoiku, zaś kuchnię zajmowało trzyosobowe rodzeństwo Kulczyckich – Ukraińców z Polski, też wywiezionych.

Dziadek zatrudnił się ponownie jako: „szczetowod”; matka po ciężkiej szkarlatynie – zwłaszcza niebezpiecznej w starszym wieku, przestała pracować i sprzedawała na „tółkuczkach”. Mieszkaliśmy teraz bliżej miasta, co było bardzo korzystne ze względu na częste kontakty z delegaturą polską. Na osiedlu tym była tzw. „bania” – łaźnia, do której chodziliśmy się kąpać. Było to obszerne pomieszczenie z drewnianymi ławami, na których zażywający kąpieli siadali i zlewali się wodą z kubłów. Była woda gorąca i zimna. Kto miał mydło to z niego korzystał. Dla lepszej cyrkulacji krwi okładano się nawzajem różgami z różnych gałęzi. Zaduch w tej „bani” był wyjątkowo przykry.

Jesienią 1941 r. znów musiałem iść do szkoły rosyjskiej, do trzeciej klasy. W tej szkole należącej do innego rejonu Semipałatyńska, byłem jedynym Polakiem. Była to sytuacja dla mnie niedobra. Przedtem, w szkole na Zatonie w bliskości „świńbazy” – większego skupiska Polaków – w rosyjskiej szkole była nas cała grupa. Trzymaliśmy się razem i Rosjanie nie śmieli nam doku-

czać. Tu byłem sam. Co bardziej krewcy chuligani zbierali się aby małego „Palaczka” pobić, tak że niejednokrotnie musiałem nadrabiać drogi, aby im umknąć i wrócić bezpiecznie do domu zdrów i cały. Sytuacja była niewesoła, zwłaszcza po lekcjach historii, na której mówiono wiele bzdur o złych Polakach, którzy napadali na ziemie ruskie i grabili, gnębili i zabijali ludność. Nadarzyła się właśnie okazja, aby przedstawiciela tychże „ciemężycieli” pobić i to robili. Doszło do tego, że gdy w szkolnym planie była lekcja historii o polsko-rosyjskiej tematyce, to matka wymyślała jakąś chorobę dla mnie i w tym dniu pozostawałem w domu. Sytuacja moja i z innego względu była niewesoła. Otóż, wszystkie dzieci w klasie należały do „pionierów” – ja nie należałem. Nauczycielka jednego dnia wezwała mnie przed tablicę i usiłowała się dowiedzieć dlaczego ja, jedyny w klasie, nie zapisałem się do „pionierów”. Indagowała: czy matka nie pozwala, a może ktoś z krewnych. Nie mogłem mówić prawdy, więc powiedziałem, że ostatnio matka choruje i muszę się nią opiekować, stąd nie mógłbym chodzić na zbiórki. Gdybym przypadkiem powiedział, że matka mi nie pozwala – tyle bym widział matkę. Pojechałaby jeszcze dalej na białe niedźwiedzie z wyrokiem kilkuletnim.

Szkoła ta była niezłą lekcją obłudy, pożytkiem jednak było to, że się dobrze nauczyłem posługiwać językiem rosyjskim. Trudno mnie było rozpoznać, tak dobrze mówiłem po rosyjsku. Byłem w klasie tzw. „udarnikiem”, to jest uczniem posiadającym dobre i bardzo dobre stopnie. W szkole pisaliśmy na skrawkach papieru, na odwrotnej stronie plakatów propagandowych, lub na marginesach gazet. Zeszyty były jak na lekarstwo. Na zakończenie 3 klasy otrzymałem świadectwo napisane na okładce zeszytu – gdzie z jednej strony są zapisane moje stopnie, a na drugiej stronie tabliczka mnożenia. Świadectwo to zachowałem na pamiątkę jako pewnego rodzaju kuriozum.

Trwała wojna i sytuacja materialną jeszcze bardziej się pogorszyła. Wprowadzono kartki żywnościowe, na które i tak niewiele można było kupić. Za chlebem stały kilometrowe kolejki. Dziadek mój musiał wstawać o godzinie pierwszej w nocy, by iść do kolejki za chlebem. Trzeba było ten chleb dostać o godzinie 7.50, by na godzinę ósmą stawić się do pracy. Za spóźnienie groził sąd, jak za sabotaż. Po drugim spóźnieniu, szło się do „tury”. Dość często nie dostawało się chleba w ogóle. Matka w tym czasie z niedożywienia i braku witamin dostała szkorbut i zaczęły jej wypadać zęby. Mnie jakoś oszczędzano – starsi odbierali sobie od ust, aby mnie nakarmić, uważali, że „dziecko” musi przeżyć. Głód zmuszał niektórych ludzi do wykradania od miejscowego raka za zabitych psów, aby przyrządzić coś do zjedzenia.

Mimo wszystko, wśród Polaków pojawiła się iskierka nadziei. pewnego grudniowego dnia, a było to 4 grudnia 1941 r. leżałem na pryczy. Mieszkaliśmy już wtedy u chłopca, u którego był zainstalowany głośnik radiowy – tzw. „toczka”. I uszom nie wierzę. Z Moskwy płyną polskie słowa – przemawia gen. Sikorski do Polaków zesłańców w ZSRR. Łzy cisnęły mi się do oczu. Zaczęłem skakać po pryczy i robić koziołki ze szczęścia. Zaczęliśmy się ścisnąć i całować. Był to wspaniały dzień, którego do końca życia się nie zapomni. Później, gdy słyszałem u niektórych polityków krytykę gen. Sikorskiego za nawiązanie stosunków z ZSRR oburzałem się – widząc jak małego ducha byli to ludzie – nie widzieli, albo nie chcieli widzieć, ilu Polakom porozumienie to przyniosło wol-

ność, radość i nadzieję, wielu uratowało od niechybnej śmierci. Przyjechała komisja poborowa, która przeprowadziła werbunek do organizującego się wojska polskiego. Wielu młodych zostało zakwalifikowanych i wyjechało do wojska. Zgłosił się także brat babki, ale ze względu na zły stan zdrowia, nie został przyjęty. Coraz częściej mówiono o miejscach gdzie organizowało się Wojsko Polskie jak: Buzułuk, Guzar, Tatiszczewo, Tockoje, Samarkanda. Pragnieniem każdego było dostać się, albo do Wojska Polskiego, albo przynajmniej w pobliże wojska – wojsko bowiem niosło pomoc ludności cywilnej, dzieląc się zapasami.

Ojciec, który obecnie znalazł się ponownie w Armii Polskiej w ośrodku zapasowym Karpackiej Brygady, pod Aleksandrią w Egipcie, słał apele do ambasady w Kujbyszewie i do władz wojskowych, aby te umożliwiły nam dołączenie do armii jako rodzina wojskowa. Apele te pozostawały bez rezultatu – takich próśb było przecież setki tysięcy. My, ze swej strony, pisaliśmy również błagalne prośby do władz polskich o wydostanie nas z Semipałatyńska – wymagane bowiem było wezwanie do wojska tzw. „powiestka”, bez której nie wolno nam było opuścić miejsca zamieszkania. Pisaliśmy do gen. Wolikowskiego, który zajmował się rodzinami wojskowych – też bez rezultatu. Z ojcem mieliśmy też częstsze kontakty listowne, a każdy nasz list był gorącą prośbą o spowodowanie naszego wyjazdu – ojciec był jednak daleko, w Egipcie, i niewiele mógł zdziałać.

Pewnego dnia do Semipałatyńska przyjechał w jakiejś misji specjalnej por. Roman Voit – ojciec znanego po wojnie aktora Mieczysława. Moja matka w rozmowie z nim dowiedziała się, że jest z Tarnopola, gdzie był dyrektorem banku i znał mojego ojca. Fakt ten spowodował nawiązanie przyjacielskich stosunków. Porucznik Voit bawił kilkakrotnie u nas. Ja byłem dumny towarzysząc mu – był on bowiem w mundurze z dystynkcjami i orzełkiem na czapce, przy tym, jak pamiętam, mężczyzną wysokim i postawnym, co przysparzało mu dodatkowego splendoru. Gdy wyjeżdżał obiecał przysłać upragnioną „powiestkę”. Jaka była nasza radość, gdy po kilku miesiącach otrzymaliśmy upragnione wezwanie do wojska. Wezwanie obejmowało naszą czwórkę, tj. matkę moją i mnie oraz rodziców matki, pozostała część rodziny – rodzeństwo babki zostało na miejscu. Pożegnaliśmy ich nie wiedząc, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy.

Przyszło lato 1942 roku. Nasz transport był chyba ostatnim jaki wyjechał z Semipałatyńska do Jangi-Julu, gdzie stacjonowało dowództwo Armii Polskiej. Kilka dni spędziliśmy przy wojsku, żywiąc się z kotła. Żołnierze dzielili się z nami czym tylko mogli. Były nawet smakołyki – między innymi wspaniała czekolada angielska z puszki. Dobrze się jednak stało, że przebywaliśmy w Jangi-Julu krótko. Panował tu bowiem tyfus i biegunka – choroby spowodowane dotychczasowym niedożywieniem i wycieńczeniem zesłańców. Wkrótce zorganizowano transport i wyruszyliśmy do Krasnowodzka. Wyładowano nas pod wieczór na bocznym torze na jakimś piaszczystym placu. Tu przenocowaliśmy śpiąc pod gołym niebem. Następnego dnia władze radzieckie przeprowadziły kontrolę, zresztą bardzo pobieżną, kazały oddać pieniądze i dokumenty. Dzień przesiedzieliśmy pod palącym słońcem, czekając na dalsze dyspozycje. Szczęściem bliskości była plaża i można się było zamoczyć w Morzu Kaspijskim. Ale kąpiel nie była najprzyjemniejsza – w wodzie bowiem, pływały plamy ropy ze statków lub szybów naftowych z rejonu Baku.

Wieczorem zarządzono załadunek na statek towarowy o nazwie „Żda-

now” i zaczęto wywoływać w kolejności alfabetycznej wyznaczonych do transportu. Mnie z matką wywołano pod literą „C”. My chcieliśmy jednak wejść na okręt razem z dziadkami, a ich nazwiska zaczynały się na literę „T”, więc zaczekaliśmy i gdy ich wywołali udaliśmy się razem na trap. I tu spotkała nas wielka przykrość – oficer żandarmerii polskiej, mimo tłumaczeń matki, że chciała opiekować się swoimi rodzicami i dlatego zjawiła się razem z nimi – kategorycznie oświadczył, że za karę pozostaniemy w Rosji, spowodowaliśmy bałagan swoim postępowaniem. Był to jakby grom z jasnego nieba, ja się rozplakałem, matka była zrozpaczona. Upragniony wyjazd z „raju” zaczynał rozplątywać się jak mgła – sytuacja była niewesoła. Ni stąd, ni zowąd, przyszedł nam w sukurs radziecki oficer, który sprawdzał naszą tożsamość. „Nu niczego, niczego – propustitie” powiedział – i tak znaleźliśmy się na statku. Statek był przepelniony. Zarówno w ładowniach jak i na pokładzie leżeli pokotem ludzie, jeden koło drugiego. Trudno było się poruszać. Myśmy ulokowali się na pokładzie, przynajmniej mieliśmy dostęp do świeżego powietrza.

Późnym wieczorem statek wypłynął kierując się ku wybrzeżom Persji. Żegnaliśmy Rosję z ulgą, szczęśliwi, że udało nam się wyrwać z tego kraju „gdie tak wolno dyszet czełowiek”. Wyjazd nasz nastąpił w ramach tak zwanej drugiej ewakuacji Armii gen. Andersa z ZSRR. Ewakuacja ta zwana też ewakuacją „sierpniową” objęła 69247 osób (dane zaczerpnięte z opracowania Piotra Żaronia pt. Armia Polska w ZSRR. Na bliskim i środkowym wschodzie, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1981). W liczbie tej znalazło się 2430 oficerów, 36701 podoficerów i szeregowych, 112 urzędników wojskowych, 1765 ochotniczek i siostr PCK, 2738 junaków i junaczek oraz 25501 osób cywilnych – głównie rodzin wojskowych – wśród nich 9633 dzieci. W pierwszej (zwanej ewakuacją „marcową”) i drugiej ewakuacji z ZSRR na Bliski wschód łącznie ewakuowano 115742 osoby – w tym: 78470 żołnierzy (wliczając w to: oficerów, podoficerów, szeregowców, junaków, junaczki i siostry PCK) oraz 37272 osoby cywilne (w tym: kobiety, mężczyźni, dzieci i cywilni urzędnicy wojskowi). Ewakuowani stanowili zaledwie niewielką część wywiezionych na Sybir. A więc, z nadzieją płynęliśmy w nieznaną. Podróż na statku trwała noc, dzień i jeszcze jedną noc. Ciężko było, zwłaszcza w dzień, kiedy słońce niemiłosiernie operowało i nie było się gdzie skryć. Jak pamiętam, mieliśmy dwa zgony na okręcie. Ludzie marli z wycieńczenia, na skutek niedawnych przeżyć i chorób. Zmarłych zawijano w prześcieradło i wyrzucano do morza – taki mieli marynarski pogrzeb, chociaż marynarzami nie byli. Jeden z tych pogrzebów odbył się przy naszej burcie.

O świcie zamajaczyły brzegi Persji. Na górny pokład wyszli wszyscy, którzy mogli się na nim pomieścić. I popłynęła pieśń – majestatyczna i potężna – Rota: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród ...”. Do dzisiaj pamiętam tę podniosłą i niesamowitą chwilę. Ludzie płakali. Przybiliśmy do brzegu i nastąpiło wyładowanie. Port zwał się Pahlevi. Skierowano nas do obozu przejściowego na kwarantannę. Obóz składał się z małych namiotów usytuowanych na piasku w niewielkiej odległości od plaży Morza Kaspijskiego. Można się było kąpać w morzu, a woda była wyjątkowo ciepła – lato było upalne. Odetchnęliśmy z ulgą po ostatnich przeżyciach i podróży. Obóz był podzielony na dwie strefy. Jedna przeznaczona była dla tych co dopiero przybyli z ZSRR, druga strefa przeznaczona była dla tych, którzy przeszli już przez odwyszalnię, zaopatrzyli się w odpowiednie ubiory, innymi słowy, upodobnili się do normalnych ludzi. Nie pamiętam jaki był okres przebywania w każdej ze stref. Jedzenie było obfite, z kotła; był nareszcie

biały chleb... Nadmiar pożywienia powodował liczne zachorowania na skutek przejedzenia. Panowała też gorączka kilkudniowa tak zwana „papadacza” – spowodowana rzekomo ukąszeniami przez insekty pustynne. Ja również zachorowałem. Na początku dostałem „papadaczę”, a później żółtaczkę. Na szczęście przebieg żółtaczki był stosunkowo lekki i w krótkim czasie doszedłem do zdrowia. W obozie spotkaliśmy daleką kuzynkę, lekarkę obozową, panią Dzigę Pachową, która opiekowała się mną w czasie mojej choroby.

W obozie tym przebywaliśmy około trzech tygodni, po czym nastąpił wyjazd przez Kazwin do Teheranu. Transport odbywał się autobusami, wynajętymi przez władze polskie, a prowadzonymi przez kierowców perskich. Droga wiodła przez góry niesamowitymi serpentynami, nad przepaściami i urwiskami. Strach było patrzeć. Podziwialiśmy zręczność i umiejętność kierowców perskich, którzy z wprawą wymijali wszelkie przeszkody oraz samochody jadące w przeciwnym kierunku. A sporo wozów jechało w przeciwnym kierunku. Przebiegała bowiem tędy trasa zaopatrzenia dla wojsk Armii Radzieckiej – pomocy realizowanej przez sojuszników w ramach zobowiązań koalicji antyhitlerowskiej. Jechały całe niekończące się kolumny samochodów z zaopatrzeniem i zmieniali się tylko kierowcy amerykańscy lub angielscy na rosyjskich.

Po prawie dwóch dniach drogi przybyliśmy do Teheranu, do obozu nr 1 dla ludności cywilnej. Obóz znajdował się na przedmieściach Teheranu. Obozów tego typu było, o ile mnie pamięć nie zawodzi – 4, z tym że jeden z tych obozów był głównie przeznaczony dla wojskowych. Obóz – było to mini-miasteczko składające się z baraków i namiotów, z własną łaźnią, ośrodkiem zdrowia, szkołą, administracją, sklepami. Nas skierowano do baraku. Było tu sporo rodzin i jak niestety bywa wśród Polaków wybuchały co pewien czas niesnaski. W każdym razie, cieszyliśmy się, że było co jeść, z darów otrzymywaliśmy odzież, dziadek zaczął pracować w szkolnictwie, matka zapisała się na kurs PCK. Ja pożegnałem się ze swoją starą, zniszczoną odzieżą i otrzymałem od Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej Delegatury w Teheranie, pod pieczę której znajdowały się obozy dla ludności cywilnej: marynarkę, spodnie, płaszcz, koszulę, kalesony, skarpety i obuwie. Już jakoś wyglądałem jak człowiek.

Z ojcem kontakt nawiązaliśmy jeszcze podczas pobytu w Rosji. Od przyjazdu do Persji nie mieliśmy od niego jednak żadnej wiadomości. W międzyczasie przeniesiono go do Iraku na szefa sądu 5 Dywizji Kresowej, dowodzonej przez gen. Nikodema Sulika. Oczekiwaliśmy, że ojciec kiedyś zjawi się i nas odnajdzie. Jednego dnia udałem się z babcią po wodę i w pewnym momencie ujrzałem wojskowego utykającego na prawą nogę, chodził pomiędzy barakami i czegoś szukał. To mój tata – krzyknąłem. W tym momencie wojskowy odwrócił się, ale ja zabiegłem mu drogę od przodu. Wojskowy – stwierdziwszy, że się musiał przesłyszeć, ponownie obrócił się i szedł dalej. Ja jeszcze raz zabiegłem mu drogę. I wtedy nastąpiła radość nieopisana! To był naprawdę mój tata! Ucałowaliśmy się, wziął mnie na ręce i tak zmierzaliśmy do naszego baraku na spotkanie z matką. Radości nie było końca. Od 1939 roku nie widzieliśmy się, a tyle rzeczy działo się w międzyczasie. Myśmy uratowali się z Rosji, ojciec po upadku Francji dotarł przez Wogezy do Szwajcarii, by później podążać w odwrotnym kierunku przez Włochy i Jugosławię (gdzie przesiedział się w areszcie), przez Turcję i Cypr do Egiptu – do Karpackiej Brygady, a teraz do Iraku, do 5 Dywizji.

Już następnego dnia rodzice postanowili wynająć pokój w samym Teheranie i stołować się gdzieś na mieście. Wynajęliśmy mały pokoik dla mnie i dla matki, dziadkowie pozostali w obozie. Ojciec miał urlop, więc spędziliśmy miłe chwile razem. Jedliśmy w restauracji hotelowej przysmaki, które trudno opisać. Po Rosji, wszystko było piękne i wspaniałe – Persja była krajem, jak z „Opowieści tysiąca i jednej nocy”. Miasto Teheran było imponujące. Na każdym kroku sprzedawcy, wspaniałe sklepy, okazałe budynki i meczety, meczety i jeszcze raz meczety. Utkwiły mi w pamięci wspaniałe kopuły, wykładane barwną ceramiką i strzeliste minarety. Ulice pełne przechodniów oraz sprzedawców z wózkami, na których leżały: granaty, figi, arbuzy, kasztany, morwa. Wózki te szczególnie wieczorami były pełne uroku i tajemniczości; oświetlano je lampami gazowymi, które dawały jaskrawe, niepowtarzalne światło. Lamp takich przedtem nie widziałem. No i oczywiście dywany o orientalnych wzorach, bezpośrednio leżące na ulicy przed sklepami, które je sprzedawały. Ekskluzywne ulice, pełne sklepików ze złotem i różnorodnymi towarami, niemal z całego świata.

My w tym nowym środowisku czuliśmy się dobrze. Persowie odnosili się do nas przyjaźnie, Polki miały powodzenie. Szach, Reza Pahlevi przyjmował polskie delegacje – wdzięczni byliśmy Iranowi za gościnę. Czuliśmy się jak ambasadorowie Polski, do czego przypominały, zresztą, słowa zawarte w książeczce zaopatrzenia, którą każdy uchodźca posiadał. Cytuję fragmenty: 1. Znajdujesz się na terenie Iranu dzięki opiece i trosce Rządu Polskiego; 2. Jesteśmy gośćmi na ziemi irańskiej. Zmusza to nas do odpowiedniego zachowania się, by nie psuć dobrego imienia Polaka. Pijaństwo, bezcelowe i niepoważne włóczenie się po ulicach miast, niemoralne prowadzenie się itp., szkodzą opinii polskiej w oczach gospodarzy i znajdujących się w Iranie licznych cudzoziemców, niszcząc szacunek zdobywany na polach walki przez naszego żołnierza; 3. Gadatliwość i plotkarstwo szkodzi Polsce i walce z wrogiem; 4. Wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, bez względu na wyznanie, narodowość, poglądy polityczne, są równi wobec prawa; 5. Dobro Rzeczypospolitej jest najwyższym prawem; 6. Armia Polska jest ramieniem zbrojnym Rzeczypospolitej i walczy obecnie o przywrócenie Niepodległej Ojczyzny. Otaczaj armię czcią i szacunkiem.

Słowa te, zwłaszcza młodym, przemawiały do serc i umysłów. Szkoda, że obecnie tak mało zwraca się uwagi na godność i zachowanie współczesnych rodaków za granicą i sami sobie jesteśmy winni za nie zawsze dobrą opinię wśród cudzoziemców. No, ale dosyć refleksji. W Teheranie zorganizowana została polska szkoła dla tych uczniów, którzy mieszkali w mieście. Zapisalem się do klasy piątej, ominąwszy klasę czwartą. Kurs zresztą był przyspieszony, uwzględniający zaniedbania wojenne prawie wszystkich uczniów. Szkoła mieściła się w centrum miasta, w niewielkiej odległości od miejsca naszego zamieszkania. Wychowawczynią klasy była pani Zofia Alina Korczewska, a dyrektorem Stanisław Piotrowicz – o ile dobrze zapamiętałem nazwisko. Nareszcie byliśmy w szkole z językiem wykładowym polskim. A były poważne mankamenty w naszym wykształceniu. Ja na przykład, odruchowo robiłem pomyłki w wypracowaniach z języka polskiego pisząc „g” rosyjskie, w miejscu gdzie powinno być polskie „d”. Tak mniej więcej wyglądało, gdy miałem napisać „dawno temu” pisałem „gawno temu” – i było sporo śmiechu. Wkrótce się tego wyzyłem, ale zanim to nastąpiło najadłem się trochę wstydu. Nareszcie byliśmy wolni i nie obawialiśmy się, że za nierozważne słowo mogą być pociągnię-

ci do odpowiedzialności nasi najbliżsi. W szkole powstało harcerstwo, ja oczywiście zapisałem się. Szkoła podlegała inspektorowi szkolnemu Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Teheranie.

W piątej klasie prowadzone były zajęcia z następujących przedmiotów: religia, język polski, język angielski, historia, geografia, przyroda, matematyka, śpiew, gimnastyka, rysunki. Uczniem byłem w tej szkole średnim. Oczywiście miałem wielu kolegów i przyjaciół. Najserdeczniejszym moim kolegą i przyjacielem był Ludomir Łazarz. Kiedyś, w jakiejś sprzeczce między chłopcami, gdzie doszło do bitki, stanął po mojej stronie i tak jakoś zaprzyjaźniliśmy się i polubili. Ludek w tym czasie oczekiwał wraz ze swoją rodziną na wyjazd do Ameryki – co się z nim później stało nie wiem. Drugim serdecznym moim kolegą w tej szkole, był Zbigniew Somchianc. Ojciec jego, mjr Somchianc z pochodzenia Ormianin był w Wojsku Polskim, później zasłynął, iż jako jeden z pierwszych wszedł wraz ze swoim patrolem na Monte Cassino – pisał, o tym wydarzeniu w swej relacji z bitwy Melchior Wańkowicz. Inni koledzy i koleżanki, których nazwiska zdołałem zapamiętać to: Stefan Zellman, Hanka Łuszczczyńska, Kazik Łuszczczyński, Wojciech Żółtowski, Hanka Świderska, Stefanowski – wszyscy z polskiej szkoły w Teheranie.

Gwiazdka roku 1942 była obchodzona w naszej szkole bardzo uroczystie. Były prezenty, życzenia powrotu do wolnej Polski, nostalgiczna zaduma. Na pamiątkę wyjścia z „domu niewoli”, każdy z nas otrzymał oprawny w skórę dokument, przypominający to wydarzenie. Zachowałem go na wieczną pamiątkę. Stwierdza się w nim: Chudziakiewicz Mieczysław Łaską Opatrzności i Staraniem Rządu Rzeczypospolitej w latach ciężkiej potrzeby, niewoli i wygnania, ocalony od zagłady. Przygarniętemu na gościnnej ziemi dalekiego Iranu, w wilię Bożego Narodzenia, na pamiątkę tego ocalenia dokument niniejszy daje świadectwo wielkiej, serdecznej wspólnoty naszych uczuć i przypomina powinność Matce Swej, Ojczyźnie, dług życia spłacić, ofiarą i uczciwą pracą dla jej dobra i wielkości.”

Od naszych kuzynów pozostawionych w Semipałatyńsku nie mieliśmy żadnych wiadomości. Na domiar złego, w dniu 4 lipca 1943 r. zginął w katastrofie lotniczej na Gibraltarze gen. Władysław Sikorski, powracający z podróży inspekcyjnej jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie. Był to wyjątkowo bolesny cios dla całego Wojska Polskiego, sprawy polskiej i wychodźstwa polskiego. Gen. Sikorski cieszył się niekłamanym uwielbieniem, autorytetem i uznaniem wśród nas wszystkich. W odczuciu naszym, był to człowiek opatrnościowy dla Polski. I teraz, w tak trudnej sytuacji politycznej i niewyjaśnionej jeszcze do końca sytuacji militarnej, jego zabrakło. Polacy na obczyźnie samorzutnie ogłosili żałobę narodową. Można nas teraz było poznać wśród cudzoziemców po czarnej opasce na ramieniu noszonej na znak żałoby po naszym Wodzu Naczelnym i Premierze Rządu. Ale Persja była dla nas tylko etapem na dalszej drodze. Ja zgłosiłem się do junaków, matka do Pomocniczej Służby Kobiet, rodzice matki do paramilitarnych służb pomocniczych i czekaliśmy na ewakuację. Wszyscy Polacy, zresztą oczekiwali na wyjazd z Iranu. Większość uchodźców cywilnych miała udać się do Afryki Środkowej: do Kenii, Ugandy, Tanganiki, sierocińce do Indii, junacy i osoby wojskowe do Palestyny i Egiptu.

Ukończyłem właśnie w Teheranie piątą klasę, gdy nadszedł czas rozstania z gościną Persją i przyjaciółmi. Akurat w tym czasie, ojciec mój, który stacjonował w Iraku przyjechał na urlop do Teheranu. W drodze powrotnej do Iraku ojciec został, jako najstarszy rangą oficer, mianowany komendantem

transportu kilkudziesięciu żołnierzy i junaków powracających z urlopu i ewakuowanych do Iraku i Palestyny. W grupie junaków znalazłem się i ja, matka zaś ze swoimi rodzicami pozostała w Teheranie oczekując na ewakuację w następnej kolejności. Nazwiska ewakuowanych wraz ze mną junaków to: Arends Ryszard, Arends Bogusław, Wolszczak Tadeusz i Bura Witold. Był to transport kolejowy przez Ahvaz, jedno z najgorętszych miejsc na kuli ziemskiej, do Bagdadu. W Bagdadzie następowało przegrupowanie i część żołnierzy miała być przegrupowana do Palestyny, w tym junacy, a część do jednostek wojskowych stacjonujących w Quisil Ribat i Kurkuku, w Iraku. Ja, po przyjeździe do Iraku, zatrzymałem się na dwa tygodnie u ojca, w 5 Dywizji Kresowej, która lada dzień miała przemieszczać się na nowe miejsca postoju w Palestynie. W tym okresie 5 Dywizja stacjonowała w rejonie Kirkuku w północnym Iraku, na straży tamtejszych pól naftowych. Żołnierze prócz służby wartowniczej przechodzili intensywne szkolenie bojowe w oczekiwaniu na przyszłe działania bojowe na froncie. Ja zamieszkałem u mego ojca w namiocie. Zaprzyjaźniłem się z wieloma żołnierzami, zwłaszcza starszymi, którzy chętnie spędzali ze mną wolne chwile. Może gnębiła ich nostalgia i wspomnienia własnych synów, pozostawionych i czekających gdzieś na drogach tułaczy lub w Ojczyźnie. Grailiśmy w karty i szachy oraz polowaliśmy na skorpiony. Polowanie na skorpiony nie jest bezpieczne, ale bardzo pasjonujące. Skorpiony żyją w norkach, zagłębionych ukośnie w stosunku do powierzchni ziemi. Drażniło się skorpiona wtykając do takiej norki słomkę lub patyczek. Skorpion rozdrażniony chwycił za słomkę, wychodził na zewnątrz i wtedy łopatką lub nożem odcinało się mu możliwość powrotu do swojej kryjówki. Następnie odrzucało się go od jego norki i łapało do puszki, zważając, aby nie dać się ukłuć kolcem pełnym jadu znajdującym się na ogonie. Mając kilka skorpionów złowionych tym sposobem można było zorganizować walki skorpionów lub walki skorpionia z „falangą” – jadowitym pajakiem, który był częstym gościem w naszych namiotach. Podobno skorpion otoczony ogniem, stwierdziwszy, że nie może się wydostać popełnia samobójstwo, ale tego eksperymentu nie robiliśmy. W namiotach pojawiały się też jadowite pająki zwane „czarnymi wdowami” oraz insekty zwane „czterdziestonózkami”, które wbijały się w ciało, gdy się je przestraszyło. Mnie szczęśliwie ominęła „przyjemność” ukąszenia przez któregośkolwiek z nich.

Upał na pustyni irackiej w okresie letnim był nie do wytrzymania. W południe obowiązywała kilkugodzinna przerwa tropikalna, w której trzeba było chronić się w cieniu namiotu, aby nie dostać udaru słonecznego. Ja zlewałem ubranie wodą, a woda parując sprawiała wielką ulgę. Wodę trzymaliśmy w workach brezentowych, które podobnie parując zachowywały chłód.

Po dwóch tygodniach w Iraku, transportem kołowym wyruszyliśmy przez Jordanię do Palestyny. Ja jechałem wraz z żołnierzami półciężarówką marki „Dodge”. Miałem zgłosić się do szkoły junackiej w Palestynie. Dnia 24 sierpnia 1943 r. zostałem przyjęty do Junackiej Szkoły Kadetów w Barbarze, do klasy „W” – wstępnej kadeckiej. Komendantem szkoły kadetów był mjr Andrzej Kulczycki, a naszej kompanii kpt. Łabanowski. Kompania składała się z najmłodszych kadetów – wiek chłopców od 12 do 14 lat. Poziom nauczania ogólnego odpowiadał programowi szóstej klasy szkoły powszechnej. Nie nosiliśmy jeszcze „kadeckiego słoneczka” na czapce – roczniki starsze uczące się w gimnazjum miały przywilej i prawo go nosić. W każdym razie byliśmy umundurowani w angielskie

mundury tropikalne z orzełkiem na furażerze. Obowiązywała musztra wojskowa i oddawanie honorów przez salutowanie starszym rangą wojskowym. Mieliśmy żołd stanowiący około 1 żołdu żołnierza, za który mogliśmy kupować coś w kantine, chodzić do kina, oraz mieć na inne drobne wydatki. Kadeci pochodzili z różnych zakątków Polski, głównie jednak z terenów wschodniej Polski. Byli to przeważnie synowie wywiezionych na Sybir i wielu z nich, tylko dzięki wyprawieniu Armii Andersa z ZSSR, uniknęło śmierci głodowej. Byli wśród nich synowie żołnierzy II Korpusu, sieroty i półsieroty. Każdy z nich mógłby opowiedzieć historię losu polskiego na niejednym film przygodowym.

Ja po przyjeździe otrzymałem sorty mundurowe, które były na znacznie większego żołnierza. Na miejscu jednak mieliśmy krawca, który odpowiednio dopasował mundur do mojej szczupłej osoby. Już jakoś wyglądałem. Mieszkaliśmy w dużych angielskich namiotach, dziesięcioosobowych. Przez obóz przebiegała główna droga stanowiąca oś całego założenia. Po jednej stronie rozłożone były junackie namioty, baraki kancelaryjne, stołówka i kantyna; po drugiej dowództwo szkoły, izba chorych, kino, kasyno oficerskie, baraki lekcyjne. Spaliśmy pod moskitierami, które miały nas chronić przed komarami wywołującymi malarię. Starsze roczniki kadetów szkolone były w posługiwaniu się bronią i na wartę wychodziły uzbrojone. My „mali” zazdrościliśmy im dziarskiej postawy prawdziwych żołnierzy. Później wielu kadetów zostało wcielonych do II Korpusu i walczyło we Włoszech.

Obóz usytuowany był niedaleko Morza Śródziemnego, toteż w gorące dni zazywaliśmy kąpieli. A woda była wspaniała – czysta i orzeźwiająca, jakiej już później nigdy nie spotkałem. Dzień zaczynaliśmy od pieśni :„Kiedy ranne wstają zorze”, kończyliśmy pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy ...”. Dzień wypełniony był musztrą, nauką, posiłkami i odpoczynkiem połączonym z uprawianiem sportu oraz urządzaniem obozu i jego otoczenia. Na terenie obozu było kino, wyświetlające bardzo często polskie filmy przedwojenne. Chodziliśmy do kina najczęściej przez dziurę w murze, nie płacąc za wstęp. W niedzielę można było wyjechać na przepustkę. Ja jeździłem do swego ojca, który stacjonował ze swoją jednostką o kilkanaście kilometrów od „Barbary”. Jeździło się tak zwanym „autostopem”, to jest zatrzymanymi samochodami wojskowymi, które jechały akurat w pożądanym kierunku. Było jakieś takie niepisane prawo, że każdy kierowca widząc na szosie wojskowego, sygnalizującego chęć jazdy – zatrzymywał się i podwoził go. Tym środkiem lokomocji jeździłem do ojca. Inni koledzy też mieli swoich krewnych, znajomych i przyjaciół rozsianych po całej Palestynie.

W różnych miejscowościach były rozlokowane jednostki II Korpusu, kilka junackich szkół technicznych, Pomocnicza Służba Kobiet oraz Młodsze Ochotniczki stacjonujące w Nazarecie. Muszę przyznać, że kadetem nie byłem najlepszym. Miałem poważne braki w wyszkoleniu wojskowym, zwłaszcza w musztrze... Koledzy od prawie dwóch lat byli szkoleni wojskowo – ja do tego czasu byłem „cywilbandą” i trudno było mi się teraz przestawić i dostosować. Na domiar złego zacząłem chorować. Już w miesiąc po przybyciu do „Barbary” dostałem ropnego zapalenia oczu. Ropa sklejała mi w nocy tak rzęsy, że rano nie mogłem otworzyć oczu. Zawieziono mnie wraz z kilkoma junakami z różnymi schorzeniami oczu do kliniki w Jerozolimie. Zalecono odpowiednie leczenie ambulatoryjne i po tygodniu choroba minęła. Nie długo jednak cieszyłem się znów do-

brym zdrowiem. Jednego dnia dostałem gorączkę oraz biegunkę i skierowano mnie do izby chorych. Tu zrobiono mi podstawowe rutynowe badania i okazało się, że biegunka była na tle malarycznym. Stwierdzono u mnie malarię. Musiałem przerwać naukę i skierowano mnie na kurację do szpitala wojskowego Nr 4 mieszczącego się niedaleko Gazy w Palestynie. Zastosowano normalną w takim wypadku kurację: 3 dni chininy, 3 dni atybryny, 3 dni plazmochiny. Dla mnie była to końska kuracja. Biegunka minęła, malaria minęła, ale ja nie mogłem utrzymać się na nogach. Zalecono zatem kilkutygodniową rekonwalescencję i, o ile to możliwe, skierowanie mnie do szkoły cywilnej. Sale szpitalne zorganizowane były w długich namiotach. Namioty otoczono niewielkim rowem odwadniającym, który zatrzymywał wodę w okresach deszczu. Ja byłem do tego stopnia osłabiony, że gdy wszedłem do tego rowu o głębokości nie większej niż 50 cm – to z niego nie mogłem wyjść i musiano mnie wyciągać.

Na terenie szpitala była kaplica. W tym czasie nabożeństwa odprawiane były na wolnym powietrzu w polowej kaplicy. Dla rekonwalescentów było kino, też na wolnym powietrzu. Jako rekonwalescent chodziłem do kina. Grali przeważnie polskie filmy. Razu pewnego objadłem się siedząc w kinie orzeszkami ziemnymi, które uwielbiałem – dostałem w nocy niestrawności i wymiotów. Narobiłem tym sporo kłopotu personelowi medycznemu, który był przerażony nową chorobą. Dostałem niezłą burę, gdy okazało się, jaka była przyczyna zasłabnięcia i dolegliwości.

W międzyczasie matka ze swoimi rodzicami znalazła się również w Palestynie. Jaka była moja radość, gdy w szpitalu Nr 4 wśród chorych na malarię spotkałem moją matkę. Też się rozchorowała i była na leczeniu. Matka opowiedziała mi o katastrofie, w której wraz ze swoimi rodzicami brała udział, a która o mały włos nie zakończyła się tragicznie. Ewakuacja ich z Persji odbywała się transportem kołowym przez góry – drogą na Kermanshah. Kierowcą był młody, niedoświadczony Hindus. W pewnym momencie, niemal nad przepaścią, wóz się wywrócił na bok, wysypując jadących. Wszyscy pasażerowie ulegli mniejszym lub większym obrażeniom. Babka doznała złamania czaszki, jadący z nimi żołnierz złamania obojczyka, matka zwichnięcia i stłuczenia nogi, dziadkowi żwir wbił się w twarz. Brakowało kilku metrów do śmierci. Zabrano ich do angielskiego szpitala w Kermanshah, a następnie do Bagdadu na rekonwalescencję, do polskiego ośrodka wypoczynkowego. Wkrótce po przyjeździe do Palestyny dziadek zmarł. Jest pochowany na polskim cmentarzu w Jaffie. Katastrofa, o której wspomniałem, na pewno nie była bez znaczenia dla jego zdrowia. Obecnie moja matka została skierowana do pracy w Polskim Czerwonym Krzyżu w Tel-Awivie do sekcji przetaczania krwi i mogła zamieszkać w mieście prywatnie. Mogłem zatem zamieszkać z matką i dziadkami w Tel-Awivie i przenieść się do szkoły cywilnej. Polska szkoła cywilna w funkcjonowała tu już od dwóch lat. Ja zostałem przyjęty do szóstej klasy. Pożegnałem się z kolegami z Junackiej Szkoły Kadetów i przenieśliśmy się do Tel-Awivu.

Pożegnania z kolegami prześladowały mnie nieustannie w czasie trwania wojny – tak, że zacząłem się pomału do tego przyzwyczajać. Kierownikiem Polskiej Szkoły Powszechnej w Tel-Awivie był Alojzy Jeleń, a opiekunką klasy Jadwiga Radlińska. Klasa była koedukacyjna. Uczyły się tu dzieci uchodźców, którzy przeszli tak jak ja przez Rosję, którzy uciekli z Polski przez Rumunię lub w inny sposób znaleźli się na Środkowym Wschodzie. Przeważały dzieci naro-

dowości żydowskiej, obywatele polscy pragnący po wojnie powrócić do Polski. Stosunki z nimi układały się bardzo dobrze. Przyjazne stosunki panowały również z miejscową ludnością żydowską, która w bardzo dużej liczbie pochodziła z Polski i znała nasz język. W Palestynie niemal wszędzie można było porozumieć się po polsku. Odnoszenie się nieprzyjazne do Polaków można było policzyć na palcach, chociaż zdarzały się czasami nieprzyjemne uwagi pod naszym adresem – szczególnie ze strony młodych. Żydzi pochodzący z Polski wspominali z sentymentem pozostawiony kraj nad Wisłą, ludzi i atmosferę.

Tel-Aviv należał do największych skupisk Polonii w Palestynie. Prócz naszej szkoły była tu polska kaplica, stołówka, ośrodek zdrowia i delegatura rządu. Często korzystaliśmy ze stołówki. Stołował się tu też były premier przedwojennego rządu gen. Sławoj Składkowski. Nieodparcie nasuwa się refleksja – jak to dziwnie koło fortuny i historii się toczy – oto były premier zasiada przy sąsiednim stoliku, aby zjeść skromny uchodźczy posiłek niczym przeciętny śmiertelnik. O ile wiem, to w tym czasie Sławoj Składkowski nie odgrywał już żadnej roli politycznej.

Program naszej szkoły wzorowany był na programie przedwojennej polskiej szkoły. Wykładano następujące przedmioty: religię, język polski, historię, geografę, naukę o przyrodzie, arytmetykę z geometrią, rysunki, zajęcia praktyczne, śpiew i ćwiczenia cielesne. Szczególnie utkwiły mi słowa piosenki śpiewanej na lekcjach śpiewu, oddającej klimat i tęsknotę uchodźców i żołnierzy polskich na obczyźnie. Był to marsz „Karpacka Brygada” Mariana Hemara. Cytuję z pamięci:

„Myśmy tutaj szli z Narwiku,
My przez Włochy, a my z Czech,
Nas tu z Serbii jest bez liku,
aAnas z Niemiec zwiąło trzech.
My przez morza, a my z Flandrii,
My górami, my przez las.
Teraz wszyscy do Aleksandrii,
teraz my już wszyscy wraz.
Karpacka Brygada – daleki jest świat.
Daleka jest droga w zawiejach i mgłach.
Daleki żołnierza tułaczy ślad,
od śniegów Narwiku w libijski piach.”
Maszeruje Brygada, maszeruje,
Maszeruje co tchu, co tchu
Bo z daleka ją Polska wypatruje,
Wyczekuje dzień po dniu
I wzrok na nią zwraca z za gór i z za mórz,
Czy widać Brygadę, czy idzie już,
Co noc słuch wytęża, przez dal i przez mrok,
Czy słyhać Karpackiej Brygady krok.

W szkole wielu miałem kolegów i koleżanek. Wszyscy chcieli powrócić do wolnej Polski – niestety, później losy ich różnie się potoczyły. Miałem serdecznego kolegę Janka Adlera, który wprawdzie nie był z mojej klasy, był o rok niżej, ale mieszkaliśmy w jednym domu. Robiliśmy sobie nawzajem różnego rodzaju kawały. W lecie chodziliśmy na plażę – wspaniałą piaszczystą plażę z jakiej słyhał Tel-Aviv. Janka brat był kadetem w Junackiej Szkole Kadetów w „Barbarze”. Janek zaś mieszkał z rodzicami w mieście. Planowali po wojnie

powrócić do Polski. Sytuacja polityczna jednak radykalnie się zmieniła i zdecydowali się pozostać na stałe w Palestynie. Zaprzyjaźniłem się też z koleżanką z naszej klasy Krasną Obtulowicz. Była delikatną filigranową dziewczynką i jak pamiętam świetnie rysowała. Ojciec jej był w II Korpusie podpułkownikiem i brał udział w kampanii włoskiej. Trzy lata później spotkałem ją w Kairze jak jechała do Anglii, na dalszą tułaczkę. Rodzina jej nie zdecydowała się na powrót do kraju. Większość kolegów z klasy narodowości żydowskiej pozostała na stałe w Tel-Awivie, inni rozproszyli się po całym świecie. Część, jak sądzę, powróciła do kraju. A oto nazwiska kolegów i koleżanek z naszej klasy: Karpowicz, Dinces, Berent, Szczepańska, Rosenberg, Pisarczyk, Littman, Feldman, Meth, Markiewicz, Birnbaum, Szlaferman, Goldemberg.

W szkole zorganizowane było harcerstwo. Hufcowym był stary przedwojenny harcmistrz ze Lwowa o nazwisku Bizanc. Ja oczywiście wstąpiłem ponownie do harcerstwa, organizacji, która wywarła na moje życie i postawę etyczną duży korzystny wpływ. Była to wspaniała organizacja wychowawcza młodzieży i do dzisiaj wspominam ją z dużym sentymentem. Pamiętam uroczyste przyrzeczenie harcerskie, które składałem przy ognisku, gdzieś w okolicy Jaffy:

Mam szczerą wolę, całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu.

Krzyż harcerski przechowuję pieczołowicie wśród pamiątek z tego okresu. Modlitwę harcerską zapamiętałem do dziś:

O Panie, Boże, Ojczy Nasz,
w opiece swej nas miej,
harcerskich serc Ty drgnienia znasz,
nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę
miłując chcemy żyć,
harcerskim prawom w życia dnia,
wiernym zawsze być.

Dumnie nosiłem mundur harcerski z białoczerwoną chustą oraz tarczą z lilijką i napisem „Polska” na rękawie. Organizowaliśmy częste ogniska i wycieczki. A było co zwiedzać. Była to przecież Ziemia Święta, opisywana tylekroć w Starym i Nowym Testamencie. Byliśmy w Jerozolimie u Grobu Chrystusa, zwiedzaliśmy kręte uliczki starej Jerozolimy, przeszliśmy drogę krzyżową. Jedna ze stacji ufundowana była przez żołnierzy polskich. U Grobu Chrystusa komunikowałem się. Jeździliśmy na wycieczkę do Nazaretu, gdzie Rodzina Święta spędzała swój pracowity żywot. Z góry Karmel obserwowałem wspaniałe widoki na Morze Śródziemne. W Tyberiadzie, gdzie mieścił się polski wojskowy ośrodek wypoczynkowy, w jeziorze Genezaret łowiłem ryby. Razu pewnego ciągnąłem bardzo dużą rybę, chyba suma. nie mając jednak doświadczenia z dużymi sztukami – ryba mi się urwała. Cholernie żałowałem – mielibyśmy fajną ucztę. Wzdłuż i wszerz zjeździliśmy Ziemię Świętą.

W roku 1945 zorganizowano obóz harcerski dla chłopców i dziewcząt w Natanii nad morzem. Dwa obozy męski i żeński sąsiadowały ze sobą i oczywiście robiliśmy sobie różnego rodzaju kawały. Zawiązały się też pierwsze sympatie. Mieszkaliśmy w namiotach wypożyczonych przez wojsko. Również w namiocie mieściła się stołówka obozu. Pewnej nocy, a było to jak na złość podczas

mojej warty, boczne ścianki namiotu stołówki zostały skradzione. Słyszałem jakieś szmery, potem, jak gdyby ktoś uciekał, dłuższy czas nasłuchiwałem, ale mniemając, że nic się nie dzieje nie robiłem alarmu. Podejrzewaliśmy o kradzież miejscowych Arabów, ale nikogo nie złapano – zresztą koszt szkody był niewielki. Plaża w Natanii była wspaniała, woda czysta i spienione fale bijące o brzeg. Tam właśnie nauczyłem się pływać. Nauczyłem się również jazdy na morskiej fali na niewielkiej desce o wymiarach około 60 cm na 45 cm tzw. „mini-surfing”. Wyczekuje się na moment załamania fali i następnie ślizgiem popychany przez falę płynie do brzegu, lądując na plaży. Demonstrowałem tę sztukę później, już po wojnie będąc w Bułgarii wzbudziłem wielkie zainteresowanie. Na pamiątkę pobytu w Natanii wyrzeźbiłem sobie laskę z bambusa, wykorzystując korzeń jako uchwyt, którą mam do dzisiaj. No ale nieco wyprzedziłem wydarzenia.

Jak już wspominałem, Palestyna była prężnym ośrodkiem polskiej emigracji na Środkowym Wschodzie. W Jerozolimie był „Dom Polski” – Stary i Nowy. Mieściły się tu wydawnictwa w języku polskim, wydawano codzienną gazetę. Dochodziły pisma żołnierskie wydawane w Anglii: „Polska Walcząca” oraz gazeta II Korpusu „Orzeł Biały”. Mieliśmy również tygodnik ilustrowany „Paradę”. Kompletowałem roczniki tego tygodnika, niestety ojciec złożył je w archiwum wojskowym, gdyż początkowo mieliśmy jechać do Anglii i egzemplarze te powędrowały wraz z archiwum do Wielkiej Brytanii.

Leżą przede mną kalendarzyki z lat 1942-1944 wydane w Tel-Awivie i Jerozolimie w języku polskim oraz kalendarzyki żołnierza wydane gdzieś na Środkowym Wschodzie. Wraz z ogólnymi informacjami o Wojsku Polskim, Rządzie i Prezydencie Rzeczypospolitej, spotykamy tu informacje o krajach, wśród których przyszło nam żyć i sporo reklam zapraszających do odwiedzenia różnych lokali zapewniających, że mówi się tam po polsku. Jedna z reklam głosi: „Ważna wiadomość dla Polaków. wszyscy oficerowie i szeregowi Przesławnego Wojska Polskiego z Kampanii wrześniowej, z terenu Francji, z Narwiku oraz z Libii zaopatrują się w pamiątkowe wyroby ze złota najwyższej próby tylko w Katolickiej Wytwórni Dewocjonalii znanej z doskonałej jakości i niskich cen firmy „Zacharias – Jerozolima”, a w innym miejscu: „Krawiec L. Hirsch z Polski... poleca się klienteli polskiej”. To znów: „Buciki należy kupować trwałe i wygodne. Taki bucik otrzymasz zawsze w firmie Pomeran – mówimy po polsku”. Czuliśmy się jak w małej Polsce.

A czas nieubłagalnie szedł do przodu. Wojsko Polskie na Środkowym Wschodzie przechodziło reorganizację, przygotowując się do wyjazdu na front włoski. Nastąpiły przesunięcia personalne w kadrze oficerskiej. Ojca, jako inwalidę, przeniesiono do tzw. II grupy, to jest do grupy oficerów bez przydziału. Ojciec bolał nad tym okrutnie, chciał iść koniecznie z dywizją do Włoch. Twierdził, że nie decydowało tu tylko jego inwalidztwo, ale również otwarte opowiadanie się po stronie gen. Sikorskiego i jego polityki, która nie wśród wszystkich miała zwolenników. Ojciec odwoływał się od powyższej decyzji, ale rezultat tylko był taki, że został przywrócony do czynnej służby w nowopowstającym III Korpusie, ale do Włoch nie pojechał i pozostał na Środkowym Wschodzie. Przeniesiony został teraz do Egiptu.

II Korpus gen. W. Andersa na przełomie 1943-44 roku wyjechał na front włoski. Matka pracowała w PCK w ośrodku przetaczania krwi dla wojska.

A krwi potrzeba było coraz więcej. Rozpoczęły się walki we Włoszech, zbliżała się bitwa o Monte Cassino. Polacy ochotniczo, honorowo oddawali krew. Oczekiwaliśmy i chłoniliśmy każdą wiadomość z Włoch. II Korpus walczył, a politycy: wielka trójka – Stalin, Churchill, Roosevelt – robili swoje. Zaczęły dochodzić nienajlepsze wieści o konferencji w Teheranie. Wyglądało na to, że sprawy polskie się coraz bardziej komplikują. Stalin odzyskawszy inicjatywę wojskową zaczął dyktować własną politykę wobec Polski, organizować sobie powolne wojsko polskie, tzn. Dywizję Kościuszkowską w ZSRR. W tym czasie nie wiedzieliśmy nic konkretnego, wierzyliśmy naiwnie, że wysiłek żołnierza polskiego będzie doceniony i w gabinetach dyplomatycznych wielkich mocarstw nie zostanie zaprzepaszczonego sprawa polska.

A żołnierz polski wykazywał najwyższy stopień poświęcenia i ofiarności. 18 maja 1944 r., po ciężkich bojach zostaje zdobyte Monte Cassino, później Piedimonte. Zostaje otwarta droga dla sprzymierzonych na Rzym. Głośno było wśród emigracji o tym zwycięstwie... Śledziliśmy sukcesy żołnierza polskiego, które podnosiły nas na duchu. A było się czym szczyścić. Odnosiło sukcesy nasze lotnictwo, na Morzu Śródziemnym działały dwa polskie okręty podwodne: ORP „Orzeł” i ORP „Sokół”, zwane po angielsku „terrible twins” – straszliwe bliźniaki. Wyglądało na to, że zły okres historii się skończył i po zwycięstwach sprzymierzonych z bronią w rękę żołnierz polski wróci do kraju tak przynajmniej wierzyliśmy.

Ja ukończyłem szkołę podstawową i zostałem przyjęty do gimnazjum w Tel-Awivie. Dyrektorem Gimnazjum i Liceum był Stanisław Sianos, a wychowawczynią nauczycielka pani Janina Kuczyńska. Gimnazjum mieściło się w tym samym budynku co szkoła podstawowa. 6 czerwca 1944 roku sprzymierzeni lądowali we Francji, w Normandii, z Włoch dochodziły dobre wiadomości – wyglądało na to, że wojna ma się ku końcowi. martwiły nas tylko wiadomości z kraju, mówiono o aresztowaniach na terenach zajmowanych przez wojska sowieckie. Mówiono, że NKWD znów wywozi na Sybir. Mieliśmy jednak nadzieję, że to się musi skończyć, że jakoś stosunki z ZSRR poprawią się na lepsze.

1 sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie. Chłoniliśmy każdą wiadomość o powstaniu, żyliśmy tym co się działo w Warszawie. Początkowa euforia, zaczęła z dnia na dzień słabnąć, by pod koniec powstania przerodzić się w rozpacz. Przerażeni byliśmy tym, że Rosjanie nie pozwolili lądować na swoim terytorium samolotom alianckim, niosącym pomoc Warszawie. Upadek powstania pozostawił rozczarowanie i przygnębienie. Zaczęliśmy widząc to, powątpiewać co z nami będzie, czy tak jak sobie wyobrażaliśmy powrócimy do kraju, czy trzeba będzie szukać innego miejsca na ziemi. Nastroje były ponure. Zaczęła w Palestynie działać ekspozytura Moskwy – Związek Patriotów Polskich, która sączyła propagandę wydając własne pismo pt. „Wolna Polska”. Organizowała też zebrania, o których informowała plakatami na słupach ogłoszeniowych. Ja zrywałem te plakaty i o mały włos nie zostałem zatrzymany za to przez policjanta angielskiego. Zdołałem uciec. W odpowiedzi na ich gazetę pt. „Wolna Polska” zaczęło wychodzić pismo „Polska w okowach” o podobnym układzie czcionki tytułowej, co niekiedy wprowadzało w błąd zwolenników ZPP, a przede wszystkim ich demaskowało.

Wojna zmierzała do zwycięskiego zakończenia. Nasze instytucje w Palestynie pracowały dalej nie zważając na dywersyjną działalność ZPP. Ja kończy-

łem pierwszą klasę gimnazjum. W tym czasie dawał o sobie znać coraz bardziej izraelski ruch niepodległościowy. Przypominam sobie olbrzymi napis w języku angielskim na jednym z domów „All Jews are in the Haganah” – „wszyscy Żydzi w Haganah” tj. największej organizacji podziemnej niepodległościowej. W tym czasie oprócz „Haganah” działały jeszcze organizacje: „Irgun Cweil Leumi” i grupa „Stern”. Te ostatnie uważane były za organizacje bardziej bojowe. Ze względu na działalność izraelskich grup podziemnych zaprowadzane były przez Anglików częste godziny policyjne na obszarze Tel-Awivu.

Myśmy trwali w nadziei pomni na dekalog Polaka – choć może to brzmi przesadnie patetycznie. Treść tego dekalogu była rozpowszechniona na Środkowym Wschodzie wśród Polonii. Oto jej słowa:

Jam jest Polska, Ojczyzna Twoja, Ziemia Ojców, z której wzrosłeś. Wszystko czym jesteś, po Bogu, mnie zawdzięczasz. 1. Nie będziesz miał ukochania ziemskiego nade mnie; 2. Nie będziesz wzywał imienia Polski dla własnej kariery, chwały albo nagrody; 3. Pamiętaj, abyś Polsce oddał bez wahania majątek, szczęście osobiste i życie; 4. Czcij Polskę, Ojczyznę Twoją jak Matkę rodzoną; 5. Z wrogami Polski walczyć wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej krwi w żyłach Twoich; 6. Walcz z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, tchórz nie może być Polakiem; 7. Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego; 8. Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem; 9. Nie dopuść by wątpiono w Polskę; 10. Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając jej wielkość i jej zasługi, jej dorobek i majestat. Będziesz miłował Polskę, pierwszą po Bogu miłością. Będziesz ją miłował więcej niż samego siebie.

Żołnierz polski na wszystkich frontach dawał dowody tej miłości ofiarą swej krwi. Wojna dobiegała końca. Tymczasem Konferencja Jałtańska pozbawiła nas wszelkich złudzeń i nadziei. Polska traciła ziemie na wschodzie z mglistą obietnicą uzyskania rekompensaty na zachodzie. Dla wielu uchodźców był to cios straszliwy. Żyliśmy przecież nadzieją powrotu, a większość z nas pochodziła właśnie z ziem wschodnich, ze Lwowa i Wilna. Rozterka i zwątpienie opanowały prawie wszystkich. Podtrzymywało nas na duchu tylko to, że była jeszcze armia i odniosła sukcesy. Drugi Korpus zdobył Ankonę i Bolonię, I Dywizja Pancerna wyzwalała Holandię i Belgię i wkroczyła do Niemiec.

Przyszedł w końcu dzień zwycięstwa 9 maja 1945 roku. Tłumy wyległy na ulice Tel-Awivu. Niesiono powieszoną kukłę Hitlera, śpiewano i bawiono się. Tylko nami targały mieszane uczucia, cieszyliśmy się przez łzy. Jak teraz potoczą się nasze losy?! Ojciec jak już wspomniałem został przeniesiony do Egiptu do Quassasin, matka zakończyła pracę w PCK w ośrodku przetaczania krwi w Tel-Awivie. Już tyle krwi nie potrzeba było. PCK teraz przejęło nową funkcję – opieki nad szpitalami. Matkę przeniesiono do PCK w Kairze do tzw. patronatu. Zadaniem tej placówki było załatwianie wszelkich spraw rannych i chorych żołnierzy; dostarczenie im zamówionych rzeczy, rozdział prezentów, poszukiwanie rodzin, pośredniczenie w kontaktach z krajem itp. Matka obsługiwała szpital wojenny Nr 8, zamieszkała w Kairze prywatnie, co umożliwiało jej załatwianie spraw w mieście. Ja pozostałem jeszcze z babką w Palestynie. Szpital wojenny Nr 8 znajdował się w rejonie Kanału Sueskiego. Życzenia żołnierzy znajdujących się w szpitalu były bardzo różnorodne. Jedni chcieli, aby im kupić sprzęt muzyczny; gitary, harmonie, skrzypce, inni pragnęli uprawiać malarstwo i dla nich kupowało

się farby olejne, papier, temperey, kredki, dla innych znów robiono zakupy książkowe; beletrystykę lub literaturę naukową. Powodzeniem cieszyły się słowniki angielsko-polskie autorstwa Stanisławskiego. Praca polegała na zbieraniu zamówień i załatwianiu spraw w Kairze. Pamiętam matkę zajętą całymi dniami szukaniem po całym mieście zamówionych rzeczy. PCK większość zamówień realizował bezpłatnie w postaci darów. Delegatem PCK na Egipt był W. Scipio del Campo, Kierownikiem Wydziału Służby Zdrowia Delegatury PCK był dr A. Konczacki, a szefem patronatu p. Szczeniowska. Matka moja była jej zastępczynią. W kilka miesięcy po zainstalowaniu się matki w Egipcie, ja z babką znalazłem się również w tym kraju. Początkowo zamieszkaliśmy w niewielkiej miejscowości Maadi, później w samym Kairze. W tym czasie sporo jeszcze było wojska polskiego w Egipcie. W Kairze była komenda placu. Głównym ośrodkiem wojska stał się w Egipcie Quassasin, gdzie formowały się załóżki III Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Wiatra.

Wprawdzie wojna się już skończyła, ale sporo mundurów widziało się wszędzie w Kairze. Przyjeżdżali żołnierze z II Korpusu na urlop. Pod Kairem, niedaleko miejscowości Heliopolis stacjonowała junacka szkoła techników lotniczych. W Kairze było polskie „ognisko”, gdzie można było zjeść dobry swojski barszcz. Mieliliśmy też polską kaplicę wojskową na terenie miasta. Przyjeżdżała od czasu do czasu wojskowa czołówka teatralna. Pamiętam, iż na jednym z przedstawień na zakończenie spektaklu zespół zaśpiewał: „nasypali piasku, koniec przedstawienia, może się zobaczymy, więc do zobaczenia”. Niestety, już więcej nie spotkaliśmy się – normalny żołnierski i uchodźczy bieg wydarzeń. Polskiej ludności cywilnej było stosunkowo niewiele, tak że nieliczni uchodźcy korzystali z placówek wojskowych. Czuło się odprężenie wśród żołnierzy koalicji antyhitlerowskiej – wojna się skończyła. Wszędzie sporo było żołnierzy angielskich, nowozelandzkich, wolnych Francuzów, Australijczyków, Polaków i oczywiście Egipcjan. Kawiarnie i restauracje były przepelnione. Najwspanialsze lody były w kawiarni u Gropiego i już nigdzie później nie jadłem takich doskonałych lodów. Handel kwitł. Każdy zaopatrywał się w różnego rodzaju pamiątki, był przecież w legendarnym kraju faraonów. Robiono wycieczki pod piramidy, do Luksoru i Karnaku. Zaczął rozwijać się wśród żołnierzy półlegalny handel złotem – tak zwanymi „kasztanami” tj. złotymi funtami, polegający na wykorzystaniu różnicy ceny złota w Egipcie i Italii. W Egipcie złoto było bardzo tanie, kilkakrotnie tańsze niż we Włoszech i urlopowicze z II Korpusu wykorzystywali tę różnicę cen, kupując złoto w Egipcie i sprzedając w Italii z zyskiem dla siebie.

Arabowie przyjaźnie odnosili się do Polaków, znacznie lepiej aniżeli do Anglików i Francuzów. Anglików nie lubili, co później objawiło się licznymi demonstracjami antyangielskimi, których byłem świadkiem. Wśród cudzoziemców panował w Egipcie język francuski i angielski, po polsku już nie można było się porozumiewać tak jak w Palestynie. Polskiej szkoły nie było i postanowiłem zapisać się do amerykańskiego gimnazjum przy Amerykańskim Uniwersytecie w Kairze. Szkoła dawała szansę opanowania dobrze języka angielskiego przydatnego w wypadku pozostania na emigracji, a z taką sytuacją należało się liczyć. Trochę znałem angielski jeszcze z Tel-Awivu i egzamin, wprowadzie z trudem, ale jakoś zdałem. Gorsze były początki w samej szkole. Okazało się, że niewiele rozumiałem. Dwa tygodnie siedziałem jak na tureckim kazaniu. Pomału zacząłem się wciągać i nawet dość szybko zacząłem robić postępy.

Sprzyjał w nauce języka fakt, że byłem w klasie jedynym Polakiem i zmuszony byłem cały czas rozmawiać i słuchać tylko po angielsku – zarówno na lekcjach jak i na przerwach. Koniecznością było zatem szybkie opanowanie języka. Amerykański system nauczania w owym czasie znacznie różnił się od naszego. Kładziono większy nacisk na praktyczne opanowanie przedmiotu. Kształcono w większym stopniu umiejętność samodzielnego myślenia i wnioskowania. Często odbywały się dyskusje i należało wyrażać swoje opinie – bez narażania się na kpiny ze strony prowadzącego lekcję, co niestety zdarzało się w naszych szkołach. W nauce matematyki zwracano uwagę na tempo rozwiązywania zadań i szybkość rachunkową. Klasy były dostosowane do przedmiotów i uczniowie w zależności od przedmiotu, przechodzili do odpowiednich sal. Było to dla mnie pewną nowością. Również nowością był dla mnie brak ławek w większości pomieszczeń, a klasy wyposażone były w krzesła z szerokimi wmontowanymi pulpitemi, na których można było pisać, gdy zaistniała potrzeba. Krzesła te można było dowolnie ustawiać. Zasadniczo nie pisało się w zeszytach, a tylko w skoroszycie, którego kartki można było wyjmować, w tzw. „loose-leafie”. Duży nacisk położony był na wychowanie fizyczne. Na terenie kampusu był kort tenisowy i dwa boiska do koszykówki. Biblioteka szkolna oraz urządzenia sportowe, jak też część pomieszczeń lekcyjnych, były wspólnie z uniwersytetem amerykańskim w Kairze. Liczne były kółka zainteresowań. System ocen był w zasadzie podobny do naszego. Wprowadzony był tylko stopień dodatkowy pomiędzy „dostatecznym”, a „niedostatecznymaaa” określany jako „ledwo dostateczny”. Nowością natomiast było wprowadzenie przy stopniach tzw. lokaty – co prowadziło do pewnego rodzaju rywalizacji i konkurencji między uczniami. Na zakończenie roku otrzymywało się lokatę ogólną.

Ze względu na międzynarodowy charakter uczelni i szkoły, gdzie występowały różne religie i przekonania, zarówno chrześcijaństwo jak też judaizm i mahometanizm, wprowadzono lekcje etyki. Nie było żadnej dyskryminacji religijnej. Zarówno kadra nauczycielska jak i uczniowie stanowili na wskroś międzynarodowe towarzystwo. Mieliśmy w klasie prócz kilku rodowitych Arabów, Żydów egipskich, Ormian, Hindusa, Anglika, Amerykanina, Syryjczyka i Albańczyka, Włocha i Greka. Dla przykładu podam kilka nazwisk z naszej klasy, zresztą bardzo charakterystyczne dla narodowości, które reprezentowali: Tariq Kattab – Egipcjanin, Arab, Leon Seropian – Ormianin, Hracz Pehlevanian – Ormianin, Harry Friedman – Żyd, Joe Mzrahi – Żyd, Alfred Lizbona – Żyd, Evangelos Kalamitis – Grek, Robert Smith – Anglik, Edward Gangi – Syryjczyk, Rustem Kupa – Albańczyk i moja skromna osoba, której nazwiska ani imienia nikt nie umiał wymówić.

Ja zaprzyjaźniłem się z Albańczykiem o nazwisku Rustem Kupa. Łączyły nas zarówno problemy szkolne jak też jakaś wspólnota przeżyć. Był to młody chłopak, który walczył w partyzantce wraz ze swym ojcem przeciw Włochom, jednak gdy władzę przejęli w Albanii komuniści musiał uciekać i tak znalazł się w Egipcie. Sądzę, że kolega mój wraz ze swoim ojcem, byli monarchistami związanymi z albańskim królem Zogu, który w tym czasie też przebywał w Egipcie. Często graliśmy w szachy i prowadziliśmy rozmowy o polityce. Był to chłopak, z którym na te tematy można było prowadzić dyskusje. Gorzej było z innymi kolegami, którzy nie wykazywali większego zainteresowania tą problematyką. Spotkałem się nawet z taką ignorancją ze strony jednego z moich kolegów, który powiedział mi, że Polska jest wyspą na Bałtyku... Czuję się

zatem w obowiązku uświadomienia kolegom, co to jest Polska i jakie są dzieje Polaków. Musiałem w jakimś sensie reprezentować nasz kraj, chciałem wypaść jak najlepiej. Czy mnie się to udało, trudno powiedzieć. W każdym razie zaprzyjaźniłem się z wieloma i mam o nich jak najlepsze wspomnienia, sądzę, że i oni wspominają mnie mile. Po powrocie do kraju przez dłuższy czas korespondowałem z kilkoma z nich.

Tematem jednego z moich referatów w szkole było „Życie Tadeusza Kościuszki, bohatera obu narodów” – temat zainteresował wielu, a ja dostałem dobry stopień. Wydawało mi się, że na mnie jako Polaka są zwrócone oczy nauczycieli i kolegów i trzeba jakoś dobrze wypaść. Uczucie takie nie towarzyszyło mi ani później, ani przedtem w naszych szkołach. Sądzę, że udało mi się – ukończyłem drugi rok z drugą lokatą na 31 uczniów klasy. Z kolegami robiliśmy częste wycieczki. Zresztą wykorzystywałem każdy wolny czas, aby zwiedzić jak najwięcej. Egipt, to przecież kolebka cywilizacji światowej. Piramidy egipskie w Gizeh zwiedzałem kilkakrotnie. Specjalnie kupiłem sobie aparat fotograficzny – mój pierwszy aparat, aby to wydarzenie utrwalić na kliszy. A wrażenie jest kolosalne. Trudno opisać, bo oto człowiekowi wydają się, że pięć tysięcy lat patrzy na niego, a on czuje się taki maleńki. Piramidy swoją wielkością przytłaczają. Już z daleka są widoczne na horyzoncie. Wraz z przybliżaniem się, potężnieją i potężnieją, by całkowicie zawładnąć tobą, gdy staniesz u ich stóp.

W Gizeh znajdują się 3 słynne piramidy: Cheopsa, Chefrena i Mikerenosa oraz sfinks. Na największą piramidę Cheopsa można było wejść z przewodnikiem – ja usiłowałem wejść bez przewodnika, ale dotarłem zaledwie do połowy piramidy, w głowie mi się zakręciło i zawróciłem. W drodze na szczyt wspina się człowiek skacząc z głazu na gład, pomagając sobie rękami. A jest co pokonać, bowiem wysokość Wielkiej Piramidy Cheopsa wynosi 146 m. Piramida Cheopsa zbudowana jest z 2,3 miliona bloków kamiennych, każdy ważący około 2,5 tony. Według zapisów dawnych budowano ją przez 20 lat, a pracowało przy niej 100 tysięcy niewolników. Piramidy w Gizeh są grobowcami władców starożytnego Egiptu – faraonów i pochodzą z III tysiąclecia przed Chrystusem. U stóp piramid znajduje się słynny sfinks, wyrzeźbiony w XXVII wieku przed Chrystusem. W czasie bitwy Napoleona pod piramidami kula armatnia urwała mu nos. Mówiono, że zaskakuje przybysza swoją tajemniczością, ja jednak nie odniosłem takiego wrażenia – może nie miałem odpowiedniego nastroju w tym czasie.

Niedaleko Gizeh znajduje się miejscowość Sakkara – miejsce pochówku faraonów w piramidach schodkowych. Byłem tam na wycieczce, zorganizowanej przez polską wojskową komendę placu w Kairze. Uczestniczyło kilkunastu żołnierzy. Ja byłem jedyny cywil w tym wojskowym towarzystwie. Wśród uczestników wycieczki była kobieta – uczestniczka Powstania Warszawskiego. Opowiadała o okropnościach przez jakie przeszli powstańcy, o kanałach, rozstrzeliwaniach, późniejszej niewoli. Jej relacja wywarła na wszystkich duże wrażenie. Ja dopiero teraz mogłem usłyszeć przeżycia naocznego świadka i uczestnika tych wydarzeń, o których się tyle słyszało jeszcze podczas naszego pobytu w Palestynie. Później, pod wpływem tej relacji, narysowałem na zajęciach plastycznych w mojej szkole scenę z powstania warszawskiego. Praca została pokazana na wystawie na zakończenie roku i wzbudziła spore zainteresowanie, a ja otrzymałem nagrodę.

W czasie zwiedzania towarzyszyli nam miejscowi kupcy, oferujący prawdziwe, albo fałszywe przedmioty rzekomo z okresu panowania faraonów na tym terenie. Kupiłem kilka figurek, kilka skarabeuszów, groty do strzał rzekomo legionistów rzymskich oraz jeszcze parę drobiazgów. Zaraz po wojnie, nie było jeszcze takiego ruchu turystycznego w Egipcie jak teraz i jest duże prawdopodobieństwo, że przedmioty, które nabyłem w Sakkara są autentycznymi.

Podczas wycieczki zwiedzaliśmy też grobowce świętych byków, czczonych przez starożytnych Egipcjan. Wycieczka była bardzo udana. Zrobiliśmy wiele zdjęć pamiątkowych. Pobyt w Egipcie i zwiedzanie jego zabytków nauczył mnie, że najlepszą pamiątką z miejsc zwiedzanych jest fotografia i odtąd gdziekolwiek się wybierałem w latach następnych, towarzyszył mi aparat fotograficzny.

Mieszkając w Kairze, oczywiście odwiedziłem kilkakrotnie słynne muzeum egipskie. Znajduje się tu największy w świecie zbiór mumii i sarkofagów egipskich oraz innych przedmiotów kultury materialnej starożytnego Egiptu. Zgromadzono tu przedmioty i mumię z grobowca Tutenchamona, faraona z XIV wieku przed Chrystusem, którego grobowiec, w pełni zachowany, odkryto w 1922 r. Przedmioty z tego grobowca przetransportowano do muzeum i stanowią największą jego atrakcję. Sarkofagi wraz z maską faraona Tutenchamona, znajdują się w niewielkiej salce, przed którą stoi policjant i wpuszcza do niej, ze względów bezpieczeństwa, tylko 3-4 osoby naraz. Ja byłem zupełnie zszokowany przepychem i doskonałością złotych masek faraona. Mogę odtąd powiedzieć, że spojrzałem w twarz Tutenchamona. Tego się nie zapomina. Z figurą wojownika Tutenchamona zrobiłem sobie fotografię – zdjęcie zrobiłem po kryjomu, gdyż w muzeum egipskim nie wolno było fotografować.

Mówiąc o Kairze nie można pominąć ogrodu zoologicznego, który szczyci się największą w Afryce kolekcją zwierząt tropikalnych. Byłem tam kilka razy, podziwiając wspaniałe zwierzęta południowe oraz sam ogród, pełny egzotycznej roślinności. Po to, aby zwiedzić go w miarę porządnie, trzeba poświęcić co najmniej dwa dni. Jeden dzień starcza tylko na pobieżne zwiedzanie. Z kolegami pływałem po Nilu wypożyczoną łodzią wiosłową. Były tam tego rodzaju wypożyczalnie. Popularne były również wypożyczalnie rowerów – nauczyłem się jeździć na rowerze i często korzystałem z wypożyczalni, by zwiedzać miasto. Jeżdżenie na rowerze po Kairze nie należało do najbezpieczniejszych czynności, ze względu na swoiście beztroskie przestrzeganie przepisów drogowych przez Arabów – ale takie niebezpieczeństwo uświadomiłem sobie znacznie później, jak wydorostałem. Często korzystaliśmy z ujeżdżalni wrotek. Była to jedna z form rekreacji na wolnym powietrzu. W takt melodii płynącej z głośnika towarzystwo kręciło się, bawiło, zawierało znajomości. Bawiono się tak jak dawniej w Polsce na lodowiskach – jaka szkoda, że dziś tego typu rozrywki u nas są zarzucone i niepopularne.

W lecie 1946 roku wyjechałem z ojcem na wakacje do obozu wojskowego dla urlopowiczów, znajdującego się w rejonie Kanału Sueskiego, w pobliżu Ismaili. Obóz składający się z kilkunastu namiotów położony był nad Wielkim Jeziorem Gorzkim, przez które przechodzi Kanał Sueski. Bywały wypadki, jak opowiadano, zapuszczania się tu rekinów z Morza Czerwonego. Ja zaprzyjaźniłem się z kilkoma żołnierzami. Pływaliśmy po jeziorze na łódce niezatapialnej, tak zwanym „pływaku”. Razu pewnego z jednym ze znajomych, wyruszyliśmy na przeciwległy brzeg jeziora. Wtem przed naszym pływakiem wynurzyła się potęż-

na głowa nieznaney nam ryby. Co gorsze ryba fuknęła i zaczęła podejrzenie zbliżać się do naszej łodzi – myśleliśmy, że to rekin. Byliśmy przerażeni. Wyciągnęliśmy łódź na brzeg i spory kawałek przenieśliśmy ją na plecach ledwo zapiąc. W najważszym miejscu przepłynęliśmy na drugi brzeg do naszego obozu. Sporo było śmiechu, jak opowiedzieliśmy całą historię, bowiem nie mógł być to rekin, a tylko delfin, który oddychał powietrzem i nas ofukał. Delfin nie mógł nam zagrażać. Strach ma wielkie oczy. W nocy chodziliśmy na połów krabów. Kraby wabiliśmy na zepsute mięso i na światło latarki, a następnie łapaliśmy siatką i wyciągaliśmy na brzeg. W ciągu dwóch godzin można było złapać 20-30 krabów. Mięso kraba jest delikatne i smaczne. Ja na początku, nie wiedząc jak się gotuje kraby, wsadzałem do dużej puszki cały połów, zalewałem zimną wodą i stawiałem na ogniu. Powoli kraby gotowały się w nieopisanych mękach – ja zaś stawałem się potwornym mordercą. Dopiero później dowiedziałem się, że kraby gotują się, wrzucając je na kipiącą wodę, co powoduje ich natychmiastową śmierć i nie skazuje na długotrwałe męki. Mea culpa.

Będąc w Egipcie nie mogę odżalować faktu, że nie byłem w Luksorze i Karnaku. Wszystko wydarzyło się za sprawą mojego umiłowania zwierząt. Otóż w dniach, kiedy miał być wyjazd do Luksoru i Karnaku miałem poddać się leczeniu przeciw wściekliznie. A było to tak. W polskiej komendzie placu w Kairze był piękny pies, chyba wilczur, z którym się często bawiłem. Zwierzęta towarzyszyły nam – uchodźcom i żołnierzom wszędzie gdzie los nas rzucił, przypominając kraj. Pies ów pewnego dnia zachorował na wściekliznę i wszyscy ktokolwiek miał z nim kontakt, musieli poddać się bolesnym zastrzykom w brzuch. Chodziłem z kilkoma żołnierzami do egipskiego ośrodka Pasteura, gdzie leczono nas. Do dziś nie wiem, czy branie zastrzyków było konieczne, gdyż nie byłem przez psa pokąsany. Lekarze jednak byli bezwzględni i wycieczkę do Luksoru diabli wzięli. Później już nie nadarzyła się okazja, aby tam pojechać.

Dwukrotnie byłem w Szpitalu Wojennym Nr 8, który obsługiwała w ramach służby w PCK moja matka – raz towarzysząc jej w pracy, drugi raz na obserwacji lekarskiej. Na obserwacji byłem w związku z pozostałościami po malarii, którą przebyłem w Palestynie. Miałem lekką anemię. Badanie trwało około tygodnia. Szpital mieścił się niedaleko Kanału Sueskiego w miejscowości El Kantara. Sale szpitalne znajdowały się w barakach, personel lekarski i pomocniczy był polski. Leżeli tu chorzy i ranni żołnierze polscy z Włoch i Środkowego Wschodu. Było kilku żołnierzy Ślązaków i Poznaniaków siłą wcielonych do Wehrmachtu, którzy przy nadającej się okazji przeszli na stronę sprzymierzonych i później znaleźli się w II Korpusie Polskim we Włoszech. Byli to ci, o których gen. Anders mówił, że rezerwy ludzkie II Korpusu Polskiego znajdują się przed tymże Korpusem, a nie za nim, jak w innych armiach. Podczas drugiego pobytu w El Kantarze wykorzystałem bliskość Kanału Sueskiego i korzystałem z kąpielii. Była tu polska plaża, z której korzystaliśmy. Ja przepłynąłem kanał wszcz, tam i z powrotem, podziwiając olbrzymie statki i okręty, które płynęły tą drogą wodną.

Czas jednak płynął nieubłaganie. Nastął rok 1947. Jednostki polskie na Środkowym Wschodzie zaczęły pomału się kurczyć. Część ewakuowano do Anglii, inne jednostki uległy przegrupowaniu. Ojciec został przeniesiony do Kairu i zajął się porządkowaniem archiwum w komendzie placu. Komenda placu przygotowywała się do likwidacji i wyjazdu do Anglii. Pracując w archi-

wum zdeponował jeden nasz worek, w którym znalazły się moje komplety „Parad”, drobne pamiątki ze Środkowego Wschodu, jak skarabeusze, stare monety i jeszcze kilka drobiazgów. Mieliśmy wszyscy jechać do Anglii i liczyliśmy, że depozyt w Anglii odbierzemy. Sytuacja Polaków stawała się coraz bardziej niepewna. Nadzieje na powrót armii do Polski nikły. Wieści z Polski dochodziły niedobre. Z drugiej strony z Anglii wiadomości o niechętnym przyjmowaniu tam Polaków. Były protesty Brytyjskich Związków Zawodowych – obawiali się, że Polacy będą konkurencyjni na rynku pracy. Zasługi Polaków w Bitwie o Anglię u wielu poszły w niepamięć. Nasuwa się smutna refleksja: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”. Jako wojsko i rodzina wojskowa mogliśmy jechać do Anglii na dalszą poniewierkę, ale czy przy takim stosunku Anglików należało to robić. Byliśmy w ciągłym stresie i rozterce. Toczyły się nieustannie Polaków wieczorne rozmowy. Uczestniczyli w nich nasi znajomi: adwokat Stanisław Sas, Cieszyńscy, por. Patyczek, por. Janicki, mjr Hebrowski i inni, których nie pamiętam. Ja z matką byliśmy przeciwni powrotowi do Polski, znaliśmy aż za dobrze Rosjan, ojciec wahał się – nie był przecież z nami na Syberii.

Przewidując rychły wyjazd z Egiptu, po ukończeniu II roku w szkole amerykańskiej, pożegnałem się z kolegami. Uroczystość zakończenia roku szkolnego odbywała się zawsze bardzo okazale. Była akademія, ukazała się honorowa lista uczniów, którzy mieli bardzo dobre wyniki w nauce, ja też znalazłem się na tej liście, rozdano nagrody. Przewidywania moje sprawdziły się – nie wróciłem już do tej szkoły. Należało podjąć decyzję dokąd jechać. Decyzja powrotu do Polski była bardzo ryzykowna. Z Polski dochodziły wieści o szykanach rodzin mających kogokolwiek za granicą, o aresztowaniach powracających do kraju. Żołnierze bali się nawet korespondować z rodzinami w kraju. Prosiли moją matkę, aby ich rodziny z Polski pisały na nasz kairski adres, obawiali się ujawnić, iż są w wojsku polskim za granicą. Matka spełniała te życzenia. Toteż wiele listów przychodziło na nasz adres i matka przekazywała je dalej do właściwych adresatów. Nasze obawy powrotu rozwił w pewnym stopniu fakt, że z Anglii do Polski powrócił były premier Stanisław Mikołajczyk. Dowiedzieliśmy się również, że do kraju powróciło kilku generałów, w tym były dowódca ojca w Tarnopolu gen. Gustaw Paszkiewicz oraz szef służby sanitarnej II Korpusu gen. Szarecki. Nadto z internowania w Szwajcarii powrócił gen. Prugar-Ketling były dowódca II Dywizji Strzelców Pieszych we Francji. Wraz z nim wrócili niektórzy internowani, w tym brat matki Tadeusz Taras – ten który wraz z ojcem w 1939 r. udał się do Francji. Jego powrót w zasadzie, przesądził o naszym powrocie do kraju. W liście do nas namawiał nas do przyjazdu do polski i włączenia się w odbudowę. Trzeba pamiętać, że z nami była jego matka, która po 7 letniej rozłące chciała zobaczyć swego jedyne go syna. Nadto, ojciec jako prawnik mógł egzystować w zawodzie tylko w Polsce. Będąc inwalidą wojennym, nie nadawał się do pracy fizycznej, a Anglicy oferowali głównie tego rodzaju prace. Mógł być w najlepszym wypadku postrzygaczem owiec lub stróżem nocnym – ale i te prace były ponad jego siły. Wszystkie te czynniki zadecydowały, po wielogodzinnych wahaniach i awanturach w rodzinie, o naszym powrocie do Polski. Ważka decyzja została podjęta, chęć naszego powrotu została zgłoszona odpowiednim władzom. Skierowano nas do obozu ewakuacyjnego znajdującego się w rejonie Suez. Zanim to nastąpiło „wysłuchaliśmy” wiele cierpkich uwag od naszych znajomych, którzy zdecydowali się na długotrwałą emigrację. Niestety większość naszych znajomych nie doczekała się powrotu do wolnej,

obecnie już, Polski – zmarli na obczyźnie. Pożegnanie było smutne, milczące, albo w ogóle go nie było. Wojskowych zdemobilizowano i mieliśmy wracać jako uchodźcy cywilni. Było to przykre, zwłaszcza dla ojca, który od młodości był w wojsku i wszystko co osiągnął – osiągnął będąc w wojsku.

W Aleksandrii zaokrętowano nas na statek panamski pod nazwą „Patris”, załogą grecką i rozpoczęła się powrotna droga do kraju. Żegnałem Egipt z sentymentem. Spotkałem tu ludzi różnych ras i religii, zaprzyjaźniłem się z wieloma, nauczyłem się tolerancji i poszanowania innych. Wszelki fanatyzm stał się mi obcy. Statek, którym płynęliśmy był starą, wysłużoną, niewielką łajbą. Najpierw popłynęliśmy do Hajfy, by zaokrętować jeszcze jedną partię uchodźców. W Hajfie wsiadł na statek cyrkowiec z dużymi skrzyniami pełnymi rekwizytów. Miał zamiar otworzyć w Polsce własny cyrk. Władze ludowe w Polsce zwerbowały go obiecując, iż będzie mógł prowadzić prywatny cyrk – obiecywano mu „złote góry”. Jechał do Polski pełen nadziei, że spełnią się jego oczekiwania i marzenia całego życia. Smutny dla mnie był to widok, gdy kilka lat później, widziałem go przygnębionego, występującego w państwowym cyrku, wśród innych cyrkowców. Takich jak on zawiedzionych miało być jeszcze wielu.

Dalsza droga wiodła wzdłuż wybrzeży greckich, pomiędzy Sycylią a Italią do Genui. Podróż trwała 8 dni. Morze było raz niespokojne, to znów fale się uspokajały, wschodziło słońce i mogliśmy obserwować latające ryby, uciekające przed naszym statkiem. Europa powitała nas deszczem i chłodem. Z Genui skierowano nas do Rzymu, gdzie kompletował się skład kolejowy, którym mieliśmy podążać dalej do kraju. W Rzymie oczekiwaliśmy około tygodnia na stacji Roma Prenestina na skompletowanie pełnego transportu. Włosi uznali, że jedziemy tranzytem i w związku z tym nie powinniśmy opuszczać stacji Roma Prenestina. Nie dosyć na tym, przysłali kilkunastu policjantów, którzy mieli nas pilnować, abyśmy się nie oddalali ze stacji. Wyglądało na to, iż uznali nas za komunistów, skoro zdecydowaliśmy się na powrót do Polski. Co za ironia losu. Ale jak to, być w Rzymie i nie widzieć Papieża. Postanowiliśmy, że mimo zakazu udamy się do centrum Rzymu. Pierwsza moja próba nie powiodła się – złapali. Druga też. Policjant, który mnie złapał, powiedział, że jeżeli mnie jeszcze raz złapie, to przykuje kajdankami do wagonu. Jego zamysł się nie powiódł – jeszcze czterokrotnie byłem w Rzymie i nie udało się mnie złapać. Byłem oczywiście w Watykanie. Podziwiałem z tarasu bazyliki Św. Piotra potężne figury świętych, z kopuły bazyliki oglądałem sławne kompozycje ogrodów watykańskich. Podziwiałem Forum Romanum i Koloseum, gdzie torturowano pierwszych chrześcijan. Z dała, bo już czasu nie było, podziwiałem monumentalną bryłę zamku Anioła. Niestety Papieża nie widziałem, był podobno w tym czasie na urlopie. Pierwszy raz, udając robotników idących do pracy przeszedłem wraz z ojcem przez kordon policji. Drugi raz, byłem już przewodnikiem po Rzymie mojej matki. Prócz tego, zwiedzałem jeszcze dwa razy indywidualnie zabytki Rzymu.

Po sześciu dniach skompletowano w końcu transport do Polski. Miałem łzy w oczach, gdy po 7 latach zobaczyłem prawdziwego polskiego kolejarza w rogatywce z orzełkiem. Transport składał się z wojskowych wagonów sanitarnych z łózkami piętrowymi, oznakowany był czerwonym krzyżem. Obsługa pociągu była polska; zarówno kierownik pociągu jak i siostry PCK z obsługi. Ruszyliśmy przez Niemcy, Czechosłowację do Polski. Jeszcze raz w Niemczech naszły nas wątplenia, czy dobrze robimy wracając do kraju – było to poważne ryzyko. Jechaliśmy z duszą na ramieniu.

Granicę czechosłowacko-polską przekroczyliśmy w początkach października 1947 r. w Dziedzicach. Ku naszemu przerażeniu zamiast powitania na ziemi ojczystej, zaczęło się przesłuchiwanie przez UB. Jednego z pierwszych wezwano mojego ojca. Przesłuchanie trwało bardzo długo, my zaś czekaliśmy w niepokoju na wynik. Po półtorej godzinie ojciec wyszedł zdenerwowany, ale uśmiechnięty. Okazało się, że przesłuchujący koniecznie chcieli wmówić ojcu, iż nazywa się Kazimierz – mieli widocznie na owego Kazimierza tzw. „hak” i chcieli go aresztować. Wmawiali, że ojciec albo jest tym Kazimierzem i tylko zmienił imię na Mikołaj, albo jest jego kuzynem i powinien wszystko o Kazimierzu wiedzieć. Nie pomagały twierdzenia, że owego Kazimierza w życiu nie spotkał. Męczyli go ze wszystkich stron, zadając podchwytliwe pytania. W końcu ojciec uderzając się w głowę wykrzyknął: „znam Kazimierza”. UBowcy zamienili się w słuch – „to był mój ojciec, ale zmarł zanim ja się urodziłem”. Widząc, że ojciec robi z nich „balona” – zawsze był ryzykantem, zwolnili go. Nas już nie przesłuchiwali.

Na przywitanie do Dziedzic przyjechał brat matki Tadeusz. Zaopiekował się nami, zabierając nas do Legnicy, gdzie w tym czasie mieszkał. Do Legnicy udało się powrócić z Kazachstanu również naszym kuzynom. Wymizerowani powitali nas na stacji kolejowej w Legnicy. To cud – jeszcze żyliśmy – po tylu przejściach, znów spotkaliśmy się. Było sporo łez radości. Czasowo zamieszkaliśmy w Legnicy. Pomału trzeba było rozejrzeć się za pracą i szkołą. Ojciec chcąc zorientować się w sytuacji udał się do Warszawy i zgłosił się do swojego byłego dowódcy z Tarnopola gen. Gustawa Paszkiewicza. Paszkiewicz zwrócił uwagę, że w wojsku polskim dzieją się złe rzeczy i poradził ojcu, aby przejść o ile jest to możliwe, do cywila. Tak też ojciec postąpił przenosząc się do adwokatury. Przejście do cywila prawdopodobnie uratowało ojcu życie, gdyż wszyscy wiemy co później nastąpiło z oficerami, którzy powrócili do kraju i pozostali w wojsku. Znany jest proces gen. Tatara i Kirchmajera oraz wielu innych, o których nawet nie wiemy. Wielu oficerów skazano na długoletnie więzienie lub rozstrzelanie. As polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii płk Skalski został skazany na karę śmierci za rzekome szpiegostwo – na szczęście wyroku nie wykonano. Wprawdzie później kilkakrotnie ojca wzywano na przesłuchanie, ale na tym się skończyło. Za każdym razem przeżywaliśmy z matką katusze, czy aby na pewno zostanie zwolniony. Przeklinaliśmy wtedy dzień, w którym zdecydowaliśmy się na powrót do kraju. Znów pojawił się strach.

Ja chciałem się dalej uczyć. Zgłosiłem się do gimnazjum w Legnicy. I tu nastąpił poważny kłopot. Nie chciano mnie przyjąć, argumentując, że muszę mieć zezwolenie z ministerstwa oświaty uznające moje amerykańskie gimnazjum za równorzędne z polskim. Na razie przyjęto mnie jako wolnego słuchacza do szóstej klasy gimnazjum im. Henryka Pobożnego w Legnicy. W międzyczasie ministerstwo rozpatrywało moją sprawę. Po kilku tygodniach przyszła odpowiedź akceptująca, z jednym zastrzeżeniem, że muszę zdać egzamin z języka polskiego. Na szczęście brałem udział w kilku klasówkach z języka polskiego z pozytywnym wynikiem i specjalnego egzaminu nie trzeba było robić. Dyrektorem gimnazjum był Podoba, człowiek bardzo ostrożny i koniecznie chciał mieć podkładkę z ministerstwa. Teraz mógł być już spokojny – a ja mogłem podjąć normalną naukę. Początki w Polsce były trudne. Wróciliśmy pod koniec

1947 r., kiedy już wszystkie mieszkania w Legnicy były zajęte przez repatriantów zza Buga, ocalałych Sybiraków i przesiedleńców – górników z Francji oraz nielicznych uchodźców z Zachodu i innych terenów. Po kilku miesiącach zamieszkiwania u krewnych otrzymaliśmy w końcu mieszkanie w ponemieckich robotniczych budynkach szeregowych przy ul. Kasprowicza 33.

*

Kazimierz Grenczak – Ze Lwowa do Gliwic przez Kazachstan

1 września 1939 r.

Mieszkaliśmy we Lwowie w dzielnicy Nowe Zniesienie, przy ulicy Jaśńskiego. Przed oknami, nieopodal na wprost, na zachód sterczał komin słynnej wytwórni wódek Baczewskiego. Istnieje on do dziś. Od niego w lewo Dworzec Podzamcze, Wysoczyzna Wysokiego Zamku z Kopcem Unii Lubelskiej, Góra Piaskowa i grzbiet Kajzerwaldu, którego stoki były terenem moich zabaw i rodzinnych pikników. Od Dworca Podzamcze biegła główna linia kolejowa na Wschód. Między torami a wzniesieniami leżała wąska dzielnica Stare Zniesienie, na zachodnim krańcu której był Zakład Przyrodoleczniczy Kisielki i duża Państwowa Wytwórnia Spirytusu, zwana tu „Monopol”, funkcjonująca do dziś. W prawo od komina Baczewskiego leżała dzielnica Zamarstynów, za nią obniżenie z rzeką Pełtwią, a na horyzoncie wieś Zboiska, na wzniesieniach. Od Baczewskiego do Zboisk biegła prościutka ulica Żółkiewska, przy której była rafineria, rzeźnia miejska i zajezdnia tramwajowa.

Piątek 1 września wstał we Lwowie piękny, słoneczny. Od świtu z radia wiedzieliśmy, że jest wojna. Że jest tuż-tuż wiedzieliśmy już w końcu sierpnia. Ojciec, przodownik policji, był w stanie pogotowia. Do domu ledwo zaglądał, choć jego IX. Komisariat był bardzo blisko, przy ulicy Żółkiewskiej. W domu byliśmy – ja, mama, babcia i służąca Walerka, Ukrainka, zarazem moja niania. Mieliśmy w pogotowiu maski gazowe dobrane na miarę, a szyby w oknach zalepione paskami papieru na krzyż, zgodnie z instrukcją wojenną. Pierwszego września miałem iść do szkoły, do drugiej klasy, a drugiego września przypadają moje ósme urodziny.

Z radia szły niezrozumiałe komunikaty i te niepokojące: „Uwaga, uwaga! Nadchodzi!”. Po jednym z nich zawyły syreny. Wstrząśnięci, ale i zaintrygowani, wyszliśmy na balkon, ale nic się nie działo. Za rogiem, na ulicy Nowozniesieńskiej, przed torami, był plac, na który w piątki zjeżdżali chłopcy furmankami z kierunku Zboisk. Słysząc było stamtąd słaby gwar, a więc targ odbywał się. Nagle nastąpił silny huk i nad placem targowym wytrysnął snop wybuchu. Zza rogu, w naszą ulicę, zaczęli wbiegać oszołomieni ludzie. Zbiegliśmy do bramy. Wpadł właśnie do niej przerażony, rozdygotany chłop. Miał stopę we krwi. Z buta w pięcie wystawał mu ułamek żelaza. Nie tkwił głęboko, bo zapiętek buta był twardy. Mieszkańcy domu rannego opatrzyli po wyjęciu odłamka i dali mu szczołkę na kiju pod ramię, na której pokulał on dalej.

I tak, już wtedy, pierwszego września, zobaczyłem pierwszą krew wojny i poczułem swąd świeżego odłamka bomby.

Oblężenie Lwowa

Niemcy zaatakowali Lwów od Zachodu około 12 września. Miasto ostrzeliwali i bombardowali, ale tu, na wschodzie, za Wysokim Zamkiem, było mało wybuchów. Tylko biła artyleria gdzieś z Wysokiego Zamku i trzeszczał karabin maszynowy przeciwlotniczy z widocznego elewatora przy Dworcu Podzamcze. Od ojca wiedzieliśmy, że Niemcy przez Górę Stracenia i Hołosko przebijają się na północ na Zboiska, by Lwów okrążyć. O walkach świadczyły wybuchy, dymy i pożary na zachodzie miasta.

Sądny dzień na Zniesieniu nastąpił około 14 września. Byliśmy przy oknach, gdy nad Zamkiem, przy zachodzącym słońcu zabłysła sylwetka samolotu, tuż po syrenach odwołujących alarm lotniczy. Rozległ się wybuch potężny, płomienie buchnęły u podnóża Zamku, podmuch sięgnął naszych okien. Wybuch nastąpił i trwał w wielokrotnych powtórzeniach. Trzaskało jakby walec drogowy rozjeżdżał duże butle szklane. Łuna przesłoniła Zamek i legła poświatą na całą dzielnicę. Na ulicach powstała panika. Ludzie z tobołami uciekali na Północ, w kierunku Zboisk. Krzyczeli – „Pali się Baczewski!”

Tuż zaraz wpadł ojciec – „Zbombardowali „Monopol”. Tam są ogromne zbiorniki. Nie da się przewidzieć, co jeszcze się zdarzy. Niedaleko rafineria, Niemcy atakują Zboiska, a tylko tamtędy można wyjść ze Lwowa w stronę naszych wojsk. Natychmiast uciekajcie do Zboisk, tam jakoś dam wam dalsze instrukcje!”

Babcia, zawzięta i uparta jak bohaterki westernów, zaparła się, że zostaje w domu. Mama, ja i Walerka w ciągu nocy, oświetlani łuną z „Monopolu”, dotarliśmy do pierwszej z brzegu chaty w Zboiskach.

Noc przesiedzieliśmy z gospodarzami, między workami zboża. Rano ze wzgórza widzieliśmy samoloty nad Lwowem, wybuchy i dymy pożarów. Samolot przelatujący nad nami wpędził nas w kapustę na polu. Obok chaty przegoniła konna bateria polska, a zaraz potem z powrotem. Wyglądało to panicznie. Naraz wpadł ojciec na koniu. Był w konnym policyjnym szwadronie, jako były kawalerzysta – „Natychmiast uciekać dalej. Zaraz tu będą Niemcy!” Właściwie to zdecydowała tu służąca Walerka – „Idziemy do mojej wsi Wychopnie, tam na bagnach nawet diabeł nas nie znajdzie.” Ojciec kiwnął na zgodę i pognął do Lwowa. Ufaliśmy, że zdąży przed atakiem.

Ze Zboisk wyszliśmy na Wschód do szosy na Żółtańce, ale przed wejściem na nią czekaliśmy w lesie do nocy, bo w dzień szosy były bombardowane. W nocy około 20 kilometrów szliśmy w nieustającym potoku uchodźców – pieszych, furmanek i samochodów. Do Wychopni dotarliśmy o mglistym świcie, do chaty domu rodziny Walerki, gdzie przebywaliśmy w ukryciu przed sąsiadami.

Po paru dniach usłyszeliśmy zgrzytliwy hałas od strony północnej. – „Tam jest szosa” – powiedziała Walerka. Pomimo jej obaw poszliśmy leśnym duktem zobaczyć, co tam tak głośno zgrzytało. Doszliśmy do szosy, gdy właśnie spoza zakrętu silnie zagruchotało i wyłoniły się czołgi. Gdy podjechały, zobaczyliśmy na nich czarne krzyże. W więc Niemcy! Co jednak dziwne, na czołgach było wielu cywilów z tobołami i walizkami. – „Widzi Pani! Gadałam Pani, że ludzie bałakali, że Niemcy biorą na czołgi Polaków, aby do nich nie strzelaty!” – wytknęła Walerka, że jej obawy, aby tu przyjść były zasadne.

Był to jedyny moment, kiedy widziałem z bliska Niemców i to nie tylko tych okrążających Lwów, ale i tych, którzy z okolic Lwowa uciekali na czołgach, bo to był właśnie 17 lub 18 września, kiedy Niemcy wycofywali się z terenów przeznaczonych Sowietom i przy okazji ewakuowali mieszkańców niemieckich kolonii w tym terenie. Może tak właśnie zrodziły się opowieści o Niemcach używających Polaków jako żywe tarcze? Badając te czasy z map i dokumentów stwierdziłem, że w tamtym terenie były faktycznie całe niemieckie kolonie, których mieszkańcy mogli chcieć uniknąć sowieckiego władania prącego w tych dniach od wschodu. Stwierdziłem też na podstawie dokumentów wojennych, że tuż po naszej ucieczce ze Zboisk, po kilku godzinach teren ten został zajęty przez Niemców, co odcięło obronę Lwowa od wojsk polskich idących z północy na odsiecz.

Lwów zniewolony

W uroczyskach wsi Wychopnie czas stał. Nie było wieści ze świata. Jednak Walerka po kilku dniach dowiedziała się od chłopów – „Wojna se zawierzyła! Wo Lwiwi Moskali! Doroha do Lwiwa je Wilna!”

Wynajętą furmanką wracaliśmy zdruzgotani psychicznie. Za Zboiskami most nad Pełtwią był rozbity. Przy drodze, po prawej obok nasypu, sterczały chyba trzy wraki pojazdów pancernych, porzuconych w nieładzie. Zauważyłem na nich czerwone gwiazdy, tak to mam w pamięci. Popatrzyłem na widoczny stąd grzbiet Kajzerwaldu, na którym jak sądziłem była polska artyleria i pomyślałem – „Ale stamtąd hepneli Moskali!” Incydentu takiego nie znalazłem we współczesnych publikacjach o obronie Lwowa, ale jest w nich wzmianka, że Sowietci wchodzili do Lwowa również z tego kierunku.

Pełtew przejechaliśmy prowizorycznym pomostem po lewej od ruiny mostu. W domu Babcia powiedziała, że ojciec nie oddał się do niewoli, poszedł w ukrycie, w konspirację. Uniknął masakry policjantów w Miednoje. Nasz dom czynszowy nie ucierpiał. Koło domu, gdzie mieszkaliśmy, były dwa wybuchy. Jeden od ulicy, narzucił ziemi do mieszkania, drugi w podwórzu. Ten trafił w dawne szambo, rozbryzgując je na całą ścianę domu. Lokatorzy schronieni w piwnicach poczuli smród i wpadli w panikę – „Ludzie! Gaz!”. Że to nie gaz, odkryli szybko, ale ciężki smród pozostał na długo.

Moja matka uznała, że niezależnie od sytuacji szkoła jest konieczna. Poszedłem do szkoły, nie pamiętam, do której klasy, bo Sowietci zmienili system. Na pierwszej lekcji zaprowadzono nas do kina „Wanda”, które przylegało do naszej szkoły. Zobaczyłem na ekranie, że Tadeusz Kościuszko i kosynierzy zostali wręcz rozdeptani przez wojsko carskie. Zgłupiałem. Do dziś nie wiem, co to był za film sowiecki. Więcej do szkoły nie poszedłem. Atmosfera tam była ponura, pod presją Ukraińców i Żydów.

Zima była ciężka, wyjątkowo mroźna. Lokatorzy nie płacili nam czynszu. Właściwie dom utrzymywała służąca Walerka, sprzedając na targu i po wsiach ubrania i sprzęty domowe, lub zamieniając to na żywność. Ojciec w ciągu zimy wpadł do nas ledwo dwa razy z narażeniem życia. Było pewne, że jesteśmy obserwowani. Nie mówił nam, gdzie się ukrywa. Raz przechodząc przez Kajzerwald wpadł na Ukraińca nożownika. Na szczęście stracił tylko zegarek, po którym zostało mu nacięcie na rękę.

W lutym poszła wieść, że Sowieci wywożą Polaków na Sybir, ale tu, we Lwowie, nic takiego się nie działo. Na początku kwietnia przemknął się do nas ojciec i podał, że na pewno niedługo będą wywozić ze Lwowa. Trzeba uciekać! O zmroku ojciec przeprowadził mamę i mnie peryferiami wokół Zamartynowa, nad kanałem Pełtwi, do swojego bratanka na ulicę Kleparowską. Bratanek był specjalistą w pobliskiej Gazowni Miejskiej, był potrzebny Sowiecom, miejsce wydawało się bezpieczne. Jego żona była moją matką chrzestną. Po kilku dniach, gdy nadal nic się nie działo, rodzina uznała, że trzeba uciekać ze Lwowa, może do Kołomyży, do rodziny mojej mamy. By wyprawić się na dłużej trzeba było zabrać z naszego mieszkania więcej rzeczy. Pospolicie ubrani, mama i ja, przeszliśmy przez miasto bez przeszkód. W domu spakowaliśmy dwie skrzynki i walizę. Zajęło to jednak czas do zmierzchu. Wyruszać z bagażami w nocy wydawało się niebezpiecznie, lepiej jutro rano. Położyliśmy się spać. Była to noc z 12 na 13 kwietnia.

Zostałem obudzony o północy. W domu rozpacz, żołnierze z karabinami, oficer, dwaj cywile, jeden z opaską na rękawie – „Ubierać się! Pakować! Jedzcie daleko! Brać ciepłe ubrania!” – padały rozkazy i rady. Byłem półprzytomny, gdy ubierała mnie babcia. Walerka klęczała przed oficerem – „Ne berytie starszu paniu! Berytie mene, ja kak rodina, mały pan moj wospitannik!” Ale oficer wykonywał rozkaz, na liście miał mamę, babcię i mnie. Pytał o ojca, ale usłyszał, że my ojca nie widzieliśmy od czasu jak poszedł na wojnę.

W domu została Walerka, a my zapakowani na ciężarówkę, zawiezieni na Dworzec Podzamcze, zostaliśmy wepchnięci do towarowego wagonu. Budził się dzień trzynastego kwietnia.

Jasyr na Sybir

W ciągu dnia eszelon był dopychany przywożonymi zesłańcami. Ja miałem miejsce na górnej lewej półce przy zakratowanym oknie. Ze Lwowa wyjechaliśmy w nocy, w niewiadome. Warunki w czasie jazdy są znane z licznych publikowanych relacji. Wagony zamknięte, tłok, smród z drewnianej rury jako ustępu. Rozpaczliwe rozmowy, żałosne śpiewy. Co parę dni dwie osoby wypuszczano po wodę i chleb. Raz, tak pamiętam, po zupełną sałamaczę. Kto nie miał żywności głodował, trochę wspomagany przez tych, co mieli. Zdarzały się krzyki, strzelanie, prawdopodobnie próba ucieczki. W sąsiednim wagonie wrzeszczał jakiś chłopiec. Ludzie wołali o pomoc, ale jej nie było. Miał na imię Maniek, poznałem go już na miejscu zesłania. Miał zapalenie uszu, stracił słuch.

Przez okno widziałem kraj, przez który włókł się eszelon. Zapamiętałem ośnieżone stoki Uralu w wąwozach, którymi wspinał się. Za Uralem nadzór konwoju żelaza, tajga syberyjska już nie kusiła do ucieczek. W Nowosybirsku pociąg skręcił na południe. A więc jechaliśmy do Kazachstanu. Na jednej stacji okazało się potem, że to był Semipałatyńsk, odczepiono nasz i sąsiedni wagon. Reszta pojechała na most, którego potężne łuki były trochę widoczne. Potem dowiedzieliśmy się, że jesteśmy przy moście na Irtyszu, jedynym przez tę potężną rzekę na przestrzeni setek kilometrów, a kolej idąca przez niego to jedyna trasa we wschodnim Kazachstanie, słynna Turkiestano-Sibirska Żelazna Droga „Turksib”.

Sześć lat nad Irtyszem

Wagony otwarto, a konwojenci odeszli. Staliśmy tak przez resztę dnia i noc na torze leżącym na nasypie koło stacji, która jak wiele radzieckich była poza miastem. Stąd Semipałatyńsk wydawał się ogromną wsią z drewnianymi domkami i lepiankami. Później mogłem stwierdzić, że w środku miasta są brukowane ulice i większe murowane budynki.

Z rana przyjechały ciężarówki. Nie wszyscy do nich zmieścili się. Zostaliśmy my, bardzo starsza pani Potocka, do której w wagonie mówiono „Hrabi-no”, a ona nie oponowała oraz jeszcze jedna rodzina. Dopiero na drugi dzień i nas zabrała ciężarówka. Kilkanaście kilometrów na północ od miasta, na obniżeniu terenu przy Irtyszu była cegielnia. Wyładowano nas na placyku obok połowego magazynu cegieł ustawionych w filarki. Na wprost stał barak z glinianych bloków, jak się okazało wypełniony już wcześniej przywiezionymi zesłańcami. Dla nas już nie było miejsca. Był piękny, słoneczny wtorek 31 kwietnia. Jutro wypadało wielkie radzieckie święto 1 Maja.

Z prawej od nas widniała stajnia, lekka drewniano-ceglana szopa z wrotami. Zawiadowca cegielni kazał wyprowadzić konie, trochę posprzątać i tam nas ulokował. Na ceglanej posadzce przesiąkniętej uryną, bez żadnych sprzętów. Zesłańcom oznajmiono, że muszą pracować, żeby zarobić pieniądze, a za to kupować jedzenie w kiosku, jak coś do niego dowiozą.

Już w pierwszą noc okazało się, że my w stajni wygraliśmy. Ci z baraku uciekli nocować na trawę, bo zjadały ich pluskwy. Cegielnia pracowała niezwykle prymitywnie, jak za czasów faraonów, wszystko ręcznie. Jej opis to egzotyczny temat do książki. Zesłańcy, prawie wyłącznie kobiety z dziećmi i starcy, uważali, że nie są w stanie jej podjąć. Nie widząc nadziei na lepsze moja mama obciąła siekierą wysokie obcasy i pierwsza zgłosiła się do pracy. Piłowała ogromne pnie drzew na dwumetrowe kłocę, których po rozłupaniu klinami używano do rozpalania pieców wypalających cegły. Inni, po czasie, poszli w ślady mojej mamy. Później mama wywoziła taczkami rozpalone cegły z pieca po kładkach z desek, bo wokół był grząski piasek.

Jakoś po miesiącu zapadłem na malarię. W ciężkim stanie zostałem odwieziony do szpitala na przedmieściu. Odratowano mnie tam akrychinem, ale po nim byłem żółty jak Chińczyk. W szpitalu mama dowiedziała się, dlaczego nas dali na tę cegielnię. Nikt nie chciał tam pracować, bo teren był wyjątkowo malaryczny. Cegielnia również w zimie wypalała cegły, wysuszone latem. Przerazała myśl, jak przeżyć zimę w tej przewiewnej stajni.

Zdarzyło się, że do cegielni przyjechał wojskowy. Ogłosił, że kto ma jakiś zawód to może być zatrudniony w mieście. Ale panie-zesłańki nie miały zawodów. Zmuszona przez babcię moja mama zgłosiła się jako krawcowa. Skłamała, bo w domu robiła tylko mereżki i hafty. Wojskowy ją zabrał. Gdy wróciła powiedziała, że ma pracę w przedsiębiorstwie „Wojentorg”, pracującym dla wojska, w pracowni krawieckiej obszywającej żony oficerów. To był niemal cud. Początkowo dowoziła ją do miasta ciężarówka, ale gdy raz spóźniła się, to mama poszła pod sąd. Uratowało ją zeznanie kierowcy. Jakoś we wrześniu mama znalazła kwatery w mieście. To była przybudówka do chaty. Zamieszkaliśmy tam. Przyszła ciężka zima. Mróz sięgał -50 stopni C. Kwatera zimna, brak opału, ale za to roje pluskiew. Nie do wytopienia. W nocy katorga! Tej zimy nie

chodziłem do szkoły, nie miałem w czym i nie znałem jeszcze rosyjskiego. Mama szyła. W dzień w pracy, w nocy obszywała gospodarzy, co łagodziło czynsz. Pożyczyci jej ręczną maszynę do szycia, którą ja napędzałem korbą. Stałem się też specjalistą od prucia odzieży, którą mama przerabiała, oraz obciągałem guziki tkaniną.

Sześć lat zesłania, i trochę lepszych, i tragicznych, nie sposób opisać w skrócie. Sześć razy zmienialiśmy kwaterę, bo gospodarze chciwie podnosili warunki, a zarobek mamy, choć z czasem miała funkcję majstra krawiectwa miarowego, był mizerny, nie starczał na żywność. Na targu ceny dla nas były niedostępne, a w sklepach nie było nic. Działał tylko sklep perfumeryjny „Teże” i księgarnia „Ogiz”. Był tylko przydział chleba na kartki, który trzeba było od nocy wystać w kolejce, bo czasem nie starczało dla wszystkich.

Trzeciej zimy zmarła babcia. Wezwany do umierającej lekarz orzekł – „Skrajne wycieńczenie organizmu. Nic nie można zrobić.” Była jak szkielet. Na cmentarz zawiozła ją mama na sankach z pomocą sąsiada. Ale na tym mrozie nie udało się wykopać głębszej mogiły. Przykrył ją śnieg, jak wielu zmarłych zesłańców.

W lecie nawracały napady malarii, ale już słabsze niż pierwszy. Nękała czerwotka, czyli dezynteria. Przeżyłem też dur brzuszny leczony nielegalnie w domu, bo w szpitalu wyleczenie było wątpliwe. Na jednej z kwater w 1945 r. przymarzłem w nocy do ściany. Ciężkie zapalenie płuc. Jakoś przeżyłem. Tej zimy dotknęliśmy też śmierci głodowej. Jedyne burak cukrowy gotowaliśmy na wywar przez kilka dni.

Na jednej z kwater tej samej zimy przeżyliśmy napad na dom. Sądząc z odgłosów była to banda czeczeńska. Oni nie zostawiali żywych, mścili się za swoje nieszczęście. Uratował nas sąsiad strzelając ze strzelby przez lufcik. Wyjść nie odważył się. Banda zaniechała wyłamywania okiennicy i odeszła. Potem był jeszcze jeden napad na następnej kwaterze, powstrzymany przez mieszkającego w ziemiance w podwórzu odważnego i silnego Koreańczyka. Kryminalnej ochrony nie było widać. Milicjanci poszli na front, a ci, co zostali, byli tylko do spraw politycznych i do wyłudzenia haraczu od handlujących na targu. W mieście, w śniegu, zwłaszcza na przeprawie po lodzie przez Irtysz, znajdowano trupy. Podobno miały nakłute zarzysy kota, znak ówczesnej tam bandy znanej jako „Czarna Koszka”.

Mimo tych okoliczności ja chodziłem do szkoły, dobrej dziesięcioklasówki, utrzymywanej przez zasobny „Turksib”. W trzeciej i czwartej klasie byłem najlepszym uczniem w klasie z dyplomami „Pochwalnaja Gramota”. Przeczytałem niemal całą szkolną bibliotekę, w tym pozycje z literatury poważnej i edukacyjnej. W piątej i szóstej klasie, przy chorobach i głodzie, byłem już jednak tylko na dobrym poziomie. Siódmą klasę, trzy kwartały 1945/1946, w ostatnim roku zesłania, już w polskiej szkole, przebyłem z niejakim trudem, bo miałem zrusyfikowany język, braki w polskiej pisowni i historii Polski. A była to dobra szkoła, też dziesięciolatka. Tylko dwie takie polskie były w Kazachstanie - w Semipałatyńsku i w Ałma-Ata. Mama do końca pracowała w tym przedsiębiorstwie „Wojentorg” jako krawcowa.

No może jeszcze wspomnę, że raz utonąłem w Irtyszu. Porwał mnie wir, już byłem w świetlistym tunelu, gdy rzuciło mnie na korzenie sterczące pod wodą z urwiska. Po nich, zupełnie podświadomie wydrapałem się. Mamie nie powiedziałem, to by nią wstrząsnęło, a miała nerwicowe problemy z sercem.



Autor z matką w pierwszym roku zesłania. Semipałatyńsk, 3.09.1940r.



W szóstej klasie szkoły rosyjskiej „Turksib”. Rok szkolny 1944-1945.
Autor pierwszy z prawej.



Siódma klasa polskiej średniej szkoły w Semipałatyńsku, 1945-1946.
Siedzą nauczyciele.
Autor w środku pierwszego rzędu stojących uczniów.



Matka autora, u góry druga od prawej, w zespole pracowni
krawiectwa miarowego przedsiębiorstwa „Wojentorg”.
Semipałatyńsk, 1940r.

Powrót na zesłanie w Polsce

W 1946 roku stało się pewne, że wracamy, ale nie do Lwowa, nie na ojcowiznę, lecz gdzieś na ziemię niemieckie. A zatem to będzie nowe zesłanie. Od wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej nie mieliśmy żadnych wieści z Polski. Nie wiedzieliśmy, czy ojciec przeżył. Przed nami była pustka, ale był kierunek na Polskę, poza radziecką domenę nieszczęść.

29 kwietnia wladowaliśmy się do wagonów, takich samych jak w tę stronę, tyle, że tłok był mniejszy. Lokomotywa „Siergo Ordżonikidze” była od strony mostu, a więc mieliśmy jechać okrężną drogą przez Środkową Azję, wokół całego Kazachstanu. Przegrzechotaliśmy przez osiem potężnych przęseł mostu nad Irtyszem. Gdy przejeżdżaliśmy przez Ajaguz koło torów stało wielu zesłańców, mieli jechać następnymi transportami. Nasz z Semipałatyńska był pierwszy. Ludzie z torów i z wagonów wykrzykiwali nazwiska, by ewentualnie odnaleźć swoich, rodziny, znajomych. Mama usłyszała nasze nazwisko. Wychyliła się przez barierkę i krzyknęła - „Tu jestem!”. Zdążyła jeszcze usłyszeć z torów - „Nasi są w Gliwicach!”. Nie wiedzieliśmy, gdzie są te Gliwice i kto krzyczał. Po pół wieku z dokumentów ustaliłem, że była to żona bratanka ojca, też policjanta, więzionego na Kołymie. Wrócił stamtąd do Gliwic, ale jako kaleka.

Pociąg mitrężył. Na jednotorowej trasie przepuszczał na mijankach składy z naprzeciwnika i te nas wyprzedzające. Tak mieliśmy jechać prawie miesiąc. Na drogę dostaliśmy zaopatrzenie na kilka dni, ale głównym zasobem były suchary, zapobiegliwie przygotowywane na długo przed wyjazdem. Gdy pociąg stawał, trzeba było wyskoczyć, załatwić potrzeby, nazbierać opału i spróbować na ognisku choćby zagrzać wodę. Maszynista nie miał litości, zagwizdał i ruszał. Byli tacy, co nie zdążyli wskoczyć. Potem dniami gonili nasz transport uczepieni do towarowych pociągów. Na ogół doganiali, a jeden dopiero na granicy.

Ałma-Atę, stolicę Kazachstanu, ominęliśmy przez odległą od niej stację rozjazdową. Koło Dżambułu, tuż przy granicy Kirgizji, wjechaliśmy w pagórki dosłownie pokryte morzem czerwonych tulipanów. Piękniały na tle błyszczących, ośnieżonych, potężnych szczytów pasma gór Tień-Szań. Pociąg pod górę szedł wolno. Wyskoczyłem i zerwałem kilka kielichów, były piękne, ogromne. Koło Czymkientu, na skraju pustyni Kyzyl-Kum, na pociąg wpadła gwałtowna burza piaskowa. Pociemniało. Maszynista zastopował tak, że ludzie pospadali z półek. Niedługo przeszła, ale długo jeszcze wytrzępywano piasek z siebie i swego mizernego dobytku. Koło Morza Aralskiego przejeżdżaliśmy tak blisko, że było je widać. wtedy jeszcze było pełne wody, po wielu latach prawie wyschło. Przejeżdżaliśmy przez Aktiubinsk, nie wiedząc, że tu na zesłaniu jest mój ojciec. Był tam jeszcze dwa lata. Rzeka Ural była tak rozlana, że pociąg sunął kilometrami po nasypie w morzu wody po horyzont.

Gdy zbliżyliśmy się do nowej granicy Polski nastąpił parodniowy postój w Poworsku, przed wjazdem do Kowla, gdzie w ciągu dwóch dni miał nastąpić przeładunek na wagony wąskotorowe, europejskie. Na stacji stał pociąg do Lwowa. Szereg ludzi z transportu, wiedząc, że postój potrwa, próbowało wciśnąć się do tego pociągu, nielegalnie, bez biletu wydawanego na przepustki, aby ostatni raz zobaczyć Lwów. Wyłapano wszystkich i wysadzono z wyjątkiem mojej mamy, która ukryta przez kolejarza Polaka w wagonie bagażowym, dojechała do Lwowa, wpadła do naszego domu, gdzie spłoszyła mieszkającego tu,

zaskoczonego enkawudzistę, zarekwirowała mu niektóre nasze rzeczy i naszą fibrową walizę i zdążyła wrócić w momencie, gdy transport już w Kowlu gwizdał i miał ruszyć na granicę. Tam nie mając własnego dokumentu byłbym wysadzony i osadzony. Przez transport przeleciała sensacja - „Grenczakowa wróciła ze Lwowa!”. Kilka pośpiesznych wieści od mamy ze Lwowa i transport ruszył na granicę.

W Chełmie 19 maja 1946 roku postój. Ludzie pobiegli do kościoła, a mama dowiedziała się, że Gliwice są na Śląsku. Koło Łodzi stało się wiadome, że transport zmierza do Szczecina. Kilka rodzin, a w tymi moja mama, zaparło się, że chcą na Śląsk. Po dłuższych targach zostały w Łodzi dwa wagony, przeciągnięte później do Tarnowskich Gór. Stąd ciężarówką dotarliśmy do Gliwic. I tu faktycznie byli „nasi”: trzy siostry mamy i brat. Poratowali nas na początek powrotu, bo my nie mieliśmy dosłownie nic.

Tak skończyła się nasza epopeja sybirska, a rozpoczął długi okres brnięcia przez Polskę na nowym zesłaniu, w nadziei, że radziecki system zniewolenia Polaków kiedyś upadnie.

Konspiracja i represjonowanie ojca

Ojciec mój był niewątpliwie typowym „wrogiem ludu” według radzieckiej doktryny. W wojnie Austrii z Rosją był zawodowym podoficerem. W wojnie polsko-bolszewickiej służył w polskiej polowej żandarmerii konnej. Po wojnie przeszedł do Policji w stopniu przodownika. Służył w IX. Komisariacie we Lwowie, a we wrześniu 1939 roku brał czynny udział w obronie Lwowa.

Po wywiezieniu nas na Sybir ojciec w dramatycznych warunkach dostał się do Kołomyży, gdzie schronił się u rodziny mojej mamy. Gdy fala ukraińskich mordów dotarła do Kołomyży, by nie narażać rodziny, wrócił do Lwowa, gdzie się zakonspirował aż do odejścia Niemców. W tak zwanym drugim zaborze sowieckim z pomocą organizacji konspiracyjnej uzyskał zaświadczenie, że jest zatrudniony jako „organizator roślin leczniczych” dla lwowskiego zarządu aptek. W tej funkcji dostawał przepustki do wyjazdów furmanką poza teren Lwowa. Ta funkcja dawała ojcu kamuflaż do legalnego pobytu we Lwowie, a organizacji konspiracyjnej możliwość kontaktowania się przez niego, jako niepozornego starszego człowieka, z komórkami poza Lwowem.

Ojciec wierzył, że my żyjemy i wrócimy, ale uważał, że możemy się odnaleźć wzajemnie tylko we Lwowie, przez nasz dom. Wojna się kończyła, więc gdy w styczniu 1945 roku wyszedł rozkaz o rozwiązaniu AK, a z Sybiru zdarzały się już pojedyncze powroty, ojciec powrócił do naszego domu. Ale radziecka władza była czujna. W czasie fali aresztowań ujawniających się akowców ojca aresztowano 19 stycznia 1945 roku. Początkowo był trzymany w więzieniu we Lwowie. Potem przewieziony do obozu „Krasnodon” w Donbasie, gdzie pracował niewolniczo w tartaku przy kopalni. Następnie był w więzieniu w Dniepropietrowsku, a na koniec na zesłaniu w Aktiubińsku w Kazachstanie. Wrócił przez Białą Podlaską 20 VI 1948 roku. Odnalazł tam w ewidencjach, że my jesteśmy w Gliwicach. Był wykończonym cieniem człowieka.

A komunistyczna Polska kontynuowała dzieło niszczenia byłych „wrogów ludu”. Nie było dla ojca dostępu do godziwej pracy. Musiał przetrwać do emerytury na nędznym wynagrodzeniu. Zmarł w Gliwicach w 1967 roku.

Moja matka pracująca niemal do śmierci zmarła w 1984 roku. Oboje pochowałem na Cmentarzu Lipowym w Gliwicach. Mojej mamie zawdzięczam, że uchroniła mnie na Sybirze od śmierci głodowej i że wpoila we mnie potrzebę uczenia się w każdych warunkach. Dzięki wsparciu mamy po wojnie zdałem maturę i studiowałem architekturę i ekonomię.*

* Nota o autorze: Współzałożyciel Oddziału Związku Sybiraków w Katowicach. Założyciel Oddziału ZS w Gliwicach, jego pierwszy prezes, a obecnie Prezes Honorowy. Autor monografii *Sybiracy w Gliwicach* (2000) oraz współautor monumentalnej czterotomowej monografii *Księga Sybiraków* (Warszawa, 2001, 2006). Od pierwszego Walnego Zjazdu w 1991r. sześciokrotnie wybierany na członka Zarządu Głównego ZS. Obecnie członek Prezydium ZG ZS. Za działalność w Związku odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Srebrnym i Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Medalem „Pro Memoria”, Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Resitituta.

KRONIKA

• NAGRODY „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO” 2010

W sobotę, 19 marca tradycyjnie już w Sali Balowej Pałacu Potockich na Uniwersytecie Warszawskim już po raz osiemnasty odbyła się ceremonia wręczenia prestiżowych nagród kwartalnika „Przegląd Wschodni” za najlepsze publikacje naukowe poświęcone problematyce wschodniej wydane w 2010 roku.

Mocą postanowienia jury nagrodę w kategorii **Dzieła Krajowe** otrzymała **dr Joanna Wolańska** z Krakowa za książkę *Katedra ormiańska we Lwowie w latach 1902–1938. Przemiany architektoniczne i dekoracja wnętrza*, wydaną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W uzasadnieniu stwierdzono, że książka pokazuje nie tylko unikatowe walory artystyczne lwowskiej świątyni, lecz także przypomina wielowiekową obecność Ormian w Polsce, ich rolę i zasługi.

W kategorii **Dzieła Zagraniczne** nagrodzony został **dr Anatol Wialiki** z Mińska za pracę *Bjelaruś u sawjecka-polskich miǳzjarżałnych adnosinach 1944–1959 (Białoruś w sowiecko-polskich stosunkach międzypaństwowych 1944–1959)*, wydaną przez Białoruski Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Maksima Tanka. W opracowaniu tym autor wnikliwie przedstawił kwestie narodowościowe, demograficzne i problemy tzw. repatriacji Polaków po II wojnie światowej.

Nagrodą w kategorii **Dzieje Polaków na Wschodzie** uhonorowano **prof. Bolesława Szostakowicza** z Irkucka za książkę *Wospominanija iz Sibiri. Memuary, oczerki, dniownikowyje zapisi polskich političeskich ssylnych w wostocznuju Sibir pierwoj połowiny XIX wieka (Wspomnienia z Syberii. Pamiętniki, szkice, zapisy pamiętnikarskie polskich zesańców politycznych na wschodnią Syberię w pierwszej połowie XIX wieku)*, opublikowaną przez wydawnictwo „Artizdat”. Autor, badacz a zarazem społecznik, pełniący funkcję Prezesa Komisji Naukowej Kongresu Polaków w Rosji, dzięki zarówno nagrodzonej pracy, jak i wielu innym, opartym na nieznanym materiałach archiwalnych, w znacznym stopniu przyczynił się do poszerzenia wiedzy o losach zesańców polskich na Syberii XIX wieku.

Ponadto przyznaną w roku ubiegłym Nagrodę Przeglądu Wschodniego 2009 w kategorii **Edycje** za serię wydawniczą „Seria Wschodnia” odebrał **prof. Krzysztof Jasiewicz** z Warszawy, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Laureat dzięki pracy redakcyjnej, naukowej i uporowi organizacyjnemu przyczynił się do publikowania serii o wyjątkowym znaczeniu dla współczesnych badań wschodnich.

Nagrodę Specjalną Przeglądu Wschodniego 2010 za całokształt badań, pracy i twórczości naukowej otrzymał **prof. Michał Łesiów** z Lublina, sławista, wieloletni pracownik naukowy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, przewodniczący Komisji Polsko-Ukraińskich Związków Kulturowych Oddziału PAN w Lublinie, autor kilkuset publikacji naukowych, popularnonaukowych, a także publicystycznych. W ciągu kilkudziesięciu lat pracy naukowej i dydaktycznej wniósł wielki wkład do językoznawstwa oraz wszechstronnych badań nad pograniczem polsko-ukraińskim.

Laureatem Nagrody Przeglądu Wschodniego 2010 im. Aleksandra Gieysztorza został **Longin Tomaszewski**, żołnierz Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK, uczestnik akcji Ostra Brama w 1944 roku. Plonem jego wieloletniej pracy nad dziejami polskiej konspiracji niepodległościowej na Kresach Północno-Wschodnich RP była monografia *Kronika wileńska 1939–1941*, wydana po raz pierwszy w podziemnym wydawnictwie „Pomost”, której kontynuacją były wielokrotnie wznawiane książki: *Kronika wileńska 1941–1945. Z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego* oraz *Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939–1945*.

W skład jury weszli: dr hab. Andrzej Krzysztof Kunert – sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Jan Malicki – dyrektor Studium Europy Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim, prof. Stanisław Mossakowski z Instytutu Sztuki PAN, prof. Elżbieta Smułkowa i prof. Leszek Zasztowt z Uniwersytetu Warszawskiego oraz Marek Zieliński – wiceprezes Zarządu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Tegoroczne Nagrody „Przeglądu Wschodniego” solidarnie wspomagali: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Patronat medialny sprawowały: „Rzeczpospolita” i Polskie Radio dla Zagranicy – Radio Polonia.

Nagroda ustanowiona została w 1993 roku, wkrótce po powołaniu do życia „Przeglądu Wschodniego”, czasopisma poświęconego historii Europy Wschodniej od średniowiecza po czasy współczesne, będącego kontynuacją podziemnego „Obozu”. Redaktorem naczelnym jest Jan Malicki.

Ewa Maria Ziółkowska

• Z RODU SZOSTAKOWICZÓW

Profesor Bolesław Siergiejewicz Szostakowicz – doktor nauk historycznych, wiceprezes Irkuckiej Polskiej Autonomii Kulturalnej „Ogniwo”, przewodniczący Komisji Naukowej Kongresu Polaków w Rosji. Urodzony 3 lutego 1945 roku, w 1966 roku ukończył studia historyczne na Wydziale Historyczno-Filologicznym Państwowego Uniwersytetu Irkuckiego. W 1973 roku obronił pracę doktorską *Polacy na Syberii w latach 1870-1890 (Z historii związków rosyjsko-polskich w XIX wieku)*. W roku 1997 w Instytucie Słowianoznawstwa Rosyjskiej Akademii Nauk obronił pracę habilitacyjną *Problemy węzłowe historii Polaków w Syberii (koniec XVIII – koniec XIX wieku)*. Jest profesorem Katedry Historii Powszechnej i Stosunków Międzynarodowych Państwowego Uniwersytetu Irkuckiego, a także autorem ponad 230 publikacji naukowych na temat historii Polaków na Syberii, zesłań syberyjskich, stosunków polsko-

rosyjskich. Jest także tłumaczem i wydawcą antologii pamiętników polskich zesłańców, między innymi Benedykta Dybrowskiego. Za historyczne prace naukowe i działalność w organizacjach polonijnych w Rosji został uhonorowany w Polsce Złotym Krzyżem Zasługi, tytułem Zasłużony dla kultury polskiej oraz Medalem Wiktora Godlewskiego. W marcu 2011 roku Bolesław Szostakowicz – badacz o niezwykłych kompetencjach i wielkiej pasji – został zaproszony do Warszawy, aby z rąk red. Jana Malickiego, dyrektora Studium Europy Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim odebrać Nagrodę „Przeglądu Wschodniego” za rok 2010.

*

Za książkę *Wspominanija iz Sibiri. Memuary, oczerki, dniownikowyje zapisi polskich polityczeskich ssylnych w wostocznuju Sibir pierwoj połowiny XIX wieka* otrzymał Pan na Uniwersytecie Warszawskim Nagrodę „Przeglądu Wschodniego” 2010. Czym dla Pana jest ta nagroda?

Jest to dla mnie bardzo znaczące wyróżnienie, bo znam ten periodyk jako naukowiec i jako autor. Kiedy ukazał się jego pierwszy zeszyt, już wówczas zajmowałem się dziejami kontaktów polsko-syberyjskich i do jednego z pierwszych numerów, chyba nawet pierwszego, dałem przegląd dorobku naukowego, może nawet nie tyle dorobku co źródeł, dotyczących humanistycznych aspektów działalności Benedykta Dybrowskiego. Był on przede wszystkim znanym przyrodnikiem, biologiem, geologiem, ale oprócz tego był, moim zdaniem, humanistą, tzn. pisał szereg wspomnień, szkiców o swoich towarzyszach zesłań syberyjskich, w których przedstawiał poglądy na różne aspekty życia. Tym nikt się specjalnie nie zajmował, większość pisała o nim jako o naukowcu w swojej dziedzinie, a ja zająłem się tym aspektem, który w Polsce jest może więcej znany, ale u nas na Syberii i w Rosji w ogóle nieznanym, to znaczy jego dorobkiem pamiętnikarskim. I to zostało po raz pierwszy opublikowane w Polsce, właśnie w „Przeglądzie Wschodnim”. Potem jeszcze coś w nim drukowałem. Przez pewien czas otrzymywałem kolejne numery, a teraz jest gorzej z dystrybucją i prenumeratą. Twórcę „Przeglądu” i jego redaktora naczelnego Pana Jana Malickiego miałem więc okazję poznać wcześniej, podobnie jak i profesora Zbigniewa Wójcika, związanego z tym wydawnictwem, wybitnego badacza stosunków polsko-syberyjskich w aspekcie nauki, goszczącego nieraz w Irkucku. Tak więc nie jest to czasopismo obce dla mnie i czuję się zaszczycony otrzymaną nagrodą oraz laudacją wygłoszoną przez Pana Profesora Zbigniewa Wójcika. To bardzo ważne, że moje, nasze starania Sybiraków zostały w Polsce zauważone.

Jak się zaczęły Pana naukowe zainteresowania związkami polsko-syberyjskimi?

To już bardzo dawna historia. Mnie jako absolwenta uniwersytetu, młodego aspiranta zainspirował profesor F. A. Kudriawcew, a przede wszystkim mój ojciec, który był orientalistą, prawnikiem, historykiem stosunków międzynarodowych, specjalistą od Bliskiego Wschodu i Persji. On miał sentyment do spraw polskich, bo oczywiście wiedział o naszym pochodzeniu, korzeniach polskich. Jeszcze za czasów radzieckich, nastąpiło pewne ocieplenie, gdy chodzi o ten aspekt historii, przed wojną i potem jakiś czas po wojnie nie było dobrego klimatu dla takich badań. Potem poszło lepiej, bo uznano, że to kraje

socjalistyczne. Było to traktowane internacjonalistycznie – można powiedzieć „za wolność naszą i waszą”. I akurat w latach 1963 i 1964 przypadało stulecie powstania styczniowego. Potem była kontynuacja tego polskiego wątku, czyli stulecie powstania Polaków zesłanych na Syberię, którzy podjęli próbę wyzwolenia się z niewoli przy budowie drogi dookołabajkalskiej, nie kolejowej jeszcze a kołowej. Po rosyjsku to się nazywa powstanie *krugobajkalskie*. Po polsku wszyscy mówią „bajkalskie” albo „zabajkalskie”, co nie jest prawidłowe. Za Bajkałem jest Kraj Zabajkalski, a my jesteśmy w zachodniej części Bajkału. Generalnie nazywa się to w języku rosyjskim Przybajkale (*Pribajkale*), a droga była budowana dookoła Bajkału.

To jak się powinno nazywać ten zryw wolnościowy Polaków na zesłaniu?

Moim zdaniem powstanie *krugobajkalskie*, czyli „dookołabajkalskie”. Niestety tradycja jest inna. Nawet Polscy piszący o tym ważnym wydarzeniu nazywają go „powstaniem bajkalskim” lub „zabajkalskim”. A przecież na tzw. Zabajkału żadnego powstania nie było. Była jeszcze nazwa *krugomorskie*, bo Bajkał nazywano Świętym Morzem i czasami też tak pisano. Powstanie trwało około dwóch miesięcy latem 1866 roku. Tak więc, gdy zaczynałem pracować jako historyk, obchodzono wówczas setną rocznicę tego wydarzenia, nadając mu wysoka rangę, na poziomie ogólnorosyjskim, ale czczoną głównie w Irkucku. Opublikowano wówczas parę artykułów i poważniejszych rozpraw naukowych. Mój nauczyciel, teraz już śp. doc. Siemion Kowal, który zajmował się różnymi aspektami historii Syberii lat sześćdziesiątych XIX wieku, napisał książkę poświęconą powstaniu dookołabajkalskiemu, która nosiła tytuł *Za prawdę i wolę*, niestety trochę zmitologizowaną. U niego to tak wyglądało, jakby wszyscy uczestnicy tego zrywu wolnościowego byli rewolucjonistami, wszyscy byli w konspiracji i mieli postępowe poglądy. Ta książka nosi wyraźne znamiona modnego wówczas trendu nazywania działań niepodległościowych ruchami rewolucyjnymi. Tematem tym zajęły się też dwie badaczki tematów rosyjsko-polskich w Instytucie Słowianoznawstwa Akademii Nauk w Moskwie, w tym Ninell Nitina. Napisała ona nawet książkę na temat tego powstania, która stanowiła skrót jej rozprawy doktorskiej. Wszyscy byli przychylnie ustosunkowani do tych publikacji, także ówczesne władze. Uznano bowiem, że wydarzenia 1866 roku, jakie miały miejsce nad Bajkałem ideologicznie były kulminacją całej historii Polaków w postępowym ujęciu nurtu procesu historycznego znaczonego ową rewolucyjnością.¹

Wtedy, w stulecie powstania jedną z ulic w Irkucku poświęcono pamięci powstańców dookołabajkalskich, nadając jej nazwę – ulica Powstańców Polskich. Ulica ta istnieje do dziś i jest odbierana jako uwiecznienie pamięci wszystkich powstańców różnych czasów, którzy za swą niepokorność zapłacili zesłaniem na Syberię. Została ona nazwana z inicjatywy ówczesnego przewodniczącego Miejskiego Komitetu Wykonawczego, jak byśmy dziś powiedzieli

¹ Tu należy jeszcze wspomnieć o książce Franca Taurina zatytułowanej *Bajkalskie krutyje bieriega*, zapoznającej czytelnika z przygotowaniem do powstania i jego przebiegiem nad Bajkałem, która ukazała się w tłumaczeniu na język polski pt. *Strome brzegi Bajkału*, Warszawa 1975.

mera miasta, zagorzałego komunisty, uczestnika wielkiej wojny ojczyźnianej, ciężko rannego na froncie. To była w jakimś sensie bohaterska postać, z polskim rodowodem. Był nią Sałacki Mikołaj Francewicz, czyli syn Franciszka. Jego przodkowie byli przesiedleńcami i miał on świadomość swoich polskich korzeni oraz był zarazem wielkim entuzjastą tzw. problematyki polskiej na Syberii w dziejach carskiej Rosji. Dzięki niemu jest nazwa tej ulicy. To znaczy, że nie wszyscy członkowie partii komunistycznej byli wrogo nastawieni do polskich tradycji syberyjskich.



Prof. dr Bolesław Szostakowicz dziękuje za otrzymaną nagrodę.
Fot. E.M. Ziółkowska

Czy wtedy były już kontakty z badaczami w Polsce?

Były. Przyjeżdżał do Irkucka nieżyjący już profesor Władysław Jewsiewicki², który w 1959 roku opublikował w Warszawie niedużą książkę pt. *Na syberyjskim zestaniu*. Jak na tamte czasy była to dobra książka, pierwszy krok w specjalistycznych badaniach w tym zakresie. Podczas tych pobytów, spotykał się z aktywnym, chociaż już niemłodym, wspomnianym prof. F. A. Kudriawcewem, który razem z moim ojcem, każdy w swojej dziedzinie, byli pierwszymi absolwentami naszej uczelni, która powstała w roku 1918, za czasów Kołczaka.³ Wcześniej na Syberii był jeden jedyny uniwersytet w Tomsku. W Irkucku powstał więc drugi. Profesor Kudriawcew, chociaż większość prac poświęcił historii Buriacji i Irkucka, pierwsze jego kroki w nauce były polskie i związane z powsta-

² Zmarł w 2004 roku

³ Uniwersytet w Irkucku utworzono za czasów admirała rosyjskiego Aleksandra Kołczaka, który w 1918 roku ogłosił się wielkorządcą państwa rosyjskiego. I to właśnie za jego krótkich rządów powstał nasz uniwersytet. Ale to temat do innej opowieści.

niem dookołabajkalskim. Odnalazł on zbiór dokumentów związanych z tym wydarzeniem, na podstawie których napisał pracę magisterską. Niestety nie zachowała się w całości a tylko jej fragmenty. Był człowiekiem pełnym entuzjazmu, romantyzmu nawet, bardzo zainteresowanym tematami polsko-syberyjskimi.

A Pan stał się kontynuatorem jego pracy?

Tak, ci moi nauczyciele zaproponowali zająć się tym zagadnieniem. Nawet pierwszy sekretarz komitetu partyjnego obwodu irkuckiego, nazwisko Mstintinin, zwrócił się w tej sprawie do uniwersytetu. Miał dobre stosunki z ówczesnym ambasadorem ZSRR w Polsce, który zainteresował się, dlaczego nikt nie zajmuje się takimi potrzebnymi sprawami i proponował, żeby się tym zająć. I wybór padł na mnie. Zacząłem się tym zajmować. Była to praca zaplanowana tylko na rozprawę doktorską. Wtedy nikt się nie spodziewał, do jakich rozmiarów mogą dojść późniejsze studia nad tą problematyką, które zaowocowały wieloma artykułami i publikacjami książkowymi różnych autorów, powstałymi częstokroć także w wyniku współpracy polsko-rosyjskiej. Współpracy, w której ważną rolę odegrali badacze tej miary, co prof. Wiktoria Sliwowska, wspomniany już prof. Zbigniew Wójcik, czy też dr Jan Trynkowski.

Jaki był temat Pana rozprawy doktorskiej?

Pisałem na temat polsko-rosyjskich kontaktów w dziejach Syberii. Materiały do tej rozprawy gromadziłem w różnych archiwach naszego kraju, ale większość pochodziła jednak z Irkucka. Do Polski trudno było wówczas pojechać. Praca dotyczyła Polaków na Syberii w latach siedemdziesiątych – dziewięćdziesiątych XIX wieku, przede wszystkim ruchu socjalistycznego, pierwszych uczestników kółek socjalistycznych, Proletariatczyków, socjaldemokracji Królestwa Polskiego. Taka interpretacja, że to byli ludzie postępowi, rewolucyjni w swoich działaniach i poglądach odpowiadała czasom, w których to pisałem. Był rok 1973. Recenzentem doktoratu był śp. prof. Władimir Djakow, znany sławista, polonista z Instytutu Słowianoznawstwa w Moskwie.

Obronił Pan doktorat i nadal zajmował się tym tematem.

No tak, zajmowałem się tym dość długo i dość szeroko. W końcu na podstawie tych opracowań, a miałem pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt takich podstawowych prac przedstawiających aktualny stan badań nad historią syberyjsko-polską, zrobiłem habilitację. Przy czym pierwszą i drugą rozprawę obroniłem w ramach specjalizacji historia powszechna. Bo u nas istnieją specjalizacje historia Rosji i historia powszechna. Ja pracowałem cały czas i teraz pracuję w katedrze, która zajmuje się historią powszechną i obecnie nazywa się Zakład Historii Światowej i Stosunków Międzynarodowych. Moje prace to było łamanie stereotypów. Mówiono, jak to można, Syberia to część Rosji i to nie najgłówniejsza, jakieś tam poboczne. Jakie tam stosunki międzynarodowe? Udało mi się w końcu przekonać, że tak jest i obrona odbyła się w Instytucie Słowianoznawstwa w Moskwie. Potem powiedziano mi, że chyba zrobiłem małą rewolucję w takim patrzeniu na tzw. stosunki międzynarodowe. Moim argumentem było to, że większość literatury jest w języku polskim, a nawet angielskim. Dotąd nie zauważono, że to dotyczy innych krajów, że są to aspekty międzynarodowe i do dzisiaj staram się poszerzać widnokręgi, udowadniać, że to nie jest miejscowy, regionalny, syberyjski czy rosyjski aspekt, a integralna część historii wielu róż-

nych terenów, ludzi, krajów. To szeroki kontekst historii i regionalnej, i rosyjskiej ogólnokrajowej, i międzynarodowej, bo przecież zesłańcami byli ludzie z terenów Królestwa Polskiego i obecnej Litwy, Ukrainy, Białorusi. W powstaniach, np. styczniowym, brali udział nawet poddani Austrii i Prus. Potem władze tych krajów pisały do władz rosyjskich, żeby im jako obywatelom ich krajów skrócić okres zsyłki. To jest oczywiście sprawa międzynarodowa. Chociaż teraz to znów inaczej wygląda. Granice się przesuwiają i zmienia się podejście. Kiedyś to była historia ZSRR, czyli nie wydawało się, że tereny Litwy i Białorusi są obce, a teraz to nowe kraje. Stereotypy są trwałe. Przecież żeby prowadzić badania, „krajoznawca” powinien znać chociaż dwa, trzy języki obce.

Czy miał Pan w tym czasie łatwy dostęp do archiwaliów?

To zależy od tego, jakich archiwaliów. Pracowałem nad tematem, który nie należał do najboleśniejszych, tak jak np. deportacje i represje z czasów stalinowskich. Nie musiałem wobec tego korzystać z archiwów NKWD, KGB, FSB. Nie było takiej potrzeby. To wszystko, czym ja się interesowałem działa się za czasów carskich, „wrogich dla ludu”. Tak więc można było mniej więcej korzystać z bogatych zasobów archiwalnych. Wszędzie jednak były jakieś zasady, przepisy i ograniczenia. Np. pamiętam, kiedy jeszcze jako młody człowiek, to były moje pierwsze kroki, pracowałem w Leningradzie w Archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk to panowały w nim przestarzałe zasady organizacji pracy, udostępniania zbiorów, korzystania z katalogów czy ksiąg inwentarzowych. Gdy się tam znalazłem poczułem się jak za czasów Imperium Rosyjskiego, carskich porządków i zasad pracy. Był tam duży stół, nakryty zielonym sukniem i wszyscy siedzieli wokół. Znalazłem bardzo ciekawy rękopis nieopublikowanego opracowania jednego z uczestników powstania dookołabajkalskiego Adama Jastrzębskiego, który akurat był przeciwnikiem powstania. I był przez powstańców rozbrojony i zamknięty w jakimś magazynie, żeby nie szkodzić ich działaniom. To oznacza, że nie wszyscy byli zwolennikami powstania. Ja sobie z tych materiałów robiłem wypisy, a pracownica archiwum, która była kierowniczką czytelnicy stanęła za mną i powiedziała: dlaczego pan to przepisuje, to wszystko nie jest zgodne z faktami historycznymi. A kiedy przyszedłem następnym razem, nie dostałem już tej teczki. No to zrobiłem awanturę, poszedłem do dyrektora. Dyrektor po wysłuchaniu mojej argumentacji powiedział, to dajcie mu, jak on już tak bardzo chce. To się nie wpisywało w ideologiczny schemat.

Czy teraz łatwiej jest pracować w rosyjskich archiwach?

Teraz u nas w archiwach są jakieś dziwne przepisy. Jednego dnia pracują, innego nie pracują, raz są rano, raz po południu. W Polsce jest łatwiej. U nas nie można przyjść bez tzw. listu polecającego jakiejś instytucji, z pieczętką, mówiącego, że taki to a taki pracuje nad określonym tematem. Takie przepisy są od wieków. A w Polsce tego nie ma. Jak kiedyś przyjeżdżałem z takimi pismami, to mi mówili, a po co nam te papiery. Wystarczy paszport.

Nad czym Pan teraz pracuje?

Kontynuuję to, za co dostałem nagrodę. Byłem inicjatorem przygotowania w tłumaczeniu rosyjskim polskich wspomnień, dzienników, które są obrazem różnych aspektów syberyjskiej historii. Tego u nas nikt nigdy nie czytał. Ten gruby tom to wzór tego, co moim zdaniem, trzeba robić dalej. Agituję cały

czas. Trzeba to przygotować w jakiejś kolejności, niekoniecznie chronologicznie. Częściowo i w języku rosyjskim można znaleźć jakieś materiały. Trzeba je wszystkie kompletować, naukowo opracować, zrobić przedmowę o tym, kim są autorzy, dlaczego pisali. Dalej dać same teksty a do nich przypisy, w miarę możliwości obszerne komentarze. Jest to długa, żmudna praca, która wymaga dużo wysiłku. Ale inaczej się nie da. Bez tego teksty są bezwartościowe. To oczywiście jest lektura nie tylko dla naukowców, ale dla wszystkich, co się interesują historią, lubią literaturę pamiętnikarską.

Skąd pochodzą te teksty? Z dawnych wydań?

Generalnie to były one kiedyś wydane w Polsce. Teraz to są białe kruki wydane sto, sto pięćdziesiąt lat temu. Ja wybrałem czterech autorów, jeszcze z I połowy XIX wieku, np. szkice reportażowe Agatona Gillera. Kiedy został zwolniony z przymusowej służby w wojsku na Zabajkalu i dotarł do Irkucka, w ciągu roku napisał coś w rodzaju obserwacji, relacji o życiu miejscowym, o swoich podróżach w okolice Irkucka. Wydawał to później w „Przeglądzie Poznańskim”. Pisał z Irkucka jako niby korespondent tego czasopisma, które było wydawane poza granicami Rosji. U nas to jest absolutna nowość, nikt tego nigdy nie czytał, nie zwracał na to uwagi. Pisałem też o „znanych i nieznanach” Migurskich. Teraz ludzie młodzi, moi studenci nie mają żadnego pojęcia kim byli ci Migurscy? A przecież Lew Tołstoj na podstawie niektórych aspektów ich biografii napisał powieść pt. *Za co*, potem na ten temat były zrobione adaptacje teatralne. Swego czasu przyjechał do Irkucka reżyser Jerzy Kawalerowicz i odbyła się prapremiera filmu „Za co”, który był zrealizowany w latach dziewięćdziesiątych w kooperacji z kinematografią rosyjską. To była ekranizacja wspomnianej książki Lwa Tołstoja. A ja dotarłem do pamiętników Wincentego Migurskiego, o których istnieniu Tołstoj nie wiedział, chociaż ich poszukiwał. Jeśli chodzi o Migurskich, to napisałem jeszcze za czasów radzieckich, w rocznicę urodzin Lwa Tołstoja na temat śladów bohatera tej powieści. Opublikowałem to w jedynej polskojęzycznej gazecie wychodzącej w ZSRR, w wileńskim „Czerwonym Sztandarze”. Prenumerowałem go, już na drugi, trzeci dzień można było mieć te gazety. I ktoś to w Polsce przeczytał. Po jakimś czasie dostałem list od Janusza Migurskiego mieszkającego chyba w Gliwicach. To był potomek jednego z braci zesłańca Migurskiego. Przysłał mi kilka fotokopii tekstów. Proponował, że może przysłać mi więcej materiałów. Ale potem w Polsce był stan wojenny, listy nie dochodziły i kontakt się urwał. Wśród tych materiałów była kopia portretu Albiny Migurskiej. Opublikował ją Antoni Kuczyński wraz z fragmentem wspomnień Wincentego Migurskiego.⁴ Był u nas bardzo znany i utalentowany historyk, eseista, pisarz Natan Endelma zajmujący się różnymi aspektami historycznymi pierwszej połowy XIX stulecia. Przyjechał kiedyś na sesję dekabrystowską do Irkucka i pokazałem mu wówczas ten portrecik. Na to on powiedział: a może to zrobił dekabrysta Bestużew? Mieszkał przecież na Zabajkalu. Czemu nie? Może to była jakaś romantyczna historia? Ale nie ma żadnych dowodów. Może coś zachowało się w rodzinie. Moje kontakty ze wspomnianym już J. Migurskim urwały się. Może już nie żyje? Nie wiem. Ale zapewne żyją jeszcze jego dzieci i wnuki?

⁴ A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory*, Wrocław 1993.

Przywiózł Pan ze sobą pięknie wydaną książkę, właściwie album.

To jest kolejny tom Biblioteki Polsko-Syberyjskiej zatytułowany *Podróż po Syberii Wschodniej* Leopolda Niemirowskiego, zesłańca z grona konarszczyków. Zebraliśmy wszystko co można było zebrać rysunki, obrazy. Czasami pod znakiem zapytania, jeśli chodzi o autorstwo. Wydanie sfinansował Konsulat RPw Irkucku. To była praca zbiorowa. Uczestniczyły w niej trzy irkuckie muzea: Obwodowe Muzeum Sztuki, Obwodowe Muzeum Krajoznawcze i Muzeum Dekabrystów, a oprócz tego Muzeum Historii Buriacji w Ułan-Ude oraz Państwowe Muzeum im. A. Puszkina w Moskwie. Muzeum Narodowe w Warszawie udostępniło cyfrowe kopie rysunków Niemirowskiego. Takie wydawnictwa trzeba by kontynuować. Zrobić np. polską wersję tej edycji. Po polsku materiały już istnieją i można je przygotować, dając komentarze i przedmowy. Będę chciał rozmawiać, żeby ukazało się polskie wydanie. Zresztą ideę pochwycili koledzy w Poznaniu. Moja uczelnia, którą jest Państwowy Uniwersytet Irkucki ma umowę o współpracy z Uniwersytetem Adama Mickiewicza w Poznaniu. Historycy poznańscy zainteresowali się tym tematem i może doczekamy się polskiej edycji tego albumu. Dobrze by było...

Czy poza poznańskim uniwersytetem rozwija się współpraca między Irkuckiem a innymi uczelniami w Polsce

Teraz poza oficjalną współpracą z Poznaniem moja uczelnia ma dużo kontaktów z innymi krajami np. z Chinami, Mongolią, Niemcami, Francją. A z Polską, gdy żył jeszcze wspomniany już profesor W. Dżakow, próbowaliśmy nawiązać współpracę z uniwersytetem w Gdańsku. Tam pracuje prof. Franciszek Nowiński, który obronił pracę habilitacyjną w Moskwie. Zawarliśmy umowę, ale po rozpadzie ZSRR zaczęły się problemy organizacyjne, finansowe, nikt tej umowy nie zrywał, ale i nie ma też jej kontynuacji. Ja jestem w kontakcie z Muzeum Historycznym m st. Warszawy. Współpracuję z Działem Ikograficznym, który ma bogaty zbiór rysunków zesłańców – uczestników powstań. Teraz z kolei zamierzam odwiedzić Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Oni mają bogatą kolekcję ciekawych obrazów zesłańców po powstaniu styczniowym. Może dałoby się zrobić kolejny tom. Np. był taki malarz Józef Berkman. W Muzeum Sztuki w Irkucku zostało kilka jego obrazów, a jeden z nich nazywający się „Trojka” przedstawiono na okładce polskiego czasopisma „Zesłaniec”. Są też obrazy Stanisława Wrońskiego a także Mikołaja Dobrowolskiego, który nie był zesłańcem, tylko przyjeżdżał na Syberię. Jego obraz „Przeprawa przez rzekę Angarę” znalazł się na okładce tomu *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*.⁵ Jest tego sporo w polskich i rosyjskich muzeach.

To może warto byłoby zrobić wystawę tych prac?

Dobrze by było. Są obrazy i zesłańców, i autorów nie będących zesłańcami. Jakimś sposobem trafiło do Irkucka jedno z programowych płócien Wiktora Pruszkowskiego „Śmierć Anhellego”. Jego twórca nigdy nie był na Syberii. Wybrał najprawdopodobniej ten temat przez literackie alegorie Juliusza Słowackiego zawarte w jego poemacie pt. *Anhelli*. Można byłoby zrobić wy-

⁵ *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, pod red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2007

stawę tych obrazów ale kto się tego podejmie? Kiedyś w Irkucku, jeszcze za czasów radzieckich była wystawa „Portret syberyjski”. Panowało wtedy powszechne przekonanie, że na Syberii nie było tzw. wysokiej sztuki malarskiej. W europejskiej części Rosji: Riepin, Kramskoj, Lewitan, a na Syberii nic. W rzeczywistości byli przecież miejscowi artyści, może nie takiej klasy, jak wspomniani. Ale byli malarze, organizowali wystawy, były galerie. Wystawę „Portret syberyjski” eksponowano przed laty w Krakowie a potem już żadnej wystawy w Polsce nie było, natomiast były w Japonii, Chinach, Holandii. Teraz jest coraz trudniej, bo dość drogo kosztuje ubezpieczenie eksponowanej kolekcji, trzeba też spełniać techniczne warunki transportu, klimatyzacji, przechowywania. W tej chwili jest nawet problem wymiany z europejską częścią Rosji, np. prowadzone są negocjacje z muzeum na Kremlu w sprawie ekspozycji ich zbiorów w Irkucku. Miasto obchodzi w bieżącym roku okrągłą rocznicę – 350-lecie powstania. Jak na wymiar syberyjski to miasto bardzo dawne, o bogatej, złożonej historii. Planowane są uroczyste obchody, wydany został specjalny dekret prezydencki, że będą one organizowane na poziomie federalnym. Zaplanowano wystawy. I są problemy, żeby coś przewieźć z Moskwy do Irkucka. Dyrektorka kremlowskiego Muzeum to córka Gagarina, jest historykiem sztuki, absolwentką Państwowego Uniwersytetu Moskiewskiego, ale nie ona decyduje o tym, by taką wystawę zorganizować w Irkucku. Łatwiej już było kilka lat temu sprowadzić wystawę z Ermitażu, którego dyrektor Michaił B. Piotrowski okazał się człowiekiem otwartym na współpracę i bardzo entuzjastycznie przyjął pomysł zorganizowania takiej ekspozycji. Zespół pracowników Ermitażu był bardziej otwarty na nasze propozycje. Otwarcie tej wystawy uświetnił nawet koncert orkiestry, która ich staraniem przyjechała z Petersburga. Łatwiej było się dogadać wówczas z Ermitażem niż obecnie z Kremlowskim Muzeum. Zorganizowanie takiej wystawy to wielość przedsięwzięć. Trzeba np. wynająć cały samolot do przewiezienia kolekcji, ubezpieczyć ją itp. a to drogo kosztuje. Zastanawiam się jednak nad innym problemem: czy np. w Polsce nie można by zorganizować wystawy rysunków Niemirowskiego? Podejmę takie próby i poszukuję sprzymierzeńców do urzeczywistnienia takiego pomysłu.

Rozmawiamy po polsku. Proszę powiedzieć, gdzie się Pan nauczył języka polskiego, w domu czy później w szkole, na uczelni?

W domu u mnie nikt nie mówił po polsku. Ale była tradycja używania tego języka przez moich przodków. Ojciec wspominał, że jego dziadek, czyli mój pradziadek mówił po polsku. W gronie swoich współwygnańców, zbierali się i rozmawiali po polsku. Ojciec zachował w pamięci tylko niektóre zwroty. A ja w związku z tym, że zacząłem zajmować się polską tematyką, zacząłem się uczyć języka polskiego. Systematycznie nigdy się nie uczyłem, można więc rzec, że jestem samoukiem. Miałem praktykę – czytanie, pisanie, tłumaczenie, kontakty i pobyty w Polsce. Używając języka, człowiek do czegoś dochodzi. Kiedyś miałem np. taką sytuację: kiedy pracowałem w jakimś archiwum w Polsce, ktoś poprosił mnie o przeczytanie polskiego dokumentu i mnie się udało. Dało mi to dużą satysfakcję.

Skąd się wywodzi ród Szostakowiczów?

Nasz ród pochodzi z terenów obecnej Litwy, spod Święcian. Jeśli chodzi o pochodzenie rodziny, znalazłem źródła w Państwowym Archiwum w Wilnie.

Zachował się tam zespół dokumentów dotyczących Akademii Medyko-Chirurgicznej, którą ukończył mój prapradziadek Piotr Szostakowicz. On ukrywał swoje uczestnictwo w powstaniu listopadowym, bo jakoś był związany z tymi wydarzeniami. Nie mówił o swoim pochodzeniu, mówił tylko, że jest poddanym *gospoży* Skirmuntowej z okolic jeziora Świr – *niewolny* pracownik Skirmuntowej, to tak jakby chłop pańszczyźniany. Wykształcenie na poziomie gimnazjalnym uzyskał w domu Skirmuntowej. Na podstawie tego jako stypendysta wstąpił do Akademii Medyko-Chirurgicznej i ukończył Wydział Weterynarii. W związku z tym, że był państwowym stypendystą, został skierowany do pracy początkowo w Orle, a potem w rejonie Uralu, w guberni permskiej i w Jekaterynburgu. Tam urodził się mój pradziadek Bolesław, na cześć którego noszę imię. We wspomnieniach napisał, skąd pochodziła jego rodzina. Zwyczajem rosyjskim używał *otczestwa* i nazywał się Bolesław Piotrowicz Szostakowicz. Razem z rodziną przeniósł się na Nadwołże, do Kazania, tam ukończył gimnazjum, gdzie zaangażował się w ruch opozycyjny pierwszej fali idealistów-socjalistów. Była to jeszcze nie Narodna Wola, a jej poprzednicy, nazywani sześćdziesiątnikami. On do nich należał, w tym nawet do kółka polskich studentów w Moskwie, bo był słuchaczem Uniwersytetu Moskiewskiego. Miał kontakty z uczestnikami tego ruchu z Saratowa, Samary, Kazania. Jest na ten temat wydana w Polsce książka Tamary Fiedosowej.⁶ Ja napisałem obszerny szkic o swoim pradziadku na podstawie wspomnień, które u nas w rodzinie się zachowały, ale korzystałem też z innych źródeł syberyjskich i ogólnorosyjskich. Pradziadek Bolesław uczestniczył w uwolnieniu niektórych zesłańców politycznych, w tym ułatwił ucieczkę Jarosławowi Dąbrowskiemu z moskiewskiego więzienia etapowego. Kiedy Dąbrowski już był osądzony i powinien był trafić na Syberię, miał słabą ochronę i jakoby przekazano mu ubranie kobiece. To wszystko zaplanował mój pradziadek, który przez pewien czas ukrywał go w domu usytuowanym w pobliżu budynku żandarmerii. Ucieczka się udała, ale nieco później ktoś napisał donos i pradziadek został aresztowany, nawet przez jakiś czas był więziony w Twierdzy Pietropawłowskiej. W sprawie tej ucieczki Dąbrowskiego zaangażowana była pewna grupa ludzi, którzy w śledztwie zachowali się bardzo dzielnie, nikogo nie wydali. W końcu zostali osądzeni i skazani na zesłanie w guberni tomskiej. Tam pradziadek miał już nowe kontakty konspiracyjne i nie zaprzestał działalności antypaństwowej. Ale znów ktoś napisał donos i zesłali go jako recydywistę do Narymu na dalekiej północy. Pannaowały tam ciężkie warunki, w których przebywał kilka lat. Potem wrócił do Tomsku i zaczął pracować jako ekonomista i księgowy u różnych prywatnych przedsiębiorców. Cieszył się autorytetem. Mimo że był on był wcześniej represjonowany, zezwolono mu nawet kandydować do tomskiej dumy. Potem nawet wybrano go na *głowę* miasta, ale nie został zatwierdzony przez gubernatora. Pojawiły się jakieś plotki, że on wspiera Polaków rewolucjonistów. A potem były na niego jakieś naciski, wyjechał więc do Irkucka. Był zarządzającym irkuckim oddziałem Syberyjskiego Banku Handlowego, działał w Towarzystwie Geograficznym, zbierał materiały etnograficzne, wydawał materiały statystyczne. Znów był radnym miejskim, tym razem w Irkucku. Tu też został wybrany *głową* miasta. Półtora roku pełnił tę funkcję, a potem zrezygnował z niej

⁶ Tamara F. Fiedosowa, *Polskie organizacje patriotyczne w Moskwie 1857–1866*, Warszawa 1984

pod pretekstem choroby. Nawet niedawno jeden z moich studentów pytał: dlaczego mój pradziadek tak szybko ustąpił z tego stanowiska?

Jakie były dalsze losy rodziny? Została w Irkucku?

Pradziadek, o którym mówiłem, miał siedmioro dzieci. Jego żoną była Rosjanka, też z bardzo postępowymi, jak na owe czasy, poglądami. Podzielała jego przekonania i nawet pomagała mu. Akurat Dąbrowski w jej mieszkaniu jakiś czas był ukrywany. A potem po zesłaniu pradziadka oni się pobrali. Przyjechała do Irkucka. Wzorowała się na naszym ideologu Mikołaju Czernyszewskim (jej bliska koleżanka była żoną Czernyszewskiego). Zrobiła coś na wzór tego, co on proponował. Zorganizowała specjalne przedsiębiorstwo dla młodych dziewcząt. Zebrała grupę dziewcząt, które zajmowały się krawiectwem i żyły razem w komunie. Wszystkie zarobki przeznaczały na wspólne materialne potrzeby. To był prototyp nowych komunistycznych sposobów bytu i życia. Pradziadek początkowo planował przenieść się do południowo-azjatyckich części imperium, do południowego Kazachstanu, bo zajmował się ogrodnictwem. Już jako emeryt w Irkucku miał ogród i przeprowadzał tam eksperymenty. Sadził nowe gatunki roślin, które dotąd nie rosły w Irkucku, różne gatunki jagód, maliny, truskawki i kwiaty. Z tego też był znany.

Tak więc pradziadkowie mieli siedmioro dzieci – trzy córki i czterech synów. Spośród nich najstarszy syn wyjeżdżał na studia za granicę, do Niemiec, Szwajcarii, zrobił doktorat w Bazylei. Był biologiem – przyrodnikiem. Wrócił do Irkucka i pracował jako meteorolog, przez pewien czas zajmował się geografią fizyczną, w końcu został zastępcą a potem dyrektorem miejscowej stacji meteorologicznej. Wówczas nie było w Irkucku jeszcze wielu placówek naukowych, a stacja meteorologiczna była swego rodzaju placówką akademicką. Związany zawodowo z Irkuckiem tu się ożenił. Żona posiadała szwajcarsko-fińsko-szwedzkie korzenie z jednej strony, z drugiej zaś związana była z rodziną bardzo bogatych i wpływowych w rejonie irkuckim kupców Trapeznikowych. Tak więc moja gałąź rodziny osiadła w Irkucku i zajmowała się nauką – dziadek, ojciec i jego bracia byli naukowcami w różnych dziedzinach – byli przyrodnikami, inżynierami, medykami. Pradziadek miał jeszcze kilku innych synów, a jeden z nich – Dmitrij wyjechał do Petersburga, ukończył studia i tam pozostał. Ożenił się z osobą pochodzącą z Syberii Wschodniej. Ich syn Dmitrij Dmitriewicz Szostakowicz, słynny kompozytor nigdy nie mieszkał jednak na Syberii, czasem tylko przyjeżdżał do rodziny. Do wojny mieszkał w Leningradzie skąd został ewakuowany do Kujbyszewa, czyli Samary. A potem wrócił do Moskwy. O pozostałych dwóch synach Bolesława niewiele wiadomo. Wyjechali za granicę, jeden wrócił do Rosji, ożenił się z Niemką. Mam jakąś kuzynkę, która mieszka w Niemczech, pisała, szukała swoich korzeni. Kolejna gałąź jest gdzieś w Ameryce, ponieważ kolejny syn dziadka związany był z flotą rosyjską i służył na Dalekim Wschodzie. Tam ślad po nim zaginął, prawdopodobnie przedostał się za ocean, wyemigrował.

Niezależnie od pracy naukowej działa Pan społecznie w Kongresie Polaków w Rosji. Jak wygląda ta działalność?

Kongres Polaków w Rosji to taka nasza konfederacja ogólnorosyjska. My wszyscy działacze polonijni jesteśmy w trudnej sytuacji. Ja jako prezes Komisji Naukowej nie mam ani środków, ani możliwości, żeby jeździć, uczestniczyć w różnych spotkaniach. Podtrzymujemy kontakty jak możemy, ale ze względu na to, że w Irkucku istnieje Konsulat RP to łatwiej nam utrzymywać kontakty

przez konsulat niż jeździć do Moskwy i tam prowadzić rozmowy. Poza tym mamy w Irkucku organizację polonijną w skali obwodowej, nazywa się Polska Autonomia Kulturalna „Ogniwo”. Nazwa jest historyczna, bo pod taką nazwą powstała organizacja polonijna po rewolucji rosyjskiej lat 1905–1906. Działała do rewolucji w 1917 roku. To była organizacja polsko-litewska, bo władze imperium rosyjskiego nie pozwoliły Litwinom powołać samodzielnej organizacji. Zezwoliły natomiast działać w nowo powstałej polskiej organizacji, co miało historyczne uzasadnienie. Polska i Litwa były wcześniej jednym państwem. Staramy się kultywować te tradycje, bo w Irkucku istnieje nie tylko polskie stowarzyszenie. Jest kilkadziesiąt różnych organizacji narodowościowych. Istnieje towarzystwo litewskie, także honorowy konsulat Republiki Litewskiej, jest też stowarzyszenie białoruskie, buriackie, chińskie, fińskie. Jest ośrodek kultury żydowskiej.

Ilu członków liczy polska organizacja?

Jeżeli liczyć wszystkich zarejestrowanych to dwieście, ale osób aktywnych jest czterdzieści, może sześćdziesiąt. Przychodzą na spotkania, które są regularnie co miesiąc. Najgorzej jest z siedzibą. Z naszym polonijnym domem były różne plany, różne wersje. Jak na razie nic z nich nie wyszło. Prawie wszystko robimy społecznie. Częściowo korzystamy z symbolicznych składek naszych członków, ale to kropla w morzu potrzeb. Oczywiście wspomaga nas Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” i Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Wcześniej miejscowa administracja coś dawała w ramach programu narodowościowego, teraz nie daje, bo ponoć ustawodawstwo rosyjskie nie ustaliło statusu naszych organizacji. Ja jako działacz społeczny jestem oddelegowany do Rady ds. narodowościowych i religijnych przy naszym gubernatorze. Opracowywaliśmy statut Rady, przerabialiśmy go wiele razy, a jak zmienił się gubernator, trzeba było zaczynać od początku. Teraz finansowa sytuacja jest niedobra, wszyscy oszczędzają na wszystkim, w tym na sprawach narodowościowych. Z jednej strony władze nas agitują, jak za czasów radzieckich, żeby coś organizować, ale środków nie dają.

Ale jednak coś się w Irkucku udaje zrobić?

No tak – czasem się udaje. Na przykład: w grudniu ubiegłego roku we współpracy z Konsulatem RP w ramach „Dni dekabrystowskich” odbyła się prezentacja albumu Leopolda Niemirowskiego, wydanego z okazji 200. rocznicy jego urodzin. Był to polski wieczór połączony z koncertem zamykającym Rok Chopinowski.⁷

Ewa Maria Ziółkowska

• EKSPEDYCJA DOKUMENTACYJNO-BADAWCZA DO KAZACHSTANU

Tematyka deportacji ludności polskiej z obszarów sowieckiej Ukrainy do Kazachstanu, którą władze ZSRS przeprowadziły w 1936 roku należy do jednej ze słabiej obecnych w historiografii, a tym bardziej w świadomości społecznej współczesnych Polaków. Nie zmieniły jak dotąd zbiorowej pamięci o tym za-

⁷ Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.

gadnieniu artykuły prasowe, czy nieliczne publikacje książkowe, uwzględniające historię sowieckich represji wobec Polaków w ZSRS jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Tymczasem w 2011 roku mija 75 lat od wywózki, która wg różnych szacunków objęła co najmniej 40-50 tysięcy osób narodowości polskiej (ówczesnych obywateli Związku Sowieckiego) z tzw. Marchlewszczyzny oraz z takich miejscowości i ich okolic na Ukrainie, jak Berdyczów, Winnica, Kamieniec Podolski..., a zatem z terenów przedrozbiorowych Kresów Wschodnich RP – obszarów, jakie znalazły się w ZSRS wskutek ustaleń traktatu ryskiego, kończącego wojnę polsko-bolszewicką.

Właśnie w kontekście tej rocznicy, do byłej azjatyckiej republiki sowieckiej i jej niedawnej stolicy – Ałmaty, w sierpniu 2010 roku udała się grupa przedstawicieli warszawskiej Fundacji Kresy-Syberia, w celu dotarcia do osób z najstarszego pokolenia kazachstańskich Polaków, pamiętających jeszcze przymusowe przesiedlenia z lat 30. XX wieku oraz przeprowadzenia z nimi wywiadów biograficznych, obejmujących głównie wydarzenia związane z zesłaniem i życiem codziennym po deportacji. W skład ekspedycji weszli: Michał Bronowicki, Sergiusz Kazimierzczuk i Rober Sobol – specjaliści-historycy z doświadczeniem w pozyskiwaniu relacji mówionych. Wyprawa została zorganizowana w ramach programu Audiowizualne Archiwum Sybiraków – przy szerokim wsparciu Senatu RP i Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP – realizowanego przez wspomnianą Fundację, poprzez nagrywanie (w formule audio lub wideo) wspomnień dawnych zesłańców polskich w głąb ZSRS.

Mimo, iż większość Polaków deportowanych w 1936 roku do Kazachstanu trafiła w jego północne rejony (najczęściej do obwodów: akmolińskiego, kokczetańskiego, karagandyjskiego), gdzie nierzadko przyszło im żyć w słabo zaludnionych stepach, na obszar badań dokumentacyjnych ekspedycji wybrano rejon Ałmaty, dokąd ludność polską wywożono w mniejszym stopniu i lokowano zazwyczaj w ujugurskich, niedużych osadach u podnóży malowniczych gór Tien-Szan. Było to związane z zamiarem dotarcia głównie do tych osób z najstarszej generacji Polaków i istotnie plan ten przyniósł powodzenie, odwiedziliśmy bowiem m.in. miejscowości: Żanaszar, Azat, Bielbułak, Amangałdy, Nur, Bazarkieldy, Baszerkiedak, Issyk i Tałgar. Nagrania prowadzone były też w samej Ałmaty. Co ważne, w pomoc uczestnikom ekspedycji aktywnie włączyli się na miejscu wicekonsul Justyna Afek z Konsulatu Generalnego RP w Ałmaty oraz prezes tamtejszego Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Więź” – Aleksander Pawłowski, dzięki którym możliwe stało się efektywne zbieranie materiałów archiwalnych (oprócz samych nagrań także digitalizowanie najcenniejszych fotografii oraz zachowanych dokumentów źródłowych z prywatnych zbiorów).

Pozyskane wywiady biograficzne, wspomnienia dawnych zesłańców, dziś już ponad 80-letnich ludzi, odzwierciedlają ich niegdysiejsze losy. Przebija z tych relacji rzeczywistość życia na sowieckiej Ukrainie przed wywózką (większość dzielących się swą pamięcią została deportowana z obwodu żytomierskiego, sporadycznie uczestnicy wyprawy mieli sposobność porozmawiać też z osobami przesiedlonymi z Białorusi sowieckiej, skąd ludność polską deportowano do Kazachstanu w 1938 roku), a także doświadczenie samej zsyłki i adaptacji do codzienności wśród ludności autochtonicznej. Warto podkreślić, że przesiedleńcy polscy – pomijając szersze przyczyny decyzji o ich wywiezieniu z Ukrainy – mieli w zamyśle władz sowieckich m.in. zminimalizować fatal-

ne ekonomicznie skutki kolektywizacji przeprowadzonej wcześniej w Kazachstanie oraz, w ograniczonym naturalnie zakresie, nauczyć rolnictwa jego ludność, przez wieki przyzwyczajoną do koczowniczego trybu życia i nie nawykłą do uprawy ziemi. Musieli więc pełnić niejako rolę przykładowych gospodarzy, co dla wywiezionych na północ okazało się niezwykle trudne ze względu na rodzaj tamtejszej gleby, łatwiejsze zaś było dla deportowanych na południe – w relacjach wspominający często podkreślali dobrą jakość ziemi w rejonie Ałmaty. Wskazywali jednak, że w praktyce ich los sprowadzał się do dramatycznej walki o przetrwanie w realiach stalinowskiego reżimu, gdzie warunki egzystencji zesłańców stanowiły często katorgę samą w sobie, gdzie brakowało nie tylko podstawowego pożywienia, ale nawet narzędzi do pracy, która mogłaby w jakimś stopniu polepszyć dolę Polaków, mimo dotykających ich drakońskich praw oraz obowiązywania kuriozalnych nierzadko reguł życia w ówczesnym Związku Sowieckim. W całej panoramie doświadczeń zesłańczych, rysującej się w nagranych wywiadach biograficznych, wiele uwagi relacjonujący poświęcili również konsekwencjom, jakie dosięgły ich po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku (opowiadali głównie o wzmożonym rygorze pracy w kołchozach oraz sowchozach, panującym wówczas głodzie), mówili też o represjach ze strony NKWD (istnieniu tzw. komendantury, kontrolującej deportowanych, zakazie dobrowolnego oddalania się od miejsca zesłania), często wspominali ponadto o próbach zachowania i kultywowania swojej katolickiej wiary (szczególnie skrycie celebrowanych, zakazanych przez Sowieców praktykach religijnych, odbywających się w warunkach pozbawienia dostępu do zlikwidowanych kościołów). Ważnym aspektem wszystkich relacji było samoistne poruszanie przez nagrywanych tematyki współegzystencji na jednej ziemi Polaków, Kazachów, Ujgurów, a także przedstawiciele wielu grup narodowościowych przesiedlonych przez Stalina do Kazachstanu, np. Czechenów. Jak wynika z pozyskanych podczas ekspedycji wspomnień, wszyscy oni dzielili podobny los, nierzadko pomagając sobie wzajemnie i czerpiąc od siebie praktyczne nauki: w sferze przygotowania posiłków z dostępnych produktów, czy roślin, w kwestii niekonwencjonalnego leczenia chorób lub nawet w zakresie wyrobu przedmiotów powszechnego użytku, jak choćby ubrań dostosowanych do kontynentalnego klimatu panującego w Kazachstanie. Takie aspekty codzienności, przebijające z zarejestrowanych opowieści Polaków, rzucają też światło na kwestie niegdysiejszej adaptacji przesiedleńców do azjatyckiej rzeczywistości, w której się znaleźli, trzeba bowiem pamiętać że zesłanie aż w rejon przygraniczny z Chinami, różny geograficznie i przyrodniczo od zachodnich krańców ówczesnego Związku Sowieckiego, zamieszkiwany przez obcych kulturowo ludzi o mongoidalnych rysach twarzy, musiał dla deportowanych Polaków stanowić niemałe zaskoczenie i nastroczać w pewnej mierze kłopotów z przystosowaniem się do nowych warunków życia.

Większość relacji została zarejestrowana w języku rosyjskim, którym kazachstańscy Polacy posługują się najlepiej. Zdarzały się jednak wywiady dokonane częściowo w języku polskim (niektórzy relacjonujący pamiętali go jeszcze z domu rodzinnego na sowieckiej Ukrainie). Niejednokrotnie we wspomnieniach przytaczane były przedwojenne polskie piosenki, krótkie wiersze oraz modlitwy. Te ostatnie również dlatego, iż dla wielu deportowanych to właśnie stare, wydane po polsku katechizmy, czy książeczki do nabożeństwa (niektóre drukowane jeszcze w XIX wieku) stanowiły swoisty elementarz do nauki mowy

przodków. Co ważne, znajomość języka polskiego – choć przeważnie słaba – i religia katolicka do dziś kształtują wśród niegdysiejszych zesłańców oraz ich potomków poczucie przynależności do narodu polskiego. Problem tożsamości kazachstańskich Polaków niewątpliwie jednak należy do najpoważniejszych z jakimi się borykają. Często nie czują się pełnowartościowymi przedstawicielami swojej nacji, nie potrafią z przekonaniem zdefiniować swojej narodowości. Ma to związek także z tym, że już w momencie wywózki z Ukrainy sowieckiej ludzie ci nie posiadali obywatelstwa polskiego i byli odłączeni od Macierzy. W ich wspomnieniach o przeszłości wątek ten miał istotne znaczenie, gdyż relacjonujący o większej świadomości historycznej potrafili przywołać fakt, dotyczący tzw. amnestii dla Polaków, której władze moskiewskie udzieliły w sierpniu 1941 roku m.in. przymusowo przesiedlonym w głąb ZSRS (w odniesieniu jednak do deportowanych w okresie trwającej już wtedy wojny), co zdarzyło się w konsekwencji zawarcia nieco wcześniej układu Sikorski-Majski przywracającego zerwane w 1939 roku stosunki dyplomatyczne między rządem polskim a rządem sowieckim. Dekret o amnestii przewidywał zwolnienia dla „byłych obywateli polskich”, a w kategorii tej nie mieściły się osoby z polskimi korzeniami, czy wręcz Polacy mieszkający w dwudziestolecu międzywojennym na terenie Związku Sowieckiego – ergo obywatele tego państwa. Wobec tego nie mieli oni szans polepszenia swojego losu w latach 40. XX wieku, choćby poprzez próbę wydostania się z ZSRS wraz z armią pod dowództwem gen. Władysława Andersa, o której formowaniu się wówczas nierzadko wiedzieli. Notabene, rozgorzyczenie kazachstańskich Polaków na ówczesną sytuację rozciąga się również na dzisiejsze, ograniczone możliwości ich przyjazdu (de facto przecież nie repatriacji) do Macierzy, jak określają współczesną Polskę. Również te zagadnienie pojawiało się w nagraniach, mimo iż obejmowały one głównie problematykę zesłania – widać więc jak istotne i żywe są to kwestie. Dopełniając omówienia języka, w jakim rejestrowano wspomnienia nie sposób też nie zaznaczyć, iż w wielu nagraniach słyszalne są bardzo wyraźne i częste naleciałości z ukraińskiego. To również ma związek z miejscem zamieszkania rodzin polskich przed deportacją z lat 30. minionego stulecia do Kazachstanu. Co ciekawe, bywało że jedna relacja zarejestrowana została częściowo po rosyjsku, po polsku i po ukraińsku, języki te bowiem mieszały się starszym osobom. Nie wpływało to wszakże na logikę prowadzonej przez nie narracji – tutaj, jak w każdym wywiadzie biograficznym, obowiązywała zasada chronologii wydarzeń.

Ogółem w trakcie wyprawy zdołano pozyskać relacje 52 osób, głównie spośród najstarszej generacji dawnych przymusowych przesiedleńców, aczkolwiek wśród nagrań znajdują się pojedyncze wywiady z osobami wywodzącymi się z drugiego pokolenia niegdysiejszych zesłańców – osobami urodzonymi już w Kazachstanie, znającymi dramatyczną historię swojej rodziny z opowieści, nie zaś z własnych doświadczeń. Wspomnienia 12 osób zarejestrowane zostały w całości, bądź częściowo w systemie wideo, resztę nagrano w systemie audio – wszystkie w postaci cyfrowej. Jak zaznaczono na wstępie, pozyskiwaniu relacji towarzyszyło kopiowanie ikonografii fotograficznej oraz dokumentów źródłowych, jakie zachowały się wśród prywatnych, domowych zbiorów. Poprzez wykonanie kopii zdjęć lub skanów, utrwalonych zostało w ten sposób ponad 100 jednostek archiwalnych, obecnie katalogowanych wg międzynarodowych standardów. Są to głównie fotografie przedstawiające rodziny polskie przed wywózką z Ukrainy sowieckiej (w mniejszości) lub ilustrujące ich życie co-

dziennie po deportacji. W tym drugim przypadku zdjęcia pochodzą zazwyczaj już z lat 50. XX wieku (albo z okresu późniejszego) i ukazują warunki pracy zesłańców, bądź uroczystości państwowe, w których uczestniczyli. Wiele jest też zdjęć portretowych. Odnośnie do dokumentów, najcenniejsze z pozyskanych stanowią dawne świadectwa urodzenia, świadectwa szkolne z placówek edukacyjnych w Kazachskiej SRS, legitymacje odznaczeń przyznawanych przez władze Związku Sowieckiego, zaświadczenia wydane na podstawie decyzji NKWD dotyczące potwierdzenia represji, względnie rehabilitacji za niegdysiejsze prześladowania rodzin przymusowych przesiedleńców w okresie totalitaryzmu sowieckiego. Fragmenty opracowywanych relacji, po ich przetłumaczeniu na język polski, znajdują się w specjalnie dedykowanej im części Wirtualnego Muzeum Kresy-Syberia (www.kresy-siberia.org) pod nazwą Archiwum Sybiraków. Jest to miejsce, gdzie upowszechniane są najciekawsze, specjalnie wyodrębnione fragmenty nagrań (w olbrzymiej większości wideo) przeprowadzanych w ramach ww. programu Audiowizualne Archiwum. Pozostaje mieć nadzieję, że taki sposób upowszechniania tematyki tych mało znanych szerokiemu odbiorcy wydarzeń – w nowoczesnej formie, poprzez medium internetowe, łatwo dostępne w coraz większym stopniu na całym świecie – wpłynie pozytywnie na kształtowanie się świadomości historycznej współczesnych i zwiększy ich wiedzę o losach tysięcy Polaków żyjących na Wschodzie.

Kontynuowanie podjętego trudu dokumentacyjnego przewiduje nagrywanie biograficznych wywiadów wideo z Sybirakami w Polsce i na całym świecie. Nie pozwólmy, aby ich indywidualne historie uległy zapomnieniu!

Michał Bronowicki

• WERNISAŻ WYSTAWY „PORTRETY POLSKICH SYBIRAKÓW” AUTORSTWA PAULINY KOPESTYŃSKIEJ

14 maja 2011 roku o godzinie 19.00 odbył się w sali Towarzystwa Naukowego Warszawskiego w Pałacu Staszica w Warszawie wernisaż wystawy jakuckiej malarki Pauliny Kopestyńskiej *Portrety polskich sybiraków*.

Ekspozycja wpisła się w cykl imprez towarzyszących tegorocznej Nocy Muzeów w Pałacu Staszica. Nasze przedsięwzięcie udało się znakomicie. W tym roku pobiliśmy bowiem rekord frekwencji. Mury naszego dostojnego gmachu odwiedziło w tę magiczną noc ponad 3800 gości. Przyczynił się do tego zarówno bogaty i różnorodny program imprezy, jak i wspinała pogoda, za którą, jak powiedziała główna organizatorka i koordynatorka działań Pani Kasia Stakuń z Biura Promocji Miasta Urzędu m.st. Warszawy, komuś należy się premia. Było to prawdziwe święto historii i kultury. Poważne na co dzień sale domu polskiej nauki rozbrzmiewały dźwiękami muzyki, mieniły się kolorami. Każdy mógł znaleźć tu coś dla siebie — były wystawy historyczne, ekspozycje obrazów, prezentacje multimedialne, spotkania z artystami, pokaz mody i biżuterii, konkursy, koncert, prelekcje, malowanki dla małych i poważne dyskusje naukowe. Niekwestionowaną królową Nocy Muzeów 2011 była Maria Skłodowska-Curie, którą pracownicy naszej instytucji nazywają poufale „Maryską”. Wystawa jej poświęcona przyciągnęła najwięcej zwiedzających. Tym wszystkim wydarzeniom towarzyszyła niezwykła, wyjątkowa atmosfera, jaka panuje tylko podczas Nocy Mu-

zeów. Gości zauroczył rozpościerający się z balkonu dawnej Sali Głównej Posiedzeń, obecnie Lustrzanej, widok na najpiękniejszą w Warszawie, tonącą w morzu światła i wyjątkowo gwarną w tę szczególną noc ulicę Krakowskie Przedmieście.

Wystawa *Portrety polskich sybiraków* autorstwa Pauliny Kopestyńskiej towarzyszyła nowej, polskojęzycznej wersji ekspozycji *Polscy badacze Syberii*, która — w innym formacie niż jej wariant dwujęzyczny i ze zwiększoną ilością zdjęć — wystawiona została po raz pierwszy na widok publiczny w grudniu ubiegłego roku i zaprezentowana warszawiakom przed gmachem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” na Krakowskim Przedmieściu. Dwujęzyczna polskorosyjska wersja wystawy *Polscy badacze Syberii* od listopada 2008 roku cieszy się nieustającym powodzeniem na Syberii — pokazana już została w Jakucku, Irkucku, Jenisiejsku, Krasnojarsku, Ułan Ude, Kiachcie, Nowosybirsku, Tomsku i Barnaule. Jej drugi egzemplarz stanowi ekspozycję stałą w Muzeum Etnograficznym im. J.M. Jarosławskiego w Jakucku. To właśnie tam w sierpniu 1999 roku podczas konferencji naukowej poświęconej m.in. wybitnym polskim jakutologom Waławowi Sieroszewskiemu i Edwardowi Piekarskiemu, w której uczestniczył profesor Antoni Kuczyński oraz wystawiająca swoje obrazy Paulina Kopestyńska, zrodził się pomysł namalowania portretów polskich badaczy Syberii.

Paulina Kopestyńska pochodzi z dalekiej Jakucji. Jej niezwykle talent malarski ujawnił się już we wczesnym dzieciństwie. Paulina, jak sama wspomina, rysowała zawsze. Kiedy miała 6 lat, w lokalnej jakuckiej gazecie ukazał się pierwszy artykuł na temat przyszłej malarki oraz jej dziecięcy, ale bardzo już dojrzały rysunek. Uczęszczała na zajęcia kółka plastycznego, a gdy miała niespełna 11 lat, została przyjęta do elitarnej Szkoły Plastycznej im. W. I. Surikowa w Moskwie, gdzie w konkursie młodych talentów jej praca została wyróżniona i zaprezentowana w Stanach Zjednoczonych na wystawie *Rysunki dzieci Rosji*. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych im. W. I. Surikowa w Moskwie. Jako świeżo upieczona absolwentka moskiewskiej Akademii Sztuk Pięknych wyjechała do Warszawy. To właśnie w Polsce uformowała się jej artystyczna osobowość. Obecnie Paulina Kopestyńska jest nowoczesną obywatelką zjednoczonej Europy — włada kilkoma językami, mieszka od lat naprzemiennie we Włoszech i w Polsce. Od dawna współpracuje z Archiwum Polskiej Akademii Nauk oraz z różnymi instytucjami naukowymi, wydawnictwami i agencjami reklamowymi. Jest uznaną na świecie artystką, malującą różnymi technikami i w różnych stylach. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, Włoskiego Stowarzyszenia Akwarelistów, Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, laureatką licznych prestiżowych nagród, np. w 2003 roku otrzymała 2. nagrodę na międzynarodowej wystawie *Primavera femminile* w galerii Eustachi w Mediolanie, w 2004 — nagrodę Lions Club w galerii Vittorio Emanuele w Mediolanie, w 2005 — nagrodę Premio Arte Giorgio Mondadori. W 2009 roku wystawiała swoje obrazy na Międzynarodowej Wystawie Akwareli w Mediolanie przy Corso Matteotti, zorganizowanej przez prestiżową mediolańską galerię Bolzani, gdzie wśród 11 artystów z różnych krajów Europy reprezentowała Polskę. Paulina Kopestyńska została wówczas wyróżniona przez krytyków sztuki. Warto w tym miejscu dodać, że w 2009 roku Akademia Francesca Petrarci z Viterbo wydała antologię poezji o polskim papieżu Janie Pawle II, zatytułowaną *Percezioni di cuore*. Paulina Kopestyńska była jedną z ilustratorek księgi, która została ofiarowana Jego Świątobliwości Benedykto-

wi XVI, premierowi Włoch Silviowi Berlusconiemu, prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej Lechowi Kaczyńskiemu i innym ważnym osobistościom. Ambasada Polska w Watykanie przy Stolicy Apostolskiej wystosowała do Pauliny Kopestyńskiej list z gratulacjami i podziękowaniami za piękne i niezwykle wzruszające przedstawienie wizerunku papieża Jana Pawła II. Swoje prace malarka znad Leny prezentowała na wielu prestiżowych wystawach, m.in. w Polsce, Belgii, Rosji, Szwajcarii, Francji i we Włoszech. Jest brawurową ilustratorką książek dla dzieci oraz najnowszego wydawnictwa Archiwum Polskiej Akademii Nauk – komiksu *Archibohater, czyli długie życie Piotra B.*

Inspiratorem cyklu portretowego polskich sybiraków autorstwa Pauliny Kopestyńskiej, człowiekiem, który wspierał ją podczas tej mozolnej i odpowiedzialnej pracy, był profesor Antoni Kuczyński, wybitny autorytet w dziedzinie badań nad historią i losami Polaków na Syberii. Jak wspomina Paulina Kopestyńska, profesor Antoni Kuczyński zachęcał ją początkowo do namalowania portretu Wacława Sieroszewskiego dla Muzeum Etnograficznego w Jakucku. Po pewnym czasie, idąc za sugestią inspiratora tego cyklu, malarka postanowiła narysować portrety kilkunastu polskich sybiraków. Paulina Kopestyńska utwierdziła się bowiem w przekonaniu, że decyzja o utrwaleniu na płótnie wizerunków polskich cywilizatorów Syberii jest pod każdym względem słuszna. Malując portrety wygnańców, artystka z dalekiego kraju nad Leną sprawiła wielką radość i satysfakcję Polakom. Dla Polaków bowiem problematyka syberyjska to temat ciągle ważny, przyspieszający bicie serca i, jak napisała Zofia Trojanowiczowa, tkliwy „w takim znaczeniu, jakie nadaje temu słowu medycyna: tkliwy, wrażliwy na dotyk”¹. Dla Jakutów jest to w pewnym stopniu oddanie hołdu i spłacenie długu polskim zesłańcom, którzy na przekór losowi i wbrew zamierzeniom swoich sędziów, którzy skazali ich na osiedlenie się gdzieś w bezkresie syberyjskiej ziemi, zamiast zginąć z żalu, tęsknoty, chłodu, głodu i wyczerpania, pokochali przybraną ojczyznę i oddali jej swoje siły, rozum, umiejętności, doświadczenie i serce. Paulina Kopestyńska napisała: „Cykl portretów polskich badaczy to wyraz mojego szczerego uznania dla ich olbrzymiego wkładu w poznanie bezkresnych przestrzeni Syberii i Dalekiego Wschodu, próba uwiecznienia ich w pamięci potomnych”². Polscy badacze Syberii utrwaleni na płótnie przez Paulinę Kopestyńską to (według kolejności alfabetycznej): geolog, glaciolog, etnograf, fotograf, odkrywca starożytnej Samarkandy, badacz białych plam na mapach Azji Środkowej Leon Barszczewski; geolog, paleontolog, kartograf Aleksander Piotr Czekanowski; geolog, paleontolog, zoolog Jan Czerski; lekarz, zoolog, przyrodnik, limnolog, propagator teorii ewolucji Darwina i języka esperanto, zwolennik równouprawnienia kobiet w nauce Benedykt Tadeusz Nałęcz Dybowski; powieściopisarka Ewa Felińska; przyrodnik, ornitolog, rolnik Wiktor Ignacy Godlewski; badacz języka jakuckiego i jego dialektów Sergiusz Jastrzębski; inżynier wojskowy, który wstąpił do zakonu karmelitów bosych jako brat Rafał, Józef Kalinowski; językoznawca, twórca naukowych podstaw mongolistyki rosyjskiej i światowej Józef Szczepan Kowalewski; językoznawca, leksykograf, etnograf Edward Piekarski; starszy o rok brat Józefa Piłsudskiego, etnograf, socjolog, językoznawca, dzięki któremu znana jest

¹ Z. Trojanowiczowa, *Sybir romantyków*, Kraków 1992, s. 148.

² P. Kopestyńska, *Polscy badacze Syberii*, Warszawa 2011, s. 1.

zanikająca dzisiaj kultura i język Ajnów i Gilaków, Bronisław Piotr Ginet-Piłsudski; etnograf, geograf, literat, prezes Polskiej Akademii Literatury i minister propagandy w Rządzie Tymczasowym Rzeczypospolitej Polskiej w 1918 roku Waław Sieroszewski; etnograf, antropolog, szlachetny lekarz dla ubogich Julian Talko-Hryncewicz; prawnik, człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach Mikołaj Witaszewski; balneolog, chemik, działacz polonijny Stanisław Szczepan Zaleski. Autorka wspominała, że aby oddać charakter postaci, przestudiowała dokładnie biogramy swoich bohaterów, przeczytała wiele ich prac, zapoznała się z monografiami na ich temat, przejrzała ich fotografie i zdjęcia ukazujące urokliwe syberyjskie krajobrazy. Zgodnie z koncepcją malarską jakuckiej artystki każdy z portretowanych bohaterów zaprezentowany został na tle pejzażowych lub kulturowych elementów Syberii, które wiążą się z ich miejscem pracy lub charakterem badań. Tak więc geologowie Jan Czerski i Aleksander Czekanowski namalowani zostali na tle gór, miłośnicy i badacze świętego morza Buriatów Benedykt Dybowski i Wiktor Godlewski — na tle Bajkału z charakterystycznym elementem ornitologicznym u słynnego „złotorękiego”, zgłębiający tajemnice wód syberyjskich Stanisław Szczepan Zaleski — na tle rozlewających się wśród górskiego krajobrazu rzek, badacze Jakucji Edward Piekarski, Waław Sieroszewski, Sergiusz Jastrzębski i Mikołaj Witaszewski — mają w tle elementy jakuckie, „ojciec” Gilaków, „starszy brat” Ajnów Bronisław Piłsudski — ajnuskie, orientalista Józef Kowalewski — mongolskie, prowadzący badania antropologiczne wśród Buriatów Julian Talko-Hryncewicz — buriackie, fotograf Azji Leon Barszczewski — bucharskie. Przed namalowaniem portretu Józefa Kalinowskiego malarka zapoznała się z kanonami religijnej symboliki, odbyła liczne konsultacje z kapłanami. Wizerunek brata Rafała namalowany jest na tle wielu autentycznych, nie zaś fikcyjnych postaci skazańców, których twarze wyrażają cierpienie, ale jednocześnie siłę, odwagę, zdecydowanie i niezłomną wiarę. W postaci Ewy Felińskiej, ukazanej na tle jakiegoś mknącego po śniegu nienieckiego zaprzęgu, malarka chciała pokazać nie tylko jej niezwykłą, delikatną urodę, na którą zwrócili uwagę wszyscy zwiedzający, ale też piękny umysł, kulturę i ofiarną polskiej kobiety.

Proces powstawania syberyjskich obrazów trwał aż 10 lat. Większość portretów, osadzonych w realiach mroźnej i surowej syberyjskiej zimy, powstała jednak w słonecznej Italii, co z całą pewnością miało wpływ na ich ostateczny kształt. Portrety cywilizatorów Syberii namalowane zostały techniką olejną, są owalne, oprawione w brązowe, drewniane, stylizowane ramy pochodzące z Lombardii. Wszystkie materiały plastyczne: farby, płótna i inne niezbędne elementy pochodzą z Mediolanu. Obrazy zostały przepięknie zaprezentowane — zawieszono je na grubych srebrnych łańcuchach i umieszczono na wysokich sztalugach na dostojnym bordowym suknie.

Uroczystość inauguracji wystawy otworzyła Pani dyrektor Archiwum Polskiej Akademii Nauk dr Hanna Krajewska. Mówiła o ogromnym sukcesie ekspozycji *Polscy badacze Syberii* w Polsce i Rosji oraz o udanej i owocnej współpracy genialnej Pauliny Kopestyńskiej z Archiwum Polskiej Akademii Nauk. Następnie głos zabrała sama autorka, która w swoim wystąpieniu podkreśliła rolę i zasługi profesora Antoniego Kuczyńskiego podczas realizacji tego trudnego zamierzenia. W wernisażu uczestniczyli goście z Komisji Syberyjskiej z profesorem Zbigniewem Wójcikiem na czele, z Polskiego Towarzystwa Zie-

miańskiego z wiceprezesem Andrzejem Laudowiczem, z Muzeum Azji i Pacyfiku, Akademii Sztuk Pięknych, ze Związku Polskich Artystów Plastyków, Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, galerii Belotto, firm Orbis Travel (Jadwiga Górka) i PKO (Jolanta Mikulska). Byli też zagraniczni goście, jak artysta grafik Alfredo Taroni z Mediolanu, śpiewak Matteo Mazzucca z Rzymu oraz znana ceramistka Andjelka Mihajić z Serbii, reprezentująca Pracownię Ceramiki Artystycznej „Czary” w Warszawie.

Wystawie towarzyszy pięknie wydany przez Archiwum Polskiej Akademii Nauk i Paulinę Kopestyńską katalog, a właściwie album, prezentujący kolorowe wizerunki wszystkich bohaterów ekspozycji oraz krótkie teksty ich biografów w języku polskim, przygotowane przez dr Joannę Arvaniti, i w rosyjskim w doskonałym tłumaczeniu Heleny Szymańskiej z Moskwy. Za niezwykle estetyczny projekt graficzny wydawnictwa odpowiedzialny jest Wawrzyniec Paweł Gerlach. Album wzbudził ogromne zainteresowanie gości. Wystawa *Portrety polskich sybiraków* autorstwa Pauliny Kopestyńskiej stanowiła wraz z planszową ekspozycją *Polscy badacze Syberii* doskonałą, piękną i cenną całość. Magii nastrojowi przydawały jeszcze ukazujące się na ekranie projekcyjnym urokliwe krajobrazy Syberii i świętego morza Buriatów Bajkału oraz płynące z głośników dźwięki egzotycznej jakuckiej muzyki. Ostatni zauroczeni goście opuścili salę wystawową dopiero około godziny 1.30.

Joanna Arvaniti
Archiwum Polskiej Akademii Nauk

- **„WYSZLI Z ZIEMI NIEWOLI...
W 70. ROCZNICĘ UKŁADU SIKORSKI-MAJSKI”.
WYSTAWA W MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM W KRAKOWIE**

Siedemdziesiąt lat temu, 30 lipca 1941 roku w Londynie (już po ataku Niemiec na ZSRR) doszło do podpisania Układu Sikorski-Majski. W jego rezultacie postanowiono o utworzeniu w ZSRR Polskich Sił Zbrojnych, zaś więźniom politycznym i zesłańcom zagwarantowano „amnestię”. Dla wielu Polaków układ był ocaleniem, ratunkiem przed pewną śmiercią. W ostępach Rosji Sowieckiej, na Syberii, w Kazachstanie, głównie na skutek masowych z kresów II Rzeczypospolitej (okupowanych przez ZSRR na skutek umowy z Trzecią Rzeszą) w 1940 i 1941 roku, przebywały setki tysięcy Polaków. Jak podają oficjalne rosyjskie źródła, było to około 300-400 tys. osób. Według innych obliczeń, do których w większości przychylają się polscy Sybiracy, liczba ta była kilkakrotnie wyższa. Wieść o londyńskiej umowie dotarła do polskich zesłańców, którzy przyjęli ją z olbrzymią radością. Nastąpił prawdziwy exodus ludności polskiej z ostępów Rosji Sowieckiej.

Zdolni do służby wojskowej mężczyźni zaciągali się w szeregi armii organizowanej przez gen. Władysława Andersa. Także kobiety, dzieci i niezdolni do służby wojskowej jak najszybciej opuszczali miejsca swojej niewoli. Układ Sikorski-Majski pozwolił na uratowanie ponad 120 tysięcy Polaków. Niestety nie wszystkich. Kilkakrotnie większa liczba, cierpiąc głód i upodlenie, pozostała w ZSRR na następne kilka lat.

Uczestnik tamtych wydarzeń, ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski, we wstępie do publikacji Polacy w Indiach pisał: „Exodus Polaków z Rosji był czymś niezwykłym. Mało kto z nas zdaje sobie sprawę z faktu, że w historii carskiej i sowieckiej Rosji nigdy podobnego zjawiska nie było, żeby pozwolono na zbiorowe wyjście jakiejś nacji. To był dziejowy cud, podobnie jak wyjście Narodu Wybranego z niewoli egipskiej”.

Na drodze do wolności śmierć zbierała ogromne żniwo. Razem z II Korpusem Polskim w 1942 roku z ZSRR wyszło około 38 tys. cywili. Trafili oni do obozów przejściowych w Persji. Tutaj w wolnym świecie rozpoczęli powrót do normalności. Dorośli leczyli rany – te na ciele i duszy, nabierali wiary w lepszą przyszłość. Chore i wygłodzone dzieci odzyskiwały radość życia. Funkcjonowały szkoły polskie, ważną rolę w wychowaniu dzieci i młodzieży odgrywało harcerstwo.

Pobyt w Persji był jednak tymczasowy. Po zawarciu odpowiednich rządowych umów, polscy uchodźcy znaleźli schronienie także w Indiach, Libanie, Palestynie, Nowej Zelandii, Meksyku oraz Afryce Wschodniej i Południowej. Właśnie na Czarny Łąd trafiło najwięcej Polaków. Oblicza się, że w 22 osiedlach w Kenii, Tanganice (dziś Tanzania), Ugandzie, Rodezji Północnej (Zambia) i Rodezji Południowej (Zimbabwe) oraz w Związku Południowej Afryki (RPA) znalazło się około 18 tys. Polaków. Kilka tysięcy przebywało w Indiach (tylko w osiedlu Valivade 5 tys. osób). Około 1400 w Meksyku. W Nowej Zelandii ponad 800 osób – dzieci i opiekunów.

W polskich osiedlach kwitło życie. Dla dzieci zorganizowano szkoły i harcerstwo. Były szpitale, świetlice, poczta, kina, teatry, sklepy i warsztaty. W niektórych ośrodkach uprawiano rolę, hodowano trzodę i bydło. Mieszkańcy wydawali polskie gazety, funkcjonowały stacje radiowe z polskimi audycjami. W osiedlach szczególnie uroczyście obchodzono święta narodowe. Gdy w 1945 roku wojna się skończyła, pojawiło się pytanie: „Co dalej?”. Dla większości nowa Polska nie była krajem wolnym. Ich kresowe miejscowości rodzinne zostały włączone w granice ZSRR. Sytuacja stała się patowa.

Gdy już nie można było dłużej pozostać w osiedlach (głównie chodzi tutaj o skupiska w Afryce i Indiach), Polacy musieli podjąć decyzje o swojej przyszłości. Do Wielkiej Brytanii mogli jechać tylko ci cywile, których bliscy (ojciec, brat, syn) służyli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Inni byli zmuszeni udać się do krajów, które zaofiarowały pomoc polskim uchodźcom. Głównie były to Australia i Kanada. Znaczna część wróciła też do Polski, gdzie znajdowała się dalsza bądź bliższa ich rodzina. W sumie do Wielkiej Brytanii w pierwszych latach po II wojnie światowej przybyło około 70 tys. Polaków, w liczbie tej była znaczna część Sybiraków. Wszyscy oni nie godzili się z sytuacją w ojczyźnie, gdzie rządy sprawowali komuniści. Czekali, aż nastąpią zmiany i Polska stanie się w pełni niepodległym państwem. Niestety, lata mijały, a system komunistyczny nad Wisłą umacniał się.

Pierwszych kilkanaście lat w Wielkiej Brytanii dla ludzi, którzy przeżyli Syberię i osiedla w Indiach i Afryce, było bardzo ciężkich. Mieszkali po kilkaset osób, w obozach przejściowych. Ich domami były zazwyczaj baraki. W pamięci pozostały szczególnie popularne „beczki śmiechu” – konstrukcje wykonane z falistej blachy. Mieszkały w nich zwykle 2-3 rodziny, cierpiące w zimie

chłód, a w lecie zmagające się z nieznośnym upałem, panującym w blaszanych pomieszczeniach. Dopiero w latach sześćdziesiątych XX wieku sytuacja uległa poprawie. Obozy polikwidowano, a uchodźcy polscy przenieśli się do brytyjskich miast i wiosek. Największymi skupiskami Polaków na Wyspach stały się: Londyn, Manchester, Birmingham, Bradford, Glasgow, Edynburg i Leicester.

Do tego ostatniego miasta w październiku 2010 roku dotarli historycy i studenci historii Uniwersytetu Pedagogicznego. Misja, kierowana przez dr. Huberta Chudzio, miała na celu przeprowadzenie wywiadów z Sybirakami żyjącymi do dziś w Leicester i okolicy. Relacje były nagrywane na dyktafony i kamerę. Swoimi wspomnieniami podzieliło się 22 Sybiraków. Wywiady były pełne emocji, pojawiały się łzy, załamania głosu, chwile ciszy... Mimo upływu 70 lat przeżyte wydarzenia są ciągle żywe. Czas ich nie zatarł, nadal bołą...

Prezentowana wystawa jest pokłosiem dwóch misji naukowych Uniwersytetu Pedagogicznego w latach 2009-2010. Pierwsza z nich wyruszyła do Afryki Wschodniej. Tam w Tanzanii i Ugandzie członkowie Studenckiego Koła Naukowego Historyków UP dotarli na cmentarze trzech największych polskich osiedli w Afryce. Uporządkowali je i stworzyli kartograficzną, fotograficzną i filmową dokumentację tych miejsc. Druga misja znalazła się w Leicester w Wielkiej Brytanii, gdzie nagrywała wspomnienia polskich Sybiraków. Aby ekspozycja była tematycznie pełna nie mogło na niej zabraknąć losów Polaków podczas samego pobytu na Syberii w latach II wojny światowej. Ta część wystawy oparta jest głównie na zbiorach krakowskiego oddziału Związku Sybiraków.*

Hubert Chudzio

• ODBUDUJEMY POLSKI CMENTARZ W UGANDZIE!

To ostatnia chwila, aby Sybiracy – dawni mieszkańcy Koji – mogli spełnić obowiązek wobec pozostałych w Afryce krewnych i przyjaciół. Koja – to osiedle w Ugandzie, w którym w latach 1942-1948 mieszkali zesłańcy. Opuścili oni z Armią gen. W. Andersa „niehumanitarną ziemię” i poprzez Iran, Indie dotarli do Afryki. Właśnie tam, nad jeziorem Wiktorii znalazło schronienie około 3 tys. osób. Po zakończeniu wojny rozproszyli się po świecie, a osiedle zlikwidowano. Po obecności zesłańców, w Koji pozostał jedynie cmentarz na którym spoczywa 96 osób. Tę zdewastowaną nekropolię należy odnowić do 2012 roku, na 70-lecie przybycia tam Polaków.

Dlatego powstał Komitet Odbudowy Cmentarza w Koji do którego należą głównie mieszkańcy osiedla żyjący w Polsce, w Wielkiej Brytanii, Australii, USA, Kanadzie. Komitet Odbudowy uzyskał wsparcie p. ministra Andrzeja Kunerta – sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, który poparł tę inicjatywę i zagwarantował pomoc finansową.

Pracami przy rekonstrukcji cmentarza kierować będzie p. Edward Waku – Ugandyjczyk, a czuwać nad realizacją projektu będą polscy misjonarze,

* **Realizacja wystawy:** Muzeum Archeologiczne w Krakowie; Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń. **Współpraca:** Związek Sybiraków – Oddział w Krakowie; Studenckie Koło Naukowe Historyków Uniwersytetu Pedagogicznego. Publikowany tekst pochodzi z folderu o wystawie, opracowanego graficznie przez Jolantę Hosecką z Muzeum Archeologicznego w Krakowie.

którzy wraz z miejscową ludnością odbudują nekropolię. Ponieważ potrzebne są środki finansowe, więc założono konto do którego pełnomocnictwa mają członkowie komitetu: Sybiracy – Danuta Sedlak i Artur Woźniakowski oraz Hubert Chudzio z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

Wszystkich, którzy chcieliby pomóc tej szczytnej idei, prosimy o przesyłanie wpłat na nr konta: **76 1050 1445 1000 0090 7932 7590** zarejestrowanego na nazwisko Hubert Chudzio z dopiskiem „**Odbudowa cmentarza w Koji**”. Dla wpłacających z zagranicy nr konta: **PL 76 1050 1445 1000 0090 7932 7590** należy dopisać kod identyfikacyjny **SWIFT (BIC)** – „**INGBPLPW**”.

„Ojczyzna to ziemia i groby” – także w dalekiej Afryce.

Danuta Sedlak

• **BENEDYKT DYBOWSKI I SYBERIA**

Postać B. Dybowskiego (1833-1930), zesłańca po powstaniu styczniowym, badacza Bajkału, kultury Buriatów i Kamczadali nie może nie budzić zainteresowania. Fascynująca to bowiem osobowość, której poświęcono książki i artykuły w Polsce i Rosji. Dla badaczy dziejów Polaków za Uralem jego naukowe osiągnięcia są nadal dziełem o uniwersalnych wartościach, źródłem refleksji o tym jak człowiek podlegający różnym ograniczeniom wolnościowym stał się wybitnym badaczem flory i fauny Bajkału.

W dziejach polskiego wkładu w badania Syberii jego dokonania stale funkcjonują w rodzimej tradycji naukowej i w różny sposób utrwalane są w świadomości społecznej. Przed laty „Poczta Polska” wydała znaczek jemu poświęcony, ostatnio natomiast np. Narodowy Bank Polski (2010) wprowadził do obiegu dwie monety z jego wizerunkiem. Biografia tego uczonego obfituje w wiele zdumiewających wydarzeń stanowiących krzyżówkę naukowych zasług, złego zesłańczego losu i zwykłego człowieczeństwa.

Postać B. Dybowskiego zwróciła ostatnio uwagę młodego uczonego niemieckiego Daniela Schümanna, profesora Uniwersytetu w Bambergu, który uczynił ją twórcy swoich dociekań naukowych i przywiódł do Wrocławia (2009) na tzw. warsztaty naukowe grupę swoich studentów. Gościła ich Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Dodajmy zaraz tytułem dopełnienia tego faktu, że B. Dybowski był przez pewien czas studentem tego Uniwersytetu, a w zbiorach Biblioteki „Ossolineum” we Wrocławiu znajdują się jego rękopisy i liczne dzieła. Muzeum Etnograficzne w Krakowie posiada kolekcję etnograficzną zgromadzoną przez niego na Kamczatce, Instytut Zoologii PAN w Warszawie szczyci się posiadaniem jego kolekcji przyrodniczej, a liczne dokumenty związane z jego życiem posiada Archiwum Naukowe PAN w Warszawie.

W nostalgii za upływającym czasem jest jednak w nauce miejsce na przypomnienie tej postaci, której życie i naukowy trud to jakby ciągle żywy materiał do bardziej rozbudowanej i podzielonej na wiele stron monografii opisującej jego zesłańczy los i naukowe osiągnięcia oraz do fabularnego filmu, który być może kiedyś zostanie zrealizowany.

Bronisław Przesmycki

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **S. Ciesielski, Gułag. *Radzieckie obozy koncentracyjne 1918-1953*, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej 2010, ss. 571.**

Świat imperium obozowego należał do najstraszniejszych „produktów” państwa bolszewików. Potępiając carski reżym i jego okrucieństwo, twórcy Kraju Rad błyskawicznie i po wielokroć przewyższyli go w bezwzględności prowadzonej polityki karnej. Jednym z jej instrumentów było izolowanie w obozach. O rzeczywistości GUŁagu wiemy już wiele. Miała ona swych kronikarzy i badaczy, wywodzących się wprost z szeregów „zeków”. Świadectwa biograficzne, wśród których nie brak dzieł wybitnych, by wspomnieć G. Herlinga Grudzieńskiego i A. Sołżenicyna, od lat znajdują czytelników. Prawda o radzieckich „poprawczych obozach pracy” mimo wszelkich wysiłków władz w Moskwie wychodziła na światło dzienne i docierała do tzw. wolnego świata (inne sprawa, w jakim stopniu był on nią zainteresowany...). Powstawały również prace naukowe na ten temat.

Jednak do czasu upadku ZSRR i otwarcia archiwów możliwości prowadzenia badań naukowych były bardzo ograniczone, a wiele tematów nie można było należycie zanalizować, lub konieczne było poprzestanie jedynie na przypuszczeniach i szacunkach. Zmiany zapoczątkowała gorbaczowska pierestrojka, a prawdziwy przełom nastąpił w latach 90. XX w. Od tego czasu badacze, jak i wszyscy zainteresowani mają do dyspozycji wielkie serie wydawnictw źródłowych, jak i różnych opracowań naukowych (przede wszystkim w języku rosyjskim i angielskim). GUŁag przyciągnął także uwagę nie-historyków. Przed kilku laty na całym świecie wielką popularność zdobyła książka Anne Appelbaum, znana także polskim czytelnikom.

Obecnie do naszych rąk trafia książka polskiego badacza z Uniwersytetu Wrocławskiego, znanego z zainteresowań historią ZSRR i przymusowymi migracjami, prof. Stanisława Ciesielskiego. Oparta jest ona na dotychczasowej bogatej literaturze, a zwłaszcza licznych źródłach wytworzonych przez gułagowskie imperium. Obejmuje okres od pierwszych miesięcy bolszewickiego reżymu po śmierć Stalina. Książka składa się z ośmiu rozdziałów, stanowiących wyczerpujący opis takich zagadnień jak rozwój systemu obozowego, jego znaczenie dla gospodarki radzieckiej, warunki życia i pracy w obozach, skład łagierników. Autor przybliży meandry radzieckiej polityki karnej, umieszcza ją na tle rozwoju wewnętrznego ZSRR. W rezultacie otrzymujemy po raz pierwszy w języku polskim, a chyba i generalnie w historiografii poświęconej temu obszarowi, książkę tak całościowo i kompetentnie przedstawiającą to skomplikowane zagadnienie. Równocześnie mówi ona niezwykle dużo o całym systemie radzieckim.

Czytelnik, przyzwyczajony do poznawania GUŁagu przede wszystkim oczami jego więźniów, może początkowo odczuwać obawę przed zmierzeniem się z dziełem typowo naukowym, o stosunkowo suchym stylu narracji, nasyconym faktami i danymi. Z drugiej jednak strony musi uznać, że właśnie lektura książki S. Ciesielskiego pozwala mu lepiej zrozumieć świadectwa autobiograficzne, skonfrontować je z obrazem GUŁagu stworzonym na podstawie dokumentów i w rezultacie otrzymać pełną panoramę „świata za drutami”. Świata, w którym żyły i umierały miliony. Także nasi rodacy.

Małgorzata Ruchniewicz

- **T. Olszański, *Kresy Kresów. Stanisławów*, Warszawa 2008, s. ?**

Urodziłem się tam.
Nie wybierałem miejsca.
Chętnie bym się urodził po prostu w trawie.
B. Czaykowski *Bunt wierszem*

Obrazy z dzieciństwa nabierają ostrości najczęściej w umysłach osób starszych. Życie całe przezeń przelatują aż w końcu zatrzymują się na długiej scenie z domu rodzinnego. Ale nie tylko starość staje się odpowiednią ciemnią do przewijania biografii. Retrospektywa może się pojawić w innych momentach ziemskiej wędrówki, chyba wtedy, gdy podróżnik zanadto oddalił się od domu, chciałby wrócić, ale nie potrafi, jedynie wspomnienie jest w stanie tam go zaprowadzić. Coś podobnego działo się z Tadeuszem Olszańskim, gdy po wielu latach odwiedził Stanisławów. Na widok zmienionych ulic Stanisławowa i nazwy miasta na Iwano-Frankowsk autora *Kresów* ogarnęła tak ogromna fala wspomnień, że wyrzuciła je na karty tej książki. Choć zachowała się stara część miasta i „nurt spływających do Karpat obu Bystrzyc jest taki sam, srebrzysty wartki. I woda taka sama, czysta, ciągle nieskażona, każdy kamyczek widać”, (s. 9) pojawiły się nowe osiedla – „klasyczne sowieckie szuflady do mieszkania”. (s. 7).

Zachowały się też cenne pamiątki a to u przyjaciół Olszańskiego, a to u niego samego w prywatnym archiwum. Znalazły się wśród nich prawdziwe skarby, takie jak stare zdjęcia i widokówki. Jedno z węgierską rodziną Olszańskiego, dziadkiem i jego dziećmi, m. in. małą matką tłumacza Katinką o dużych oczach, ma już ponad 100 lat. Są widokówki z nieistniejącymi już zabytkami. Jedna z bardzo piękną synagogą Templum. Pocztówka z tym zabytkiem jest kartą otwierającą historię Żydów w Stanisławowie. Obiekt zachował się do dziś, lecz w zmienionym kształcie. „Sowieci ścięli bowiem to, co było największą ozdobą – cztery wieżyczki z mauretańskimi kopułami niszczyliwnętrze. Przepołowili gmach stropem, aby na dolnym poziomie zrobić salę gimnastyczną dla studentów instytutu Medycznego, a na dolnym sale wykładowe i magazyny. Niszczyli nie tylko kościoły, ale i synagogi. „(s. 64).

Jest milczącym i ciągle żywym świadkiem krwawych wydarzeń w Stanisławowie a także nauczycielem, który może przypominać i przestrzegać przed tym, że współpraca z oprawcą nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Może Armia Czerwona bardziej niż niemiecka była łaskawa dla Żydów oraz ich architektury (niektórym udało się uratować dzięki wsparciu krewnym lub znajomym

komunistom), ale komunistów żydowskich uciekających przed Niemcami także wyłapywano koło Rawy Ruskiej i „jako wielce podejrzanych bez pardonu wywożono na Sybir”. (s. 100) Niemcy nie niszczyli synagogi w Stanisławowie, ale z większą bezwzględnością potraktowali znienawidzony przez siebie naród. Utworzyli getto. Zaprzyjaźniony z rodziną Olszańskich Weissberg spodziewał się, że Niemcy, kulturalny naród „nie zrobią takiej krzywdy jak Sowietów”. (s. 67) Kulturalne i przymilne zachowanie nie zawsze wiąże się z wrażliwością na Innego, szacunkiem dla drugiej osoby. Okrucieństwo przy pomocy sprytnych wybiegów mentalnych da się pogodzić z kulturą a nawet religią. Niemcy kontynuowali sowieckie dzieło zniszczenia. Zainstalowali się w tym samym, co czerwonoarmiści gmachu Sądu przy ulicy Bilińskiego. Tam w ostatnich dniach czerwca 1941 roku „NKWD przed ewakuacją wymordowało kogo tylko zdążyło”. (s. 107) „Kiedy zebrany tam tłum wyłamał bramę, aby uwolnić swoich bliskich, ujrzał na dziedzińcu setki zabitych więźniów”. (s. 107) Jedenastoletni Olszański na widok postrzelonych poborowych dostał 40 stopni gorączki i zapamiętał, że miotał się „w malignie do rana”... (s. 108) Tak kończyło się dzieciństwo autora *Kresów*. Kiedy weszli Niemcy aresztowali stanisławowskich nauczycieli i lekarzy. „W sumie w ciągu jednego dnia blisko trzysta osób. Kwiat polskiej inteligencji, która ocalała po sowieckich rozwałkach i wywózkach”, (s. 120), a następnie przystąpili do rozprawiania się z inteligencją żydowską. Zgrozę budzą opisy zarówno działań sowieckich jak i niemieckich w Stanisławowie. Z punktu widzenia świadka historia wydaje się bardziej skomplikowana, nie czarno-biała, w każdym bądź razie kolory są wymieszane a nie oddzielone ostrą linią.

Następną bardzo ważną dla Olszańskiego pamiątką jest zdjęcie z jego ojcem chrzestnym generałem Romualdem Dąbrowskim. Historia ojca chrzestnego wiąże się z ulicą Kolejową nazwaną przez autora *Kresów* ulicą na Sybir, z tę częścią miasta, gdzie zaczynała się sybirską gehenna nie tylko stanisławowian. W tym miejscu jak tory kolejowe przecinają się losy wielu zesańców. Anatol Krakowiecki dziennikarz „IKC” z Krakowa przechodził przez tę stację i opisał w *Książce o Kołymie*: „Kolumnę więźniów prowadzą na rampę, segregują w jakiś tajemniczy sposób i pakują do wagonów. Rozwarte drzwi wagonu i pomost. Nie można bluznąć pod most, nie można dać nura pod wagon. Ludzie, karabiny i psy. I znów odliczenie: Pierwsza, druga, trzecia.”¹ Olszański nie mógł tego widzieć: „Ulicę Kolejową i dworzec towarowy obstawiono bowiem patrolami wojskowymi, a nad betonowym płotem umieszczono drut kolczasty. Aby nikt tam nie wchodził, względnie się nie wydostał.”(s. 97) .

Krakowiecki przechodził też przez więzienie na Bilińskiego. Wspomina o tym, że aresztowani mieszkańcy miasta opowiadali o motorach zagłuszających masowe rozstrzeliwania na dziedzińcu więzienia. Identyfikacyjny wątek pojawił się we wspomnieniu dziennikarza ze Stanisławowa. Silniki pracujące w więzieniu na Bilińskiego „zagłuszały strzały i jęki mordowanych”. (s. 107) Krakowiecki wrócił z łagrów już nie przez Stanisławów. Natomiast generał Dąbrowski w wagonie bydłowym pociągu pędzącego w siną dal zasłabł i umarł, generałowa

¹ A. Krakowiecki, *Książka o Kołymie*, Londyn, „Veritas”, 1987, s. 30-31.

zaś zmarła w Kazachstanie w wieku 62 lat. Z wygnania wróciła do rodziny jej biżuteria i kilka fotografii. W Kazachstanie nader rzadko kładą na groby marmurowe tablice pamiątkowe. Napis na grobie generałowej tonie być może w chwastach, lub zardzewiał na metalowej tabliczce. Nazwisko tej ofiary komunizmu zapewne nie zostało upamiętnione w miejscu uwięzienia. Po większości obozów w Kazachstanie i śladu nie zostało, zrównano je z ziemią bądź przekształcono w więzienia dla kryminalistów i nie ma tam tabliczek upamiętniających pobyt politycznych. Tablicy pamiątkowej nie ma także na ulicy Kolejowej w Iwano-Frankowsku. Ale Olszański jak na tablicy nagrobkowej upamiętnił je w swojej książce. W tym tkwi siła literatury, słowa, wszelkiej sztuki, że może być jedynym śladem istnienia bezimiennych ofiar.

Kresy Kresów są wyrazem bezradnego buntu przeciwko przemijaniu, zapomnianiu. Zmieniają się granice państw, nazwy miast, człowiek jako taki a na stałość krajobrazów też nie należy liczyć, o czym świadczy stara widokówka z mostem nad Prutem w Jaremczu. Był to najwyższy ze wszystkich mostów w Polsce. Sowietci wysadzili go w powietrze. „A potem w latach pięćdziesiątych, z zupełnie niezrozumiałych powodów wysadzono wysoki próg skalny wodospadu w Jaremczu i Prut zaczął spływać jak po rynnie z kilkoma kaskadami. Po wspinałym cudzie natury, jakim był wodospad w Jaremczu, śladu nie zostało. A i wiaduktu nie odbudowano.” (s. 95).

W pamięci tylko nadzieja, choć mówi się, że jest krótka.

Izabella Migal



INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

ul. Towarowa 28; 00 - 839 WARSZAWA

Warszawa, czerwca 2011 roku

58/K 1153/M

Pan Tadeusz Chwiedź
Prezes Zarządu Głównego
Związku Sybiraków

Gracjuszy Panu Prezisie

pragnę jeszcze raz przekazać na Pana ręce najserdeczniejsze gratulacje. Państwa wieloletnie zaangażowanie w dziedzinie upamiętniania tragicznych zsyłek Polaków na Syberię, do Kazachstanu i inne regiony ZSRS zasługuje na najwyższe uznanie.

Podejmując wysiłek przywracania pamięci, odbudowy szacunku dla narodowej przeszłości, a także podtrzymywania naszej tożsamości, dają Państwo wyraz swojemu patriotyzmowi i trosce o przyszłość Ojczyzny. Państwa dorobek współkształtuje naszą narodową tożsamość i pomaga chronić wartości, które w epoce totalitaryzmów starano się unicestwić. Za to Państwu dziękujemy.

W załączeniu przekazuję zdjęcia z uroczystości.

Franciszek Grygiel
P. W. KRZYSZA
Instytut Pamięci Narodowej
dr Franciszek Grygiel

NAGRODA
KUSTOSZ PAMIĘCI NARODOWEJ



Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej

Warszawa, 14 czerwca 2011 roku

Uczestnicy
uroczystości wręczenia
Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”
im. Grzegorza Jakubowskiego”

Panie Prezesie!
Szanowni Laureaci!
Panie i Panowie!!

Serdecznie pozdrawiam wszystkich zgromadzonych na uroczystości wręczenia Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im. Grzegorza Jakubowskiego”. Gratuluję osobom i instytucjom wyróżnionym w bieżącym roku tym zaszczytnym tytułem: panu Adamowi Borowskiemu, panu Adamowi Macedońskiemu, pani Ewie Siemaszko i panu Władysławowi Siemaszko, Związkowi Sybiraków oraz Społecznemu Komitetowi Pamięci Górników KWK Wujek Poległych 16 grudnia 1981 roku. Aktywność i zasługi Państwa oraz reprezentowanych przez Państwa stowarzyszeń zostały docenione i godnie uhonorowane.

Zaszczytnym tytułem Kustosza Pamięci Narodowej kapituła wyróżniła już wiele znaczących postaci naszego życia publicznego, by wspomnieć tylko o Władysławie Bartoszewskim, Januszu Kurtyce oraz Pawle Jasienicy. Laureatami nagrody były także polskie i zagraniczne instytucje, jak Stowarzyszenie Archiwum „Solidarność” czy Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie i Stanach Zjednoczonych. Wymienione – tylko nieliczne przecież – przykłady osób i instytucji wyróżnionych nagrodą dowodzą, że Kapituła podejmuje wysiłek dostarczenia i uhonorowania różnorodnego typu działań służących kształtowaniu naszej historycznej tożsamości. Lata 1939 – 1989 były w dziejach naszego narodu okresem niezwykle dramatycznym, dlatego pielęgnowanie pamięci o tej epoce i jej bohaterach, do czego jesteśmy moralnie zobowiązani, wymaga zaangażowania, rzetelności i umiejętności współdziałania wielu, często bardzo różnych, osób i instytucji, które podejmują to wielkie wyzwanie.

Warto dziś, w dniu uroczystego wręczenia tegorocznej nagrody, podkreślić, że dzięki licznemu już gronu jej laureatów Instytut Pamięci Narodowej nie był i nie jest osamotniony w swoich działaniach na rzecz odsłaniania i opisywania trudnych kart naszych najnowszych dziejów. *Jest także niezwykle cenne, że Instytut potrafił dostrzec i nagrodzić tak zróżnicowane formy publicznej aktywności, które łączy to, że wpisują się w jego misję lub stanowią znaczące wsparcie w jej wypełnianiu.*

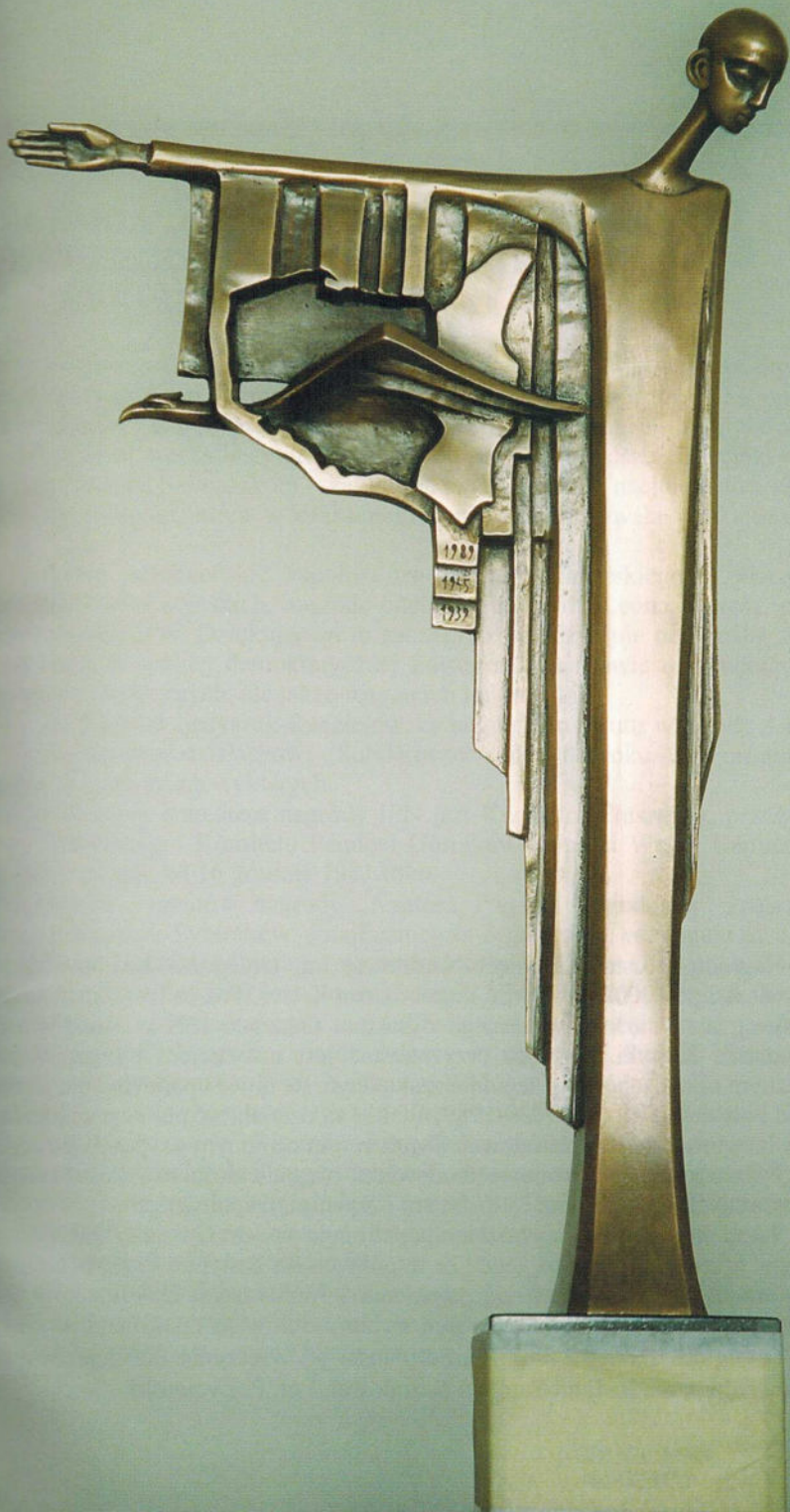
Raz jeszcze gratulując tegorocznym Kustoszom Pamięci Narodowej, życzę Państwu i reprezentowanym przez Państwa organizacjom, by ten zaszczytny tytuł stanowił nie tylko potwierdzenie głębokiego sensu dotychczasowych działań, ale także zachętę do dalszej aktywności.

Instytutowi Pamięci Narodowej życzę zaś, aby w wypełnianiu swojej misji zawsze mógł liczyć na wsparcie tych wszystkich instytucji i osób, którym leży na sercu troska o rozwijanie historycznej świadomości Polaków.

Bronisław Komorowski



Laureaci Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im Grzegorza Jakubowskiego”.





Statuetki Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej im. Grzegorza Jakubowskiego” na chwilę przed wręczeniem ich laureatom.



Tadeusz Chwiedź, prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków dziękuje za przyznanie nagrody.